

WIELKIE SERIE SF

# GWIEZDNE WOJNY™

LANDO CALRISSIAN  
I GWIAZDOGROTA THONBOKA



AMBER

L. NEIL SMITH

**L. NEIL SMITH**

PRZYGODY LANDO CALRISSIANA III

**LANDO CALRISSIAN  
I GWIAZDOGROTA THONBOKA**

*( Lando Calrissian and The Starcave of Thonboka )*

Przekład  
Andrzej Syrzycki



*A tę dedykuję  
F. Paulowi Wilsonowi, Uzdrawicielowi i przyjacielowi,  
a także Jamesowi P. Hoganowi, który uzupełnia siódmkę*

## ROZDZIAŁ I

Lehesu płynął po bezkresnym Otwartym Morzu.

Był ogromny, nawet jak na istotę, która dopiero niedawno osiągnęła wiek dojrzały. Wiedział jednak, że niektórzy Starsi jego rasy osiągali dwukrotnie większą masę i rozmiary. Obca istota, która mogłaby zobaczyć go w innym miejscu i czasie, zwróciłaby uwagę na złowieszczo opływowe kształty i potężne płetwy. Pomyślałaby zapewne, iż widzi gigantyczną płaszczkę - mimo iż w rzeczywistości płetwy pełniły rolę skrzydeł. Nie przeoczyłaby również prężących się pod gładką powierzchnią grzbietową potężnych mięśni.

Inni, spostrzegłszy podobne do macek albo czułków wstęgi, zwieszające się po bokach części brzusznej, mogliby chcieć porównywać istotę z ogromnym stułbiopławem. Z pewnością zachwyciliby się idealnie przezroczystym ciałem, w którego wnętrzu pojawiały się od czasu do czasu niewyraźne różnobarwne błyski.

Rzecz jasna, każde takie porównanie byłoby czymś zwodniczym. Lehesu należał do rasy istot zwących siebie Oswaftami. A co najistotniejsze, w przeciwieństwie do płaszczek albo meduz, cechował się błyskotliwą inteligencją. Od ogromnej większości istot swojej rasy różnił się tym, iż natura obdarzyła go niepoahamowaną ciekawością.

Mieszkał w okolicy, którą Oswaftowie nazywali ThonBoką. W języku, jakim się posługiwali, nazwa ta kojarzyła się z usytuowanym na obrzeżach burzliwego oceanu zacisznym portem.

Oznaczała spokojną przystań, przytulny kąt i bezpieczne schronisko.

Pośród Oswaftów nie brakowało takich - zaliczających się do grona krewnych albo najbliższych przyjaciół - którzy nie kryjąc zadowolenia z siebie, ostrzegali go, że pożałuje, jeżeli opuści ustronną ThonBokę i wyprawi się na niebezpieczny przestwór Otwartego Morza. Inni pozwalali sobie nawet na szczegółowe opisywanie owych niebezpieczeństw. Mówili mu, co i kogo może tam spotkać - a raczej co i kto może tam spotkać jego. Twierdzili, że nie powinien spodziewać się niczego dobrego - z wyjątkiem tragicznej, nieoczekiwanej śmierci. Mimo iż Oswaftowie zostali obdarzeni błyskotliwą inteligencją, nie grzeszyli nadmiarem bujnej wyobraźni - szczególnie jeżeli chodziło o rozmowy na temat śmierci. Zaliczali się do istot długowiecznych, a ponieważ nie lubili zmieniać poglądów, na ogół czekali na nieuchronny koniec życia cierpliwie, a nawet z pewną dozą rezygnacji.

Inni nawet nie zwracali sobie głowy udzielaniem mu jakichkolwiek ostrzeżeń. Od dawien dawna uważali go za dziwaka i samotnika. Samą jego obecność w zaciszu ThonBoki traktowali jak coś niewłaściwego i niebezpiecznego. Przypuszczali, że stanowi aluzję do złowieszczej, mrocznej szpetoty, czającej się poza spokojnymi granicami. Trzeba jednak uczciwie stwierdzić, że ziomkowie Lehesu nie zamierzali wyklinać go ani wydać. Z drugiej strony, nikomu spośród nich - i to bez względu na to, co o nim sądzili - nie przyszłoby nawet do głowy powstrzymywać go przed niewątpliwą zgubą, jaka by go czekała, gdyby zechciał zaspokoić niepoahamowaną ciekawość.

W tej chwili Lehesu żałował, że ich nie usłuchał. Otwarte Morze, na które tak niebacznie się zapuścił, trzymało go w szponach strasliwego głodu.

Pragnąc odzyskać wewnętrzny spokój, kilkakrotnie machnął podobnymi do płetw płaszczyki ogromnymi skrzydłami. Ów majestatyczny gest z pewnością wzbudziłby podziw i uznanie, gdyby w pobliżu przebywał ktoś, kto mógłby zauważyć go i docenić. U Oswaftów stanowił odpowiednik powolnego, miarowego oddychania. Jeżeli chodzi

o Lehesu, odniósł identyczny skutek: nie pomógł w najmniejszym stopniu. Co gorsza, jedynie przypomniiał o rozpaczliwym położeniu, z którego musiał jakoś się wydostać. Prawdę mówiąc, młody Oswaft nie bał się. Mimo iż istoty bardzo rzadko zmieniały poglądy, jeszcze rzadziej wpadały w przerażenie.

Niemal nigdy nie poddawały się panice. Zapewne nawet nie znały takiego słowa. Chodziło tylko o to, że ciekawość nie należała do specyficznych cech ich charakterów. Oswaftowie żyli, kierując się prastarymi, czcigodnymi, wypróbowywanymi przez całe tysiąclecia, głęboko zakorzenionymi w świadomości i uświęconymi zwyczajami. Lehesu doszedł do wniosku, że tyle uroczystych określeń wystarczy, aby nadać życiu posmak duszącej niezmienności. Co prawda, istniały przypadki godzenia się ze zmianami i innowacjami. Mimo wszystko, istot jego rasy nie dałoby się nazwać dzikusami. Zmiany zachodziły jednak bardzo powoli, tak że pogodzenie się z nimi wymagało czasu, w którym mogło żyć kilkadziesiąt pokoleń. Cywilizacji Oswaftów nie można byłoby określić mianem ustabilizowanej czy niezmiennej. Mimo to życie było po prostu dręcząco, nieprawdopodobnie nudne.

Tymczasem Lehesu bywał uważany albo za ucieleśnienie ciekawości, albo za kogoś, komu zdarzyło się ulec zwariowanej mutacji - zależnie od tego, kogo pytało się o opinię: samego Lehesu czy też może kogokolwiek innego spośród jego ziomków. Absolutnie nikt inny nie miał ochoty się dowiedzieć, jakie nieznane cuda czy dziwy można zobaczyć poza bezpiecznymi granicami ThonBoki. Lehesu nawet nie potrafiłby wyjaśnić nikomu, jaka paląca ciekawość kazała mu zapuszczać się na Otwarte Morze. Zapewne nie mógłby wytłumaczyć tego żadnemu z rówieśników, a już z całą pewnością nikomu spośród Starszych. Możliwe, że nie udałoby mu się dokonać tej sztuki nawet wówczas, gdyby chodziło o malców, którzy urodzili się stosunkowo niedawno.

No cóż, może pewnego dnia i on będzie miał własne dzieci. A jeżeli ciekawość stanowiła cechę, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, może jego potomkowie zrozumieją, co czuł, albo nawet zapalają taką samą ciekawością. Lehesu zachichotał, mimo iż w pobliżu nie widział nikogo, kto by go usłyszał. Doszedł do przekonania, że największym problemem będzie znalezienie towarzyski życia, która zechciałaby tolerować jego poglądy.

A może nie będzie tak źle, jak się spodziewa. Istniało znikome prawdopodobieństwo, że w ogóle przeżyje, przemierzając tak bezkresne pustkowia. Każde włókno ogromnego i kształtnego ciała wysyłało impulsy bólu i domagało się pożywienia. Lehesu krążył w przestworzach przez czas, który wydawał mu się wiecznością. Ani razu nie zobaczył niczego, co mogłoby posłużyć jako pożywienie. Wiedział też, że jest za późno, by zawrócić. Jeszcze raz uniósł ogromne skrzydła i machnął, pragnąc nadać ciału większą prędkość, ale nie mógł zignorować faktu, że bardzo szybko słabnie.

Co prawda Lehesu nigdy w życiu ani nie widział piekła, ani o nim nie słyszał. Pojałby jednak, o co chodzi, gdyby potrafił stawiać kroki albo wspinać się po stopniach. Mimo to jakoś nie odczuwał wyrzutów sumienia w związku z tym, czego doświadczał i co przeżywał. Pomyślał, że ciekawość może i przyczyniała się do jego zguby i stanowiła pierwszy stopień do piekła, ale taka śmierć będzie z pewnością lepsza niż śmierć z nudów.

Może.

Lehesu oceniał, że pozostało najwyżej kilka godzin, zanim opadnie z sił i umrze z głodu. Istoty jego rasy, poruszając się, nieustannie się odżywiały. Czyniły to machinalnie, niemal nieświadomie. W gigantycznych organizmach Oswaftów trudno byłoby znaleźć miejsce do gromadzenia środków odżywczych. Ciało Lehesu coraz bardziej słabło, a młodzieniec coraz lepiej zdawał sobie z tego sprawę. Mimo to cieszył się, że śmierć zastanie go

właśnie na Otwartym Morzu, z daleka od...

Chwileczkę! Co to takiego? W bezkresnej pustce ujrzał nagle coś, co się poruszało! O wiele niżej i bardzo daleko od niego płynęła jakaś inna istota, dosłownie pulsująca życiem i energią. Lehesu zmusił zmysły do największego wysiłku, na jaki potrafił się zdobyć w takiej chwili. Przekonał się, że istota jest stosunkowo mała, a w każdym razie o wiele mniejsza niż on. Mimo to promieniowała od niej wielka siła - a to oznaczało, że gdzieś w sąsiedztwie musi istnieć obfite źródło pożywienia.

Młodzieniec uczynił wówczas coś niezwykłego - na co nie pozwoliłby sobie żaden inny mieszkaniec ThonBoki. Zanurkował i popłynął w kierunku nieznanego stworzenia, chociaż nie zaliczał się do drapieżników. Z drugiej strony, trudno byłoby określić go mianem roślinożercy. Takie szczegóły nie miały zresztą absolutnie żadnego znaczenia w obecnych okolicznościach i w tym punkcie czasoprzestrzeni. Oswaftowie mieli zwyczaj żywić się tym, co nadawało się do jedzenia, i zostawiać wszystko inne, co uznawali za niejadalne. Nie znali żadnych innych istot inteligentnych, a wszystko, co zostało stworzone, traktowali jak półmisek, na który mogło trafić pożywienie.

Lehesu pomyślał, że nawet jeżeli stwierdzi, iż obca istota jest niejadalna, przynajmniej zorientuje się, co znalazła do jedzenia. Liczył się z ewentualnością, że sam może zostać uznany przez nią za smakowity kąsek. Miał jednak zbyt mało sił, aby podjąć walkę - i nie podjąłby jej nawet wówczas, gdyby żywił na to ochotę. A w tej chwili nie żywił. Nie miał także ani odrobiny nadziei.

Szybował coraz niżej i niżej. Tak jest, już widział całkiem wyraźnie pyłek o rozmiarach nie przekraczających jednej dziesiątej średnicy jego ciała. Mimo to wyraźnie czuł, że ów pyłek jest nieporównanie silniejszy od niego. A poza tym bardziej opancerzony, przez co trochę podobny do niewielkich, chronionych przez chitynowe skorupy stworzeń, od których aż roiło się w ThonBoce.

Bardzo, bardzo smakowitych.

Kiedy zbliżył się do dziwnej istoty, przekonał się, że jej ciało jest ukształtowane podobnie jak jego. Gdyby sądzić po kierunku, w jakim się poruszała, miała trochę większą szerokość niż długość, a poza tym była trochę bardziej zaokrąglona niż on. Z jej przedniej części, podobnie jak z jego ciała, wystawały dwa grube, trudne do opisu wyrostki. Lehesu nie potrafiły określić, czy są jakimiś organami, czy też może czymś całkiem innym.

Zmysły młodego Oswafta pozwalały mu dostrzegać nie tylko to, na co spoglądały oczy. Dzięki temu Lehesu „widział”, że stworzenie nie ma żadnych manipulatorów, kończyn ani wypustek, wyrastających z podbrzusza. On natomiast miał ich co najmniej kilka setek. Mimo to odnosił wrażenie, że dolna powierzchnia stworzenia może się otwierać. Możliwe więc, że macki, przyłgi albo wyrostki kryły się gdzieś w brzuchu. Lehesu znał kilka rodzajów istot, które...

Nagle wzdrygnął się, kiedy uświadomił sobie straszną prawdę! Znalazł się na tyle blisko, że rozróżniał szczegóły. Z przerażeniem, na które pozwalał sobie bardzo rzadko, zauważył bardzo dużą różnicę, istniejącą między nim a tą... tą rzeczą. Stworzenie było całkowicie nieprzezroczyste, jak zwłoki! Mieszkańcy ThonBoki stawali się nieprzezroczysti, kiedy umierali. Pozostawali w takim stanie, dopóki nie rozsypywali się w proszek, z którego przecież powstało wszystko, co żyło. Istota wyglądała, jakby umarła przed bardzo wieloma laty. A przecież poruszała się tak szybko i pewnie, jakby zdążała do wytyczonego celu. Lehesu pomyślał, że wprowadzie nawet pośród istot należących do jego rasy zdarzały się takie, które... Szybko jednak porzucił tę myśl jako niedorzeczną. Nigdy przecież nie zwracał sobie głowy przesadami. Parsknąwszy w duchu, doszedł do przekonania, że powinien skierować myśli na inne tory. Niemal mu się to udało.

Czekała go jeszcze jedna drobna niespodzianka. Podpłynął bliżej... Już sam fakt, że

znalazł się tak blisko, sprawiłby, iż każdy inny Oswaft uznałby go za szaleńca. Lehesu zorientował się jednak, że dziwne stworzenie usiłuje mu coś powiedzieć. ThonBoka zajmowała ogromny obszar, a zamieszkujących ją istot było bardzo wiele, ale ani jeden fakt, ani drugi nie przyczyniły się do powstania wielu różnych języków. Po prostu Oswaftowie przemieszczali się zbyt szybko i zbyt dobrze znali wszystkie zakamarki ThonBoki. Co więcej, umieli porozumiewać się na odległości, które wydawałyby się nieprawdopodobnie duże jedynie istotom należącym do odmiennej rasy.

Tak więc Lehesu poczuł dziwne świerzbienie, dowodzące, że ktoś inny pragnie z nim się porozumieć. Po raz pierwszy w życiu młody Oswaft nie rozumiał jednak, o co chodzi. Wysłał skupioną wiązkę myśli nacechowanych życzliwością i dobrą wolą, po czym uzbroił się w cierpliwość i czekał na odpowiedź. Po kilku chwilach odebrał dokładnie to samo, co sam wysłał. Skierował zatem następną wiązkę myśli ku opancerzonemu małemu stworzeniu i powtórzył to samo pozdrowienie, które odebrał od niego, kiedy nadlatywał.

Obie istoty wiedziały, że są inteligentne. Niestety, obie rozumiały także, że trudno będzie rozmawiać dalej w taki sam sposób. Opancerzone stworzenie zaczęło odliczać. To śmieszne - pomyślał Lehesu. Gdyby naprawdę było obdarzone inteligencją, bez trudu domyśliłoby się, że jego rozmówca także umie liczyć. Przez chwilę intensywnie rozmyślał, a potem utworzył w mózgu pewien wizerunek. Pragnął przesłać w taki sposób coś konkretnego i widocznego, a nie abstrakcyjnego i złudnego. Nie bardzo wiedząc, co przekazać, wysłał wiązkę myśli przedstawiających widziane z bliska i podobne do metalowego dysku opancerzone stworzenie.

Nastąpił dłuższy okres, w którym nic się nie wydarzyło. Gdzieś w głębinach własnego organizmu Lehesu poczuł coś w rodzaju satysfakcji, że udało mu się zaskoczyć obcą istotę. Potem jednak odebrał wiadomość- obraz i ujrzał siebie, oglądanego z bardzo małej odległości. Doskonale! Dopiero teraz mógł przystąpić do przekazywania obcemu stworzeniu istoty rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znajdował. Zamierzał prosić malca o pomoc. A jeżeli tamten nie mógłby jej udzielić, może chociaż odholowałby go w inne miejsce, gdzie znalazłby jakąkolwiek strawę.

Uformował w myślach wizerunek samego siebie, a potem dokonał pewnej zmiany. Przedstawił istotę swojego gatunku, która stopniowo staje się coraz mniej przezroczysta, coraz mniejsza i bardziej pomarszczona. Następnie, pragnąc opisać ze wszystkimi szczegółami własne położenie, wyobraził sobie, że rozpuszcza się i niknie, a tworzące jego ciało cząsteczki rozpraszają się we wszystkie strony. Poczuł się bardzo dziwnie, myśląc o czymś takim, ale doszedł do wniosku, że to konieczne.

Jeszcze później przekazał obraz Oswafta, pożywającego się tym, co niosły prądy w ThonBoce. Wyglądało to, jakby odradzał się albo budził do życia. Z każdą chwilą stawał się coraz większy, silniejszy i zdrowszy. Jego ciało nabrało znów opływowych kształtów i stało się niemal idealnie przezroczyste. Lehesu wyobraził sobie, że dorasta i przemienia się w gigantycznego Starszego. Z jakiegoś dziwnego powodu poczuł się jeszcze gorzej niż wówczas, kiedy wyobrażał sobie, że umiera. Nie potrafiłby jednak powiedzieć, czy owo przykre uczucie wywołała myśl o uczcie, podczas gdy w rzeczywistości konał z głodu, czy też może przeczucie, że kiedyś sam będzie wyglądał jak jeden z jego nudnych przodków.

Tak czy owak, kiedy skończył przekazywać myślowe wizerunki, przekonał się, że dziwne stworzenie unosi się przed nim zupełnie nieruchomo. Przez długi, bardzo długi czas nie udzielało żadnej odpowiedzi. Lehesu czekał, uważnie mu się przyglądając. Zauważył, że na zewnętrznej powierzchni świeci wiele jasnych punkcików, podobnie jak na skórze niektórych zamieszkujących ThonBokę dzikich stworzeń, kiedy zalecają się do partnerów.



Szczególną uwagę zwrócił na jeden, w przybliżeniu mający kształt sporej kuli i płonący w przedniej części istoty. Przekonał się, że rozbłyskuje w dziwnych, nieregularnych odstępach czasu. Prawdę mówiąc, wszystkie inne oznaki również dowodziły, że stworzenie tryska nieprawdopodobnym, wręcz nieprzyzwoitym zdrowiem. Znieruchomiło, kiedy przekazał pierwszy myślowy obraz, i nadal pozostawało nieruchome, ale sprawiało wrażenie, że się niecierpliwi, a może niepokoi, jakby pragnęło wyruszyć w dalszą drogę.

W końcu wysłało do niego myślowy wizerunek. Lehesu zdumiał się, kiedy go odebrał. Uzmysłowił sobie, że pozwolił, aby jego myśli zbłądziły na inne tory, co stanowiło jeszcze jedną niebezpieczną oznakę zbliżającej się głodowej śmierci. Oczekując na odpowiedź, młody Oswaft wpatrywał się w gwiazdy. Zastanawiał się, czym są i jak daleko się znajdują. Rozmyślał o tym, czy nie mógłby - o ile udałoby mu się przeżyć - wymyślić sposobu, aby do nich dolecieć. Czy możliwe, że dokonaby tej sztuki tak samo, jak wyruszył na Otwarte Morze?

Kiedy - z największym wysiłkiem - zdołał się skupić, zrozumiał, że stworzenie pyta go, czy właśnie tak wyglądają rzeczy stanowiące jego pożywienie. Chwilę później obca istota zaczęła przekazywać myślowe wizerunki wszystkich możliwych do wyobrażenia wspaniałych, smakowitych potraw. Na początku zapytała o przypadkową zbieraninę galaktycznych drobiazgów, które na ogół bezwolnie dryfowały, unoszone prądami przestworzy, i które bywały mimochodem pochłaniane przez przelatujących obok nich Oswaftów. A później przeszła do najbardziej wyrafinowanych kulinarnych przysmaków. Kłopot w tym, że istota w niepojęty sposób mieszała owe wizerunki z obrazami przedmiotów, których Lehesu nigdy nie widział - a nawet z odrażającymi odpadkami.

Podniecony, radośnie wykrzykiwał na znak potwierdzenia, ilekroć przesyłane wizerunki przedstawiały wykwintne smakołyki, a powstrzymywał się od komentarzy, kiedy ukazywały przedmioty nie nadające się do jedzenia. Nieco wcześniej ustalił ze stworzeniem wzorce myśli oznaczających potwierdzenie albo zaprzeczenie. Zastanawiał się, co zrobi teraz dziwna istota. Czyżby zamierzała zaprowadzić go na ucztę, którą sugerowały przesyłane obrazy? Czy znajdzie w sobie dość sił, żeby tam polecieć? A może po prostu kpiła, naigrawając się z jego słabości?

Młodemu Oswaftowi zaczynało to być całkowicie obojętne. I tak zostało mu najwyżej kilka minut życia.

Nagle młodzieniec przeżył największy wstrząs, jakie doznał kiedykolwiek w życiu. Niespodziewanie brzuch stworzenia się otworzył i ze środka wypadły wszystkie obiecywane przez istotę smakołyki. Po chwili otoczyły go gęstą chmurą - tak nieprzeniknioną, że niemal stracił malca z oczu. Radośnie krzycząc, Lehesu zanurkował i zaczął zataczać kręgi wokół przybysza. Za każdym razem, ilekroć przelatywał przez odżywczą mgiełkę, pochłaniał wszystko, co spotykał po drodze. Zostawiał za sobą wyczyszczone do ostatniej drobiny przestworza. Tymczasem obca istota cały czas wisiała nieruchomo, jakby przyglądała się, co robi, a może nawet dziwowała. W każdym razie nie stworzyła ani jednego myślowego wizerunku.

Zataczając kolejny krąg, Lehesu przeleciał wyjątkowo blisko nieznajomego. Zauważył, że skóra istoty nie jest gładka, jak dotychczas mu się wydawało, ale pokryta dziwnymi guzami i naroślami. Tylko pewne fragmenty powierzchni były przezroczyste, a właściwie sprawiały takie wrażenie. Zapewne służyły do przekazywania sygnałów, zbieranych przez zewnętrzne narządy i organy, których wewnętrzne końce ginęły w nieprzeniknionych ciemnościach.

Przynajmniej jednak część ciekawości Lehesu została zaspokojona. Młodzieniec pożywił się i pożywił, chyba obficie niż kiedykolwiek w życiu. Każdy następny zataczany krąg przybliżał go coraz bardziej do dziwnego stworzenia. Lehesu nie odczuwał ani odrobiny



strachu - mimo wszystko, nieznaną istotą ocalała go od głodowej śmierci. W pewnej chwili spojrzenie młodzieńca przesłiznęło się po miejscu, które powiedziałoby mu o wiele więcej, gdyby Oswaftowie umieli porozumiewać się za pomocą pisanych znaków. Niestety, a może na szczęście, nie odczuwali takiej potrzeby. Tak więc spojrzenie Lehesu przesłiznęło się po płytce przymocowanej za pomocą nitów do skóry istoty. Widniało na niej pięć starannie wymalowanych słów, na widok których młody Oswaft przeżyłby wstrząs, gdyby potrafił je odczytać. Pojąłby wówczas, że wcale nie ma do czynienia z żyjącą istotą.

Napiś głosił:

SOKÓŁ MILLENIUM Kapitan: Lando Calrissian

Młodzieniec, raz po raz zataczający coraz ciaśniejsze kręgi wokół kadłuba „Sokoła”, zadowalał się pochłanianiem wszystkiego, co spotykał na swojej drodze. Nie przestawał wypiewywać hymnów wdzięczności, nieustannie wysyłając wiązki elektromagnetycznych impulsów wytwarzanych przez ośrodki mowy ogromnego mózgu.

Formaldehyd smakował mu jak jeszcze nigdy dotąd!

## ROZDZIAŁ II

Lando Calrissian, hazardzista, poszukiwacz przygód, artysta - oszust... ale dobroczyńca?

Nawet jemu samemu wydawało się to bardzo mało prawdopodobne. Mimo to niezaprzeczną prawdą było, że kiedy kilka miesięcy wcześniej natknął się na niesamowitą, oddychającą w próżni istotą, nazywającą siebie Oswaftem Lehesu, jego „Sokół Millennium” leciał przez międzygwiazdną pustkę, kierując się prosto ku ThonBoce. Nazwa ta w języku, jakim porozumiewały się istoty ludzkie, oznaczała ni mniej, ni więcej, tylko Gwiazdo- Groteę.

Istoty rasy Oswaftów wpadły w tarapaty, a Lando spieszył, by im pomóc.

Prawdę mówiąc, on sam był tą pomocą. Leciał pełen wściekłości. Jego gniew nie miał nic wspólnego ani z samym Lehesu, ani z Oswaftami, ani nawet z ThonBoką, ale wiązał się ze złamaniem kości ręki. W tej chwili dbał, żeby się zrosła. Dolegliwość nie była wcale taka uciążliwa ani nie sprawiała mu tylu kłopotów, ile mogłaby w innym miejscu i okolicznościach. Lando unieruchomił rękę w skomplikowanych, chociaż bardzo lekkich kleszczach, składających się z wielu indukcyjnych zwojnic. Owe cewki wytwarzały magnetyczne pole, które w ciągu dwóch albo trzech dni miało sprawić, że złamana kość barkowa się zrosnie. Mimo to urządzenie było nieporęczne i sprawiała kłopoty, zwłaszcza w stanie nieważkości. A Lando coraz bardziej lubił przebywać w takim stanie. Uważał, że to pomaga myśleć.

A zatem wyłączał sztuczne ciężenie i zawisał dokładnie pośrodku pomieszczenia - w jednakowej odległości nie tylko od ścian, ale także płyt pokładu i sufitu. Nieruchomiał w powietrzu i oddawał się rozmyślaniom. Czuł jednak, że dziwny opatrunek wprawia go w rozdrażnienie.

Lando miał również siniak pod okiem i wybity ząb. Mimo to - biorąc pod uwagę wszystko inne, co się stało - obie te dolegliwości właściwie mu nie przeszkadzały. Nie przestając lewitować, przyciągnął bliżej próżniową popielniczkę, którą zawczasu umieścił blisko siebie, i stracił słupek popiołu, jaki utworzył się na czubku kosztownego cygara. Później pochylił głowę i przemówił w stronę panelu interkomu umieszczonego gdzieś pod nim, chyba na blacie stołu:

- Vuffi Raa, jak ci się wydaje tym razem, kiedy osiągniemy cel wyprawy?

W odpowiedzi usłyszał cichy głos, bardzo uprzejmy i równie nieorganiczny jak samo urządzenie, a mimo to przesycony humorem, ciepłem i odrobiną autoironii:

- Za siedemdziesiąt sześć godzin, mistrzu. Dokonałem poprawki w porównaniu z poprzednimi obliczeniami. Ten rejon przestworzy jest tak czysty, że od czasu, kiedy podawałem ci ostatnią wartość, udało się nam zaoszczędzić kilka godzin. Przepraszam za to, że okazałem się taki niedokładny.

Niedokładny? - pomyślał hazardzista. Mały android, niech go błogosławi Jądro, wyrażał się ściślej, poprawniej i łatwiej niż on, a przecież to on lubił określać siebie mianem artysty- oszusta!

Szybkość „Sokoła Millenium” - wielokrotnie przewyższająca prędkość rozchodzenia się światła - była ograniczona jedynie przez gęstość wypełniających międzygwiazdną pustkę gazów. Zazwyczaj w przestworzach panuje doskonała próżnia, ale w każdym kilometrze sześciennym można znaleźć kilka zabłąkanych cząsteczek, nierzadko tworzących skomplikowane chemiczne związki. Magnetograwitacyjne osłony, w jakie bywają zaopatrywane kadłuby chyba wszystkich nowoczesnych gwiazdnych statków, nie pozwalają im zamieniać się podczas lotu w rozżarzony popiół. Co więcej, wygładzają drogę w trakcie podróży przez coś, co da się porównać z zajmującą obszar całej galaktyki superrozrzedzoną atmosferą. Mimo to opór stawiany przez cząsteczki gazów może być w znacznym stopniu osłabiony przez zmniejszenie największej dopuszczalnej prędkości, z jaką podróżuje międzygwiazdny statek.

Wyglądało na to, że obszar, przez który właśnie przelatywał „Sokół Millenium”, nie różni się niczym od większości pozostałych. Pozbawiony normalnego, opóźniającego oporu, stawianego przez cząsteczki rozrzedzonych gazów, niewielki frachtowiec nawet przekraczał prędkość, która w wielu rejonach galaktyki uchodziła za legendarną.

Jego kapitan przez chwilę zachwycił się tym osiągnięciem, ale później ponownie zwrócił głowę w kierunku panelu interkomu.

- Lepiej zmniejsz prędkość o kilka megawęzłów - powiedział. - Muszę mieć trochę więcej czasu, zanim będę mógł zdjąć z ręki ten zwariowany opatrunek. Ty również odniosłeś kilka wymagających odprasowania wgnieceń i zadrapań. Aha, i wiesz co, Vuffi Raa?

- Tak, mistrzu? — napłynęło w odpowiedzi. Oprócz radosnego głosu robota Lando usłyszał także odgłosy stukania w klawisze, co dowodziło, że Vuffi Raa wykonuje jego polecenie. Frachtowiec zwolnił, ale kapitan - dzięki włączonym inercyjnym strefom tłumiącym - niczego nie poczuł.

- Nie nazywaj mnie mistrzem!

Wypowiedział tę uwagę niemal mimochodem. Już dawno przestał dziwić się albo zastanawiać nad tym, dlaczego mały robot okazuje się właśnie w tej jednej drobnej sprawie taki uparty i nieposłuszny. Musiał przyznać przed sobą, że niepokoi się o swojego małego mechanicznego przyjaciela - i to nie dlatego, że mógłby stracić doskonałego androida- pilota; przynajmniej nie tylko z tego powodu. Nieustanne ataki, jakie ostatnio razem odpierali, stawały się coraz poważniejsze. A przecież jeszcze niedawno nie zwracali na nie uwagi. Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu Lando stwierdził, że fakt, iż teraz doskonale wiedzieli, kim są napastnicy i dlaczego ich atakują, w niczym nie poprawiał ich sytuacji.

Hazardzista zgrzytnął zębami i popatrzył na stopę. Umieścił ją w jeszcze jednym, tym razem skromniejszym zestawie zwojnic indukcyjnych, dzięki czemu pulsująca energia pola magnetycznego mogła przepływać i przez ten zakątek ciała. Pomyślał, że owo mniejsze urządzenie przepełnia czarą goryczy - podobnie jak podbite oko. Czym innym było usiłowanie zamordowania przeciwnika - mimo wszystko, czyż nie właśnie na tym polegało wywieranie zemsty? Ale dręczenie go milimetr po milimetrze: tu otarty naskórek,

a tam podbite oko? Lando doszedł do przekonania, że takie postępowanie ma w sobie coś istic diabelskiego. Rzecz jasna, o ile po prostu nie wynikało z nieudolności. Widocznie nieprzyjaciel uświadomił sobie fakt, że istota ludzka, gotowa w innych okolicznościach bez mrugnięcia okiem stawić czoło wygłodniałemu drapieżnikowi, dorównującemu jej pod względem siły i ciężaru, czasami wpada w panikę na dźwięk nieustannie brzęczącego w okolicach ucha dokuczliwego owada.

No cóż - pomyślał ciemnoskóry hazardzista. - Przecież właśnie dlatego wyruszyliśmy na tę tak zwaną wyprawę ratunkową. Kiedyś będę musiał zastosować radykalne środki, żeby wreszcie położyć kres tym nedorzecznym próbom zgładzenia mnie z tego świata. Wcześniej czy później, w taki czy inny sposób, ale nieodwołalnie. Raz na zawsze.

Rzecz jasna, propozycja była bardzo ryzykowna, a stawka w grze wyższa niż chyba kiedykolwiek przedtem. Lando Calrissian powiedział sobie jednak zapewne po raz nie wiadomo który, że bez względu na to, kim innym mógł być w życiu, przede wszystkim uważał siebie za artystę- oszusta. Za człowieka, gotowego zaryzykować i postawić wszystko na jedną, mogącą w każdej sekundzie zmienić walor kartę- płytkę.

Mimo wszystko, to przecież właśnie w taki sposób wplątał się w całą aferę.

Zaczęło się od tego, że pewien uzdolniony, młody i nie mający specjalnych widoków na świetlaną przyszłość poszukiwacz przygód i początkujący hazardzista zasiadł do gry w siedemdziesięcioośmio-karcianego sabaka. Ponieważ szczęście mu dopisywało, już wkrótce wygrał niewielki gwiazdny statek, którym okazał się pokiereszowany i poobijany zmodyfikowany przemysłowy frachtowiec. Nieco później, mimo iż wcale się nie starał, wygrał mniej więcej w taki sam sposób dziwnego androida. Jeszcze później oba automaty i ich właściciel wyruszyli na wyprawę, w trakcie której przeżyli całe mnóstwo niezwykłych przygód. Niektóre okazały się całkiem zyskowne, a inne przysporzyły im kłopotów. Przy okazji narobili sobie немало wrogów. Jednym z nich był pewien samozwańczy czarownik, niejaki Rokur Gepta, który zamierzał przejąć władzę nad całą galaktyką. Niestety, w drodze na sam szczyt potknął się o Landa Calrissiana. Dwukrotnie.

Jegomość poczuł się tym dotknięty i urażony, po czym zaczął obwiniać hazardzistę o pech i wszystkie dotychczasowe niepowodzenia. Co więcej, zapalał żądzą zemsty. Tymczasem obiekt, przeciwko któremu owo uczucie zostało skierowane, jeszcze do niedawna nie miał o tym najmniejszego pojęcia. A kiedy w końcu się dowiedział, postanowił, że nie odwzajemni owej nienawiści. Lando Calrissian, bo o niego to chodziło, za wszelką cenę chciał, aby pozostawiono go w spokoju. Tak więc, za pomocą różnych dostępnych środków przekazywania informacji, usiłował wytłumaczyć swojemu prześladowcy, że jest mu wszystko jedno, kto zarządza wszechświatem. I tak postanowił łamać wszystkie prawa, reguły, zarządzenia i zakazy, które stałyby na jego drodze - i to bez względu na to, kto przejąłby ster rządów w galaktyce. Próbował wyjaśnić, że nie ma nic przeciwko temu, by czarownik sięgnął po całą władzę, jaką tylko mógłby pochwytać. Niestety, owe pochlebstwa - mimo iż samemu hazardzistcie wydawały się rozsądne i rzeczowe - obijały się o nieskore do zrozumienia jego racji organy słuchowe Gepty.

Co gorsza, aby do reszty skomplikować sytuację, Vuffi Raa narobił sobie własnych wrogów - aczkolwiek nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Jego poprzedni właściciel, któremu los poskąpił szczęścia w grach losowych, okazał się bardzo sprytnym funkcjonariuszem rządowym. Celował zwłaszcza w działalność, określaną przez wszystkich innych mianem szpiegowania. Ów gość, dla niepoznaki grający rolę wędrownego antropologa, bez skrupułów wykorzystał małego robota do własnych celów. Zmusił go, aby pomógł w opanowywaniu poprzednio nieznanej, zamieszkującej cały gwiazdny system rasy inteligentnych istot. Niestety, ów podbój zakończył się brutalną wojskową pacyfikacją,

w trakcie której straciło życie dwie trzecie obywateli systemu. Pozostała przy życiu ludność, przerażona i, co zrozumiale, doprowadzona do wściekłości - zapalała do niewinnego androida dozgonną nienawiścią. Poprzysięgła mu zemstę i z rzadko spotykanym entuzjazmem zaczęła robić wszystko, co było możliwe, żeby wyrzucić ją jak najszybciej.

Późniejsze wysiłki, jakie czynił Calrissian, pragnąc wyjaśnić nieporozumienie i zakończyć sprawę na drodze negocjacji, nie tylko spełzły na niczym, ale omal nie przyczyniły się do jego zguby. Niektórym gościom po prostu nie dawało się przemówić do rozumu.

No cóż, właśnie takie jest życie - pomyślał ponuro hazardzista. Unosił się pośrodku pomieszczenia, zaprojektowanego z myślą o pełnieniu funkcji świetlicy dla pasażerów „Sokoła Millenium”.

Dotychczas służyła obu pasażerom frachtowca jako salon, a w tej chwili stanowiła prywatny gabinet, w którym jeden z nich mógł odprężyć się i zebrać myśli. A w myślach, które w tej chwili przychodziły mu do głowy, przeważała ironia. Lando zaciągnął się cygarem.

Cały kłopot polegał na tym, że chociaż obaj mieli własnych śmiertelnych nieprzyjaciół, owi wrogowie nie zawsze ich rozróżniali. A zwłaszcza wówczas, kiedy posługiwali się rozpryskowymi granatami. Kiedy dotarli do ostatniego portu, do którego zawinąć im kazano, korpus biednego Vuffiego Raa został poważnie wgnieciony. Był to rezultat trafienia przez odłamek właśnie takiego granatu, rzuconego ręką jakiegoś najemnego zabójcy, pozostającego na usługach czarownika Gepty. Zanim niezdarny idiota wyzionął ducha, wyznał z całą naiwnością początkującego nowicjusza, że zamiast granatu rzucił zawleczkę. Na szczęście obrażenia, jakie odniósł mały android, miały już wkrótce zostać samoczynnie usunięte. Vuffi Raa dysponował znakomitymi mechanizmami autonaprawczymi.

W trakcie innego incydentu, jaki przydarzył się im wkrótce potem, Lando został przerzucony przez barierę. Wylądował w pojemniku wypełnionym odżywczym, witaminizowanym kleikiem, który nabył właśnie z myślą o tej podróży. W wyniku tej przygody złamał kość ręki i palec u nogi, a poza tym stracił ząb i podbił sobie oko. Do prawdziwej wściekłości doprowadził go jednak fakt, że bezpowrotnie zniszczył prawie odświętny, półoficjalny, welwoidalny mundur kapitana gwiazdowego statku. Był pewien, że za to także odpowiadają nieprzyjaciele Vuffiego Raa. Wydawało mu się, że rozpoznaje charakterystyczną nieudolność, cechującą ich wszystkie poczynania.

„Sokół Millenium” również nie uniknął swojej porcji wgnieceń kadłuba i uszkodzeń. Prawdę mówiąc, to właśnie na nim skupiała się główna siła ataków nieprzyjaciół. Do kadłuba statku przyczepiano ładunki wybuchowe (dwa z nich nawet eksplodowały). Płyty pancerza musiały znosić impet kilku niewielkich bitew, jakie w ciągu ostatnich miesięcy toczyli w pustce przestworzy. Kiedyś w kadłub frachtowca wbił się gwiazdny myśliwiec, pilotowany przez nieprzyjacielskiego żołnierza, wskutek czego uszkodzeniu uległa rampa statku. Wielokrotnie poddawano przeciążeniom silniki „Sokoła”, żeby jak najszybciej skądś odlecieć albo dokąds dolecieć. Bateria czterolufowego działka, kierowana wprawnymi dłońmi Calrissiana, odparła kiedyś zdradziecki atak pirackiego statku, ale ta potyczka chyba nie miała bezpośredniego związku z zemstami, jakie zaprzysięgli wyrzucić wrogowie hazardzisty czy małego androida. Zdumieni i zaskoczeni niespodziewanym oporem, jaki stawiał kapitan pokiereszowanego starego frachtowca, piraci przez dłuższy czas nie szczędzili starań, by pokonać upartego przeciwnika.

Z atakami piratów statek radził sobie doskonale. „Sokół Millenium” był jednostką o wiele szybszą, niż można byłoby sądzić na pierwszy rzut oka, opancerzoną i zdumiewająco silnie uzbrojoną. Kapitan i Vuffi Raa byli doskonałymi pilotami, chociaż to właśnie mały

robot nauczył Calrissiana wszystkiego, co istota ludzka powinna wiedzieć o trudnej sztuce pilotażu. Lando obiecał sobie po raz nie wiadomo który, że dzięki temu, co zarobi na wyprawie do ThonBoki, zdoła w końcu spłacić absolutnie wszystkie długi. Kto wie, a może nawet dostаточно spędzić resztę swoich dni? Miał po dziurki w nosie dotychczasowego życia, chociaż przygotowywał się w duchu na wszystkie pułapki, jakie mogą chcieć zastawić na jego drodze nieznane, porośnięte puszystą sierścią czworonożne stworzenia wszystkożerne.

Delikatnie pociągnął za giętki wąż próżniowej popielniczki, poszybował ku sufitowi świetlicy, a potem odepchnął się i zaczął opadać ku płytom pokładu. Włączył sztuczne ciążenie i ruszył na dziób korytarzem, ciągnącym się łukiem wzdłuż sterburty. Sterownia znajdowała się w pomieszczeniu podobnym do łagodnie zaokrąglonej rury, wystającej z przedniej części dziobu statku.

Na siedzeniu umieszczonego po lewej stronie fotela pilota przycupnęła nie mniej dziwna mechaniczna istota. Wyglądała jak pięcioreka, a raczej pięciomacka chromowana rozgwiazda. Pośrodku pięciobocznego błyszczącego torsu płonęło rubinowym blaskiem pojedyncze oko. W tej chwili wszystkie macki spoczywały nieruchomo - po tym, jak zgodnie z rozkazem kapitana zmniejszyły prędkość lotu „Sokoła Millenium”.

Mającą może metr średnicy istota obróciła się i skierowała czujnik optyczny na wchodzącego Calrissiana.

- Przypuszczam, mistrzu, że teraz sam będziesz w stanie zobaczyć tę mgławicę. Widzisz tamtą rozmytą plamę, prosto na kursie?

Lando wyteżył wzrok, ale po chwili zrezygnował. Podeszedł do konsoli i wcisnął guzik, aby uruchomić elektroniczny teleskop.

Tak, dopiero teraz ją zobaczył. ThonBoka, jak nazywali ją mieszkańcy. Miała kształt wypełnionego jakimś pyłem albo gazem gigantycznego worka, do którego można było się dostać tylko z jednej strony. W pobliżu wlotu dało się zauważyć skupiska pierwotnej materii, której większą część stanowiły najrozmaitsze aminokwasy. We wnętrzu worka, mimo iż nie korzystały z dobrodziejstw żadnych gwiazd ani planet, rozwijały się różne istoty. Wszystkie przystosowały się do życia w pustce przestworzy. Niektóre, obdarzone największą inteligencją, nazwały siebie Oswaftami. W tej chwili były oblegane.

- A co z tą blokadą, Vuffi Raa? - zapytał Lando, sadowiac się na fotelu ustawionym po prawej stronie. Pragnąc zapoznać się ze stanem kontrolnych przyrządów, błyskawicznie omiótł spojrzeniem tarcze mierników i wskaźników. Później, uspokojony i odprężony, wyłowił następne kosztowne cygaro z otwartego sejfu, ukrytego pod kontrolnymi pulpitemi. - Potrafisz ją umiejscowić?

- Tak jest, mistrzu - odparł android. - Właśnie uwzględniam najnowsze dane.

Macki Vuffiego Raa zaczęły śmigać nad kontrolnymi pulpitemi, zupełnie jakby żyły własnym życiem. Automat był robotem klasy drugiej. Pod względem inteligencji i reakcji emocjonalnych dorównywał istotom ludzkim. Wykazywał również wiele innych cennych zalet i właściwości. Od czasu do czasu jednak rozczarowywał Calrissiana, ponieważ oprogramowanie zabraniało mu atakowania i krzywdzenia inteligentnych istot organicznych i mechanicznych. Właśnie ta cecha czyniła z niego automatycznego pacyfistę. Zdarzały się jednak chwile, kiedy przysparzało to hazardziście niemało kłopotów.

Nagle na głównym ekranie ukazującym podobną do worka mgławicę ThonBoki obudziło się do życia prawie sto żółtych punkcików.

Lando gwizdnął.

- Aż tyle okrętów, żeby zablokować jedną bezbronną chmurę gwiazdnego pyłu? Czy przypadkiem nie wydaje się im, że prowadzą następną Wojnę Klonów?

Pochylił się nad pulpitem, by zapalić cygaro, ale zamarł bez ruchu, kiedy ujrzał przed

sobą jarzący się koniec metalowej macki. Doprawdy, Vuffi Raa miał wiele niezwykłych talentów.

- To nawet nie połowa z tych, które przyleciały, mistrzu - odezwał się android. - Nie rozumiem dlaczego, ale niektórzy kapitanowie zmodyfikowali pola ochronne swoich okrętów w taki sposób, aby pełniły funkcję maskującego kamuflażu. Przypuszczam także, że zaminowali wlot mgławicy.

Lando zaciągnął się dymem z cygara. Siłą woli zmusił się do zachowania spokoju.

- A my musimy przelecieć przez tę blokadę. No cóż, moje życie było wprawdzie krótkie, ale jakże treściwe. Czy możesz się postarać, żeby pola naszych osłon również przekształciły się w taki kamuflaż?

Robot skasował obraz, wyświetlany na ekranie głównego monitora.

- Obawiam się, że nie, mistrzu. Ta technika jest niezwykle skomplikowana.

- To oznacza, że posługują się nią wszyscy we wszechświecie z wyjątkiem cywilów - mruknął Lando. - No cóż, wydaje mi się, że masz jakiś plan, który pozwoliłby nam wybrnąć z takiej sytuacji.

Nastąpiła krótka cisza, w trakcie której, gdyby Vuffi Raa potrafił dokonać tej sztuki, mógłby zamrugać w zdumieniu pojedynczym okiem.

- Myślałem, że to ty wymyśliłeś jakiś plan, mistrzu - odezwał się w końcu zaniepokojony android.

Śniadoskóry hazardzista wrzucił ramionami, po czym westchnął z wyraźną rezygnacją.

- Obawiałem się, że zechcesz powiedzieć coś w tym rodzaju. Prawdę mówiąc, zastanawiałem się nad jakimś planem, ale na razie nie doszedłem do konkretnych wniosków. Myślę, że udam się teraz znów do swojej samotni i zajmę dopracowywaniem szczegółów. Wrócę tak szybko, jak tylko będzie możliwe. Nie wstrzymuj oddechu, bo może to potrwać jakieś sto lat, a może nawet trzysta.

Rozpiął klamry ochronnej sieci i nie ukrywając obrzydzenia, po raz ostatni spojrzął przez segmentowany iluminator. Później pochwycił cygaro i opuścił sterownię. Przeszedł korytarzem do zagraconej świetlicy, gdzie wyłączył generator sztucznego ciężenia i odepchnąwszy się od płyt pokładu, zawisnął dokładnie w geometrycznym środku pomieszczenia. Znieruchomiał i zaciągając się cygarem, usiłował zebrać rozproszone myśli.

Wkrótce przekonał się, że tego dnia nie idzie mu to najlepiej.

- Mistrzu?

W cichym głosie, jaki wydobył się z panelu interkomu, zabrzmiało zaniepokojenie. Lando ocknął się z zamyślenia, a może nawet z drzemki, w trakcie której karty- płytki w jego dłoni - bez względu na to, jakie otrzymywał - zawsze zamieniały się w śmiecie. Tymczasem samotna karta, jaką dysponował jego ukrywający twarz i odziany na szaro przeciwnik, za każdym razem okazywała się nową kartą, która nigdy przedtem nie istniała. Nazywała się Ostateczny Atut i automatycznie zapewniała graczowi dwadzieścia trzy punkty.

- Chrrrr... Co się stało?

Lando zamrugał i natychmiast przekonał się, że ocieka potem. Przesiąknął nim nawet inny welwoidalny półoficjalny mundur kapitana. Cuchnął jak sierść bantha, którego ktoś omal nie zajeździł na śmierć. Młody hazardzista przeciągnął się, usiłując usunąć z mięśni zmęczenie, którego wcale nie powinien odczuwać, zważywszy na zerową siłę ciężenia.

- Vuffi Raa, ile razy ci powtarzałem, żebyś nigdy nie nazywał mnie...

- Mistrzu - przerwał mu coraz bardziej zaniepokojony android. Najwyraźniej czekał na jakieś polecenia. - Minęły prawie trzy godziny. Czy skończyłeś dopracowywać szczegóły planu?

- Uhm, niezupełnie - odparł hazardzista, nagle przytomniejąc. Kilka razy potrząsnął

głową, bezskutecznie usiłując odzyskać jasność myślenia. - Wciąż nad nimi pracuję. Powiedziałem ci, że dam znać, kiedy...

- No cóż, chyba byłoby lepiej, mistrzu, gdybyśmy porozmawiali, jeżeli nie masz nic przeciwko temu - przerwał mu Vuffi Raa po raz drugi. - Widzisz, w tej chwili w odległości niespełna stu kilometrów przed dziobem, od strony sterburty, unosi się patrolowy krążownik. Był tak dobrze zakamuflowany, że dotychczas go nie zauważyłem. Jego artylerzyści wystrzelili dwa razy, żądając, żebyśmy się zatrzymali. Oświadczyli, mistrzu, że jeżeli nie zastopujemy i nie wyrazimy zgody na przyjęcie oddziału abordażowego, następnym strzałem rozetną nas na połowy.

Lando chrząknął. Poczuł, że ślina w ustach smakuje jak łajno mynocków.

- Na wypadek, gdybyś nie wiedział, stary druhu, to Marynarka Wojenna. Nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości.

### ROZDZIAŁ III

Planeta nazywana Tundem drzemała, ukryta z daleka od wszystkich innych cywilizowanych systemów i światów. Ciesząca się niegdyś niemal legendarną sławą, osiągnęła stan, w którym jej nazwy nie wymieniało się inaczej niż szeptem. Owo wypowiedane szeptem słowo nie zawsze oznaczało planetę. Czasami posługiwano się nim, pragnąc podać nazwę systemu, a nierzadko nawet całej gwiazdnej gromady. Nikt nigdy nie był pewien, co kryło się pod tą nazwą. Plotki głosiły, że od dziesiątków tysięcy zamieszkiwali Tund potężni, ale dobrotliwi magowie. A jednak z nazwą ich ojczyzny kojarzyła się zawsze straszliwa trwoga, która nie pozwalała nazwy tej wymawiać głośno, a nawet o niej myśleć. Zapewne owo przerażenie wywoływała obawa przed zwróceniem na siebie uwagi czegoś wszechwiedzącego i wszechmocnego, a zarazem niechętnego i wrogiego. Spaloną powierzchnię Tundu smagały tumany ciemnoszarego jak proch i drobnego pyłu. Miejsca, w których kiedyś rosły dziewicze lasy albo tropikalne dżungle, a także gdzie całymi tysiącami kilometrów ciągnęły się trawiaste równiny, pokrywały obecnie szare wydmy. Tund był światem zniszczonym za pomocą czarów.

A ściślej, za pomocą wiary w czary.

Powierzchnia planety, widziana ciemną nocą, promieniowała słabą poświatą. Owego blasku nie wydzielaly jednak rozpadające się atomy. Poświata miała upiorną jasnozieloną barwę, którą zawdzięczała energii, nie znanej w żadnej innej cywilizowanej części galaktyki. Tam, gdzie złowieszczo rozbłyскиwała, nie ostawało się i nie mogło ostać nic, co żywe. Jednym z powodów takiego stanu była chęć zachowania w jak najściślszej tajemnicy faktu, że wszystko, co dotąd żyło i mieszkalo na powierzchni planety, stał z niej ktoś taki jak Rokur Gepta. Unicestwił wszelkie żywe organizmy - począwszy od mikroskopijnych prymitywnych pierwotniaków, a skończywszy na istotach obdarzonych inteligencją. Uczynił to, ponieważ zamierzał przedsięwziąć przerażające, nieludzkie, kosmiczne środki ostrożności.

Drugim powodem, dla którego się na to zdecydował, była zwyczajna złośliwość i żądza mordu.

Tu i ówdzie na powierzchni planety pozostały jednak oazy, gdzie których nadal tliły się - ściśle nadzorowane i kontrolowane- iskiery życia. Oazy były niewielkimi obszarami, z których po upływie następnych miliardów lat - kiedy zgasną ostatnie złowieszcze szmaragdowe płomienie i ogniki - miało rozpocząć żalosną egzystencję nowe życie. Oazy były chronione przez potężne siłowe pola, powstrzymujące triumfalny pochód migotliwej śmierci, jaka ogarniała całą powierzchnię.



W jednej z takich przystani wylądował krążownik „Wennis” - gwiazdny okręt, co prawda wycofany z czynnej służby i przestarzały, ale nadal będący sprawnym, skutecznym i przystosowanym do potrzeb nowego właściciela narzędziem bezlitosnej walki. Załogę okrętu stanowiła dziwaczna zbieranina świadomie wybranych ludzi, zaliczających się do galaktycznej śmietanki wojskowych i techników albo będących najgorszymi szumowinami, zebranymi z powierzchni całej galaktyki. Nierzadko można ich było zakwalifikować i do jednych, i do drugich. Uzbrojenie i systemy obronne krążownika mogły niszczyć całe kontynenty, a czasami - jeżeli zachodziła taka potrzeba - stanowić wsparcie niewielkich grup nie uzbrojonych szpiegów albo specjalistów. Okręt stanowił dar - przekazany ze słowami rozważy - przez najwyższe, a zatem najbardziej wrażliwe źródło władzy w całej galaktyce.

Rokur Gepta doskonale wiedział, że kiedy zakończy wprowadzać wszystkie zmiany, „Wennis” przemieni się w okręt trudny do rozpoznania.

W taki sam sposób, jak z okrętami, czarownik postępował z planetami i ludźmi. Jedyne wartości, liczącymi się dla niego, były te, które pozwalały mu dążyć do wytkniętego celu. Bogactwa ani klejnoty nie znaczyły nic, jeżeli nie pozwalały pięć się po szczeblach władzy. Nie liczyło się towarzystwo innych istot inteligentnych, a nawet - co Gepta zawdzięczał najdziwniejszym i chyba najbardziej odpychającym cechom budowy fizycznej - towarzystwo osób płci odmiennej. Czarownik był równie pozbawiony ciepła i życia, jak dzieło jego własnych rąk - planeta zwana Tundem. Taka pustka wymagała ciągłego wypełniania, a mogła ją wypełnić - choćby na chwilę - jedynie nieograniczona władza. Kiedyś i on zdobędzie taką władzę, że będzie przekazywał innym równie hojne podarunki - wycofane z czynnej służby gwiazdne krążowniki. Z pewnością jednak zwróci o wiele większą uwagę, żeby były wykorzystywane zgodnie z jego interesami. Ale nawet wówczas potraktuje ów wyniosły szczebel władzy jako jeden z wielu, który pomoże mu wspiąć się jeszcze wyżej. Miliony gwiazdnych systemów, nad którymi wówczas zapanuje, to przecież jedynie niewielki okrucuch całej galaktyki.

A pojedyncza galaktyka to tylko niewielka część całego nieskończonego...

Rokur Gepta ukrywał się gdzieś głęboko w wijących się jak jadowite węże jaskiniach i korytarzach, wykutych we wnętrzu zamordowanego Tundu. W tych samych jaskiniach, w których kiedyś osobiście wyszukiwał i unicestwiał - jednego po drugim - wszystkich swoich sędziwych nauczycieli. Każdego uśmiercał, mimo iż to przecież oni, dobrotliwi czarownicy, obdarzyli go miłością i nauczyli posługiwać się czarodziejską mocą. Możliwe, że właśnie to przyczyniło się do ich zguby. Zdradliwy uczeń siedział nieruchomo, pogrążony w głębokiej zadumie. Przebywał w absolutnych, nieprzeniknionych ciemnościach - nie rozjaśnianych przez żaden przelatujący samotny foton. Rokur Gepta czuł, że właśnie takie okoliczności najlepiej pomagają mu zebrać myśli. Znał inne sposoby postrzegania rzeczywistości.

A resztą, nawet gdyby zobaczył go ktokolwiek inny, przebywający na powierzchni planety skąpanej jaskrawym blaskiem słońca, musiałby dojść do wniosku, że niewiele widzi. Po prostu Rokur Gepta nie zaliczał się do istot, dających się rozpoznać za pomocą zmysłów. Był czymś w rodzaju rozmytej, niewyraźnej plamy - czymś niejasnym, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychologicznym - zapewne dlatego, że jego najbardziej charakterystyczną barwą była trwoga. Jeżeli jego wygląd opisywali postronni obserwatorzy - chociaż zdarzało to się wyjątkowo rzadko — ich opisy krańcowo się różniły. Jedni twierdzili, że czarownik jest złośliwym karłem. Inni utrzymywali, że istotą przeciętną, aczkolwiek obdarzoną nadprzyrodzonymi cechami. Jeszcze inni uważali go za przerażającego giganta, mającego ponad dwa, a czasem nawet i trzy metry. Wszyscy jednakże się zgadzali, że zawsze bywa ubrany w długi do samej ziemi fałdzysty płaszcz

i zawój - wszystko takiej samej ciemnoszarej barwy jak pozbawiony wszelkiego życia świat, z którego się wywodził. Wszyscy też się zgadzali co do tego, że ów niezwykle strój okrywa całe ciało czarownika - począwszy od (domniemanych) stóp, a skończywszy na czubku (przypuszczalnej) głowy. Na głowie zaś magik nosi coś, co przypomina turban albo zawój. Końcowe zwoje ciemnoszarej wstęgi niknęły tam, gdzie powinna zaczynać się szyja. Odsłonięte pozostawały jedynie oczy - wyglądające jak dwa wirujące, bezlitosne i zachłanne stawy.

Rzecz jasna, Rokur Gepta miał wielu wrogów, ale przeżył - czasami podejmując niezwykle środki - ogromną większość spośród tych, którzy mogli wyrządzić mu jakąś krzywdę. Przeżył również wielu innych, po prostu dlatego, że zaliczał się do istot wyjątkowo długowiecznych. Mimo to jego długie życie bywało narażane na śmiertelne niebezpieczeństwa - ze strony tych nielicznych, którzy wciąż żyli, a także nowych, żyjących względem niego niecznymi zamiarami. I właśnie przez tych ostatnich znajdował się w obecnym trudnym położeniu.

Czarownik otrzymał informację, przekazywaną przez wszystkie pośrednie szczeble służbowej hierarchii, o pojawieniu się emisariusza - wysłannika, którego listy uwierzytelniające proponowały zawarcie korzystnego przymierza. Gepta nie wiedział, czy powinien zaufać gościowi na tyle, żeby spełnić jego żądanie. Nie miał pojęcia, czy przyjąć go na prywatnej audyencji i wysłuchać, co ma do powiedzenia.

Zastanawiał się nad tym jeszcze dłuższą chwilę. Ryzyko, związane z takim indywidualnym posłuchaniem, było niepokojąco duże. Co więcej, wysłannik reprezentował interesy istoty obdarzonej tak dużą władzą, że zachodziła obawa, iż przedsięwzięcie wyjątkowych środków bezpieczeństwa mogłoby zostać zinterpretowane jako afront. Istniały granice środków, do jakich można było się uciec, a poza tym żadne nie chroniły przed sprytem i przebiegłością skrytobójców albo zamachowców. Rokur Gepta wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Sam przecież bardzo często korzystał z ich usług.

Kiedy w końcu podjął ostateczną decyzję, wykonał gest ukrytą w szarej rękawicy dłonią. W monstrualnie wielkiej jaskini pojawiła się słaba poświata, która przybierała na intensywności, aż w końcu wypełniła wszystkie zakamarki. Niewielkie włochate czarne stworzenia zamieszkujące szczeliny w ścianach zapiszczały na znak protestu, a potem, przebijając odnóżami, ukryły się jeszcze głębiej w swoich kryjówkach.

Gepta pomyślał, że musi jakoś wynagrodzić swoim ulubieńcom te niewygody. A jeżeli nieznajomy wysłannik zawiedzie oczekiwania, jakie czarownik pokładał w związku z jego wizytą, pozwoli, żeby stał się częścią owej nagrody.

Cichy elektroniczny świergot, jaki wydobył się z głośnika urządzenia, ukrytego w lewym podłokietniku bazaltowego tronu, ostrzegł go, że zbliżają się goście. Czarownik unieruchomił swój wizerunek. Nie widział sensu w niepokojeniu wysłannika już na samym początku audyencji. Pomyślał, że czas na zastraszanie, wprowadzanie w błąd i zdradę przyjdzie nieco później. Zawsze tak się działo.

Z korytarza, dochodzącego do wielkiej groty w przeciwnym końcu po prawej stronie, w odległości jakiegoś kilometra od bazaltowego tronu, wyłoniła się niewielka procesja. Tworzyli ją idący jeden za drugim podwładni, odziani w jednakowe wojskowe mundury, z których usunięto wszelkie naszywki i odznaki. Zapewne chciano dzięki temu stworzyć wrażenie, że noszący je ludzie są cywilami. W rzeczywistości byli częścią tego samego daru, którego inną część stanowił wycofany z czynnej służby krążownik „Wennis”. Służyli poprzedniemu mocodawcy w taki sposób, że wykonywali wszystkie rozkazy wydawane im przez Rokura Gepta.

Straż honorową wysłannika stanowiła grupa sześciu uzbrojonych po zęby i maszerujących jak na defiladzie ludzi. Każdy krok świadczył o tym, że są czujni i gotowi, gdyby to

okazało się konieczne, natychmiast przystąpić do działania. Pośrodku grupy siedł wysoki, barczysty i silnie umięśniony mężczyzna, ubrany w podniszczony kosmiczny kombinezon. Jedną ręką przyciskał do ciała wielki i równie zniszczony hełm pilota. Zbliżając się do tronu, cała grupa mijala liczne, wystające z dna jaskini spiczaste stalagmity. Podążała starannie wytyczonym i zamaskowanym wąskim szlakiem - zboczenie z niego groziło szybką, gwałtowną i nieuchronną śmiercią.

Siedząc na wysokości trzech metrów ponad dnem jaskini, czarownik cierpliwie czekał, aż podejda bliżej.

Kiedy procesja dotarła do stóp tronu, żołnierze Gepty znieruchomieli w postawie zasadniczej. Wyglądało na to, że nieznajomy przybysz także stanął na baczność, ale już od pierwszego rzutu oka można było się zorientować, iż zaliczał się do gości, którzy po odpowiednim czasie będą wyglądali, jakby im na niczym nie zależało. Mężczyzna sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego, a zarazem czujnego i ostrożnego. Chyba nie obawiał się niczego - nawet śmierci.

Rokur Gepta pomyślał, że jeżeli miałby czuć lęk przed kimkolwiek, to właśnie przed kimś takim jak ów człowiek stojący przed jego majestatem.

- Panie! - odezwał się dowódca straży honorowej. - Pozwól przedstawić sobie Klyna Shangę, panie, naczelnego admirała floty Konfederacji Renatazji!

Czarownik Gepta nie uznawał żadnych tytułów ani stopni. Uważał, że tytułować mogą się jedynie prostaczkowie. Tolerował jednak, kiedy podwładni nazywali go „waszą ekscelencją” albo „panem”. Doszedł do wniosku, że jako byli wojskowi czuliby się niepewni i zdezorientowani, gdyby nie mogli umieszczać jednego albo drugiego tytułu przynajmniej raz w każdym zdaniu, jakie do niego wypowiadali.

Spoglądając z góry na skamieniałego giganta, lekko kiwnął głową. Zapewne pragnął w taki sposób dać do zrozumienia, że go zauważył.

- Admirale, witaj na Tundzie - syknął po dłuższej chwili. - Jeżeli nie liczyć moich podwładnych, tylko niewielu widziało tę planetę, a jeszcze mniej przeżyło, żeby opowiedzieć, jak wygląda.

Shanga wyszczerzył zęby i rozciągnął usianą bliznami twarz w szerokim uśmiechu. Blizny i szramy pokrywały całą jej powierzchnię. Niektóre nakładały się na inne, tak że nie pozostawiały ani centymetra kwadratowego wolnego miejsca. Mimo to widok tej twarzy zapewne sprawiłby przyjemność zwyczajnym śmiertelnikom. Klyn Shanga wyglądał jak uosobienie poszukiwacza przygód i awanturnika - żołnierza, który był wszędzie, gdzie toczyły się bitwy. Miał wygląd człowieka, który zwiedził kawał wszechświata i zaznał niewygód życia, ale pokonał wszystkich przeciwników.

Zignorował groźbę, jaka kryła się w słowach gospodarza.

- Ten „admiral” to coś w rodzaju żartu, czarowniku - powiedział. - Posługując się twoją terminologią, jestem zwyczajnym dowódcą eskadry, chociaż w chwili obecnej nawet trudno byłoby mówić, że owa jednostka bojowa w ogóle istnieje. A jeżeli już mówimy o tym, skąd pochodzę... na Jądro, właściwie nie ma również żadnej konfederacji! Mimo to jestem pewien, że jak podano w moich listach uwierzytelniających, możemy ci się do czegoś przydać. Słyszałeś może, co się wydarzyło na Retanazji?

Gepta ponownie kiwnął głową. Kiedy otrzymał prośbę o udzielenie audiencji, skontaktował się ze źródłami informacji i zaprosił na konferencję całą sforę rządowych szpiegów. Niewiele się dowiedział, bo jego bazy danych nie zawierały niemal żadnych szczegółów. Widocznie wszystkie inne ślady energicznie zacierano. Mimo to udało mu się dotrzeć do sedna sprawy.

- To nazwa planety, a może nawet systemu skolonizowanego na długo przedtem, zanim w galaktyce zapanował obecny ład polityczny - powiedział. - Ów świat rozwijał

się niezależnie od pozostałych i może właśnie dlatego szybkość rozwoju była mniejsza niż gdzie indziej. Trudno byłoby jednak określić go mianem zacofanego. Tak czy owak, wygląda na to, że galaktyka o nim nie wiedziała. Kiedy w końcu się dowiedziała, niektóre grupy przedsiębiorców, działając za przyzwoleniem Marynarki, wyeksploatowały Renatażę i praktycznie unicestwiły jej cywilizację. Ty, twoja eskadra i to, co określasz mianem konfederacji, jesteście wszystkim, co pozostało z zagłady. Czy przedstawiłem główne punkty tej historii we właściwym świetle, admirałe Shango?

Przez dłuższy czas w ogromnej jaskini rozbrzmiewało echo świszczącego szeptu czarownika. Tym razem Shanga kiwnął głową.

- Zgadza się. Przeżyła jedna trzecia obywateli, ale później wielu zmarło z chorób i głodu. - Oparł się niedbale o najbliższy stalagmit, a potem zaczął kołysać hełmem, owinawszy jego ramię wokół wskazującego palca. - Odeślij swoich pachołków, żebyśmy mogli pogadać o interesach. Co ty na to?

Najwyższym wysiłkiem woli Gepta stłumił falę wściekłości, jaka zalała go na widok zuchwalstwa admirała. Poczekaj, jeszcze przyjdzie czas - powiedział sobie. - Przyjdzie czas, kiedy się z nim rozprawisz. Nieco później. Gestem dał znak strażnikom, na których twarzach malowało się niezdecydowanie. Widząc ów gest, żołnierze drgnęli i ponownie przyjęli postawę zasadniczą. Później odwrócili się i odmaszerowali, aby podążać tym samym tajnym szlakiem, którym przyszli. Zajęło im to kilkanaście minut, ponieważ niewidoczny, długi szlak nie biegł prosto, ale wił się między stalagmitami. Tymczasem Shanga nie przestawał beztrzesko opierać się o spiczastą iglicę. Bez przerwy także szczyrzył zęby w szerokim, ironicznym uśmiechu, co doprowadzało Geptę do jeszcze większej wściekłości.

- A zatem, czarowniku, czym właściwie naraził ci się Lando Calrissian? - zapytał, kiedy ostatni strażnik wyszedł z jaskini.

Gepta drgnął jak użądłony i chcąc się upewnić, że nikt inny nie jest świadkiem owej drwiny, omiótł ukradkowym spojrzeniem ogromne pomieszczenie. Później usiadł wygodniej na bazaltowym tronie i wzrokiem zimnym jak lód spiorunował bezczelnego pilota. Kiedy wreszcie przemówił, postarał się, żeby jego głos nie drżał z wściekłości.

- Niech ci wystarczy, że mnie ciężko obraził - przede wszystkim swoim bezgranicznym zuchwalstwem. Byłoby lepiej, Klynie Shango, gdybyś miał ten fakt na uwadze. Obaj zgodziliśmy się co do tego, jak wygląda historia twojego nieszczęsnego świata. Powiedz mi, dlaczego tak interesuje cię ten wędrowny hazardzista. Jaki może mieć związek...

W ułamku sekundy beztrzeska poza, jaką dotąd przybierał Klyn Shanga, zniknęła bez śladu. Wprawdzie mężczyzna nadal opierał się o spiczasty stalagmit, ale stał sztywno jakby kij połknął, a jego ciało trzęsło się ze wściekłości. Minęło chyba kilka minut, zanim zdobył się na odpowiedź.

- Calrissian nie wyrządził mi żadnej krzywdy. Ma jednak partnera...

- Robota? - przerwał mu Gepta. - Chyba nie mówisz poważnie, admirałe...

- Robota? - powtórzył porywczo mężczyzna. - Kiedy przebywał na Renatażi, nie był żadnym robotem, tylko pięciomacką organiczną inteligentną istotą! Widziałem go doskonale - podobnie jak wszyscy inni mieszkańcy mojej planety! Uczestniczył we wszystkich uroczystościach, bankietach i paradach! Był bohaterem wywiadów, prowadzonych przez wszystkie środki masowego przekazu! Podawał się za emisariusza zaginionej przed tysiącletkami galaktycznej cywilizacji, która później... później... doprowadziła do zagłady naszego świata! W rzeczywistości okazał się nikczemnym szpiegiem. Podstępnie zdobył nasze zaufanie, odkrył wady i słabości, a potem - postępując z bezwzględną konsekwencją - pomógł ułożyć plan unicestwienia naszej cywilizacji! Robot? O tak, widziałem go później - po bitwie, jaką stoczyliśmy w systemie Oseona. Rzeczywiście

wyglądał jak nieszkodliwy automat, ale jego przebranie mnie nie oszukało! Ani na jedną nanosekundę! Robot, powiadasz? Co mógłby zyskać na zniszczeniu naszego...

Gepta nie pozwolił mu dokończyć, władczym gestem unosząc prawą rękę. W przeciwieństwie do swojego rozmówcy, doskonale wiedział, dlaczego android miałby brać udział w unicestwianiu gwiazdowego systemu. Jeśli zostałby właściwie zaprogramowany, nie miałby wyboru, a gdyby jego właściciel pokrył jego metalową powłokę warstwą sztucznego tworzywa do złudzenia przypominającego materię organiczną, automat przemieniłby się w doskonałego szpiega. Czarownik nie zamierzał jednak tłumaczyć tego wszystkiego starszawemu mężczyźnie. Nie chciał się z nim kłócić, gdyż wówczas mógłby stracić potencjalnego sprzymierzeńca. Shanga mógł jeszcze oddać mu wiele usług - i zniknąć, kiedy przestanie być potrzebny.

- A zatem, admirale, obaj mamy osobiste powody, żeby jak najszybciej zakończyć to polowanie - powiedział, spoglądając na rosnącego wojownika. - Przyjmuję propozycję pomocy i współpracy. Pamiętam jednak, że twoje listy uwierzytelniające sugerowały, iż możesz przydać mi się do czegoś więcej. Twierdziłeś w nich, że wiesz, gdzie w tej chwili można znaleźć „Sokoła Millenium”?

- Znaleźć i usidlić! - poprawił go pilot, wyraźnie akcentując ostatnie słowo. - Czy potrafisz wyobrazić sobie, jakie to będzie rozkoszne? Wszelkie drogi odwrotu zablokowane przez nas i przez Marynarkę! - Zaczął się śmiać i czynił to tak długo, aż śmiech przemienił się w histeryczny chichot. Potem zakrztusił się i oparł cały ciężar ciała o kamienną iglicę. Uniósł ręce do twarzy i zaczął przecierać oczy. Kiedy odzyskał mowę, zdołał wykrztusić tylko jedno słowo: - GwiazdoGrota!

Rokur Gepta nie od razu odpowiedział. Uczynił zapewne nie do końca skuteczny wysiłek, aby nie dać po sobie poznać, że nie ma najmniejszego pojęcia, o co chodzi. Wyglądało na to, że nigdy w bardzo długim życiu nie słyszał tej nazwy, ale był pewien, że zmieniłby ten stan, gdyby mógł spędzić w samotności przynajmniej godziną, zapoznając się ze swoimi źródłami informacji.

- Powiadasz, że w GwiazdoGrocie? - odezwał się obojętnym tonem. Zapewne nie chciał, żeby cisza za bardzo się przeciągała.

Pilot myśliwca kiwnął głową.

- Tak jest, my również mamy siatkę własnych szpiegów, Gepto. Zmusiły nas do tego okoliczności. Mimo wszystko, właśnie owi szpiegowie... ale to przecież nie ma znaczenia. Liczy się tylko, że Marynarka zarządziła blokadę. Nie wiemy, dlaczego. Co prawda, docierają do nas różne plotki i pogłoski, ale większość z nich jest tak absurdalna, że chyba są rozpuszczane celowo przez funkcjonariuszy kontrwywiadu. A zresztą, to nieistotne, dlaczego flota oblega mgławicę. Wiemy z całą pewnością, że Calrissian zamierza przełamać tę blokadę. Co więcej, jest całkiem możliwe, że właśnie w tej chwili, kiedy rozmawiamy, udało mu się już dokonać tej sztuki. A zatem, mam wszystko, czego potrzebujesz: informację i nową eskadrę gwiazdowych myśliwców. Ty zaś dysponujesz tym, czego my potrzebujemy: sposobem przedarcia się przez blokadę. Jeżeli uda się nam usidlić Calrissiana w środku mgławicy, będziemy mogli...

Urwał i pozwolił, żeby reszta zdania pozostała nie wypowiedziana. Zapadła długa cisza, w trakcie której obaj oddawali się rozmyśleniom o osobistej zemście. Gepta sprawiał wrażenie zaskoczonego, że wojskowi przedsięwzięli zakrojoną na tak wielką skalę operację, a on o tym nawet nie miał pojęcia. Z drugiej strony, nieco wcześniej wydawał się zaskoczony faktem, iż nie wiedział o tym, co wydarzyło się na Renatazji. Wszystko świadczyło o tym, że poznał prawdę dopiero wiele lat później. Chyba nie mniejsze zdumienie czuł na myśl o pracowitości, entuzjazmie i fachowości szpiegów Shang. Pomyślał, że kiedy to wszystko dobiegnie końca, wówczas on, czarownik, mógłby wcielić owych funkcjonariuszy... Ale ta

sprawa mogła jeszcze zaczekać. Na razie musiał zakończyć długotrwały i bardzo irytujący epizod - i usunąć przeszkodę stojącą na drodze do zdobycia pełni władzy.

- Bardzo dobrze, admirale Shango - odezwał się w pewnej chwili, jakby podjął ostateczną decyzję, z którą pragnął zapoznać wojownika. - Zawrzemy porozumienie. Postanowiłem, że polecimy do tej... tej GwiazdoGroty i przekonamy się, co będziemy mogli zrobić. Unowocześnianie systemów uzbrojenia „Wennisa” zostało prawie zakończone, a zresztą wydam rozkazy, żeby pozostałe prace zostały przyspieszone. Twoja eskadra spotka się z moim krążownikiem w miejscu, które będzie odpowiadało nam obu. Pomogę ci przedrzeć się przez blokadę, a ty pomożesz mi unicestwić „Sokoła Millenium” i pozbyć się jego właściciela. A później...

Shanga stanął prosto. Zaczął gorączkowo przebierać palcami prawej dłoni w pobliżu miejsca, gdzie zazwyczaj nosił odebrany przez strażników Gepty ciężki blaster. Prawdę mówiąc, kiedy został pozbawiony broni, poczuł się jak ktoś nagi albo okaleczony. W poprzek i trochę na ukos dolnej części kosmicznego kombinezonu widniał wytarty ślad po szerokim i grubym pasie, który zwykle tam spoczywał. Biegł od górnej części lewego biodra, na którym się zaczynał, do dolnej części prawego, gdzie zazwyczaj wisiała wojskowa kabura.

- Tak? - zapytał mężczyzna, jakby nie mógł doczekać się reszty zdania. - Co później? Czarownik się uśmiechnął, ale ów uśmiech przejawiał się jedynie w sarkastycznym tonie głosu. Zachłanne oczy, płonące w szczelinie między zwojami ciemnoszarej taśmy, rozjarzyły się jeszcze mniej przyjemnym blaskiem.

- A później, drogi admirale Shango, podążymy własnymi szlakami. Ty zajmiesz się odbudową cywilizacji Renatazji, którą - jestem pewien - wzniesiesz na nowe, niebotyczne wyżyny. Ja natomiast, jeżeli chcesz wiedzieć...

- Zapiekanki z mynocków!

Shanga uniósł ukrytą w rękawicy dłoń i dotknął skroni w geście, będącym czymś w rodzaju kpiącego salutu. Następnie, nie zwracając sobie głowy zegnaniem gospodarza, odwrócił się na pięcie ciężkiego, podkutego wojskowego buciora i ruszył wijącym się między stalagmitami długim szlakiem w kierunku wylotu korytarza.

Świerbiły go palce, nawykłe do trzymania blastera. Świerzbienie czuł także na plecach - dokładnie pośrodku między łopatkami. Poczuł je w tej samej chwili, kiedy odwrócił się tyłem do wiarołomnego czarownika. Zamierzał jak najszybciej znaleźć się w kabinie niewielkiego myśliwca. Bardzo chciał wystartować i dołączyć do towarzyszy, unoszących się w przestworzach wokół systemu Tundu. Wymarła, opustoszała planeta przyprawiała go o dreszcze.

Tymczasem czarownik Gepta, nie odzywając się ani słowem, obserwował, jak figurka oddalającego się renatazjańskiego żołnierza maleje i roztapia się w panującym półmroku. Raz po raz nerwowo zaciskał i rozkurczał palce dłoni, ukrytych w ciemnoszarych rękawicach. Tłumił wściekłość, płonącą w sercu i doprowadzającą go do szału. Żeby pierwszy lepszy podwładny, nie okazując należynej czci, odwracał się bez słowa i kończył audyencję! Żeby tak postępował człowiek, nie tylko mający czelność się z nim równać, ale także wtrącać w jego sprawy?

To prawie przekraczało zdolność jego pojmowania! Przekraczało granice cierpliwości starego czarownika! Prawie.

Gepta pamiętał jednak o tym, że istniały starożytne techniki i rytuały, pozwalające ukoić myśli i ciało. Szczególnie przydatne w takich jak ta, szarpiących nerwy sytuacjach. Szlachetne sposoby, przekazane mu przez zmarłych przed wiekami dobrodliwych czarowników.

Rokur Gepta zaczął wszystkie energicznie stosować, jeden po drugim.

## ROZDZIAŁ IV

Lando Calrissian siedział na fotelu drugiego pilota. Palił cygaro i rozmyślał. Patrolowego krążownika nie dało się zobaczyć gołym okiem, a on nie zamierzał uruchamiać elektronicznego teleskopu. Widywał już kiedyś takie krążowniki.

Na podjęcie decyzji dano im dokładnie dziesięć minut. Mieli albo przygotować statek do abordażu, albo zostać rozpyleni na atomy. Lando wykorzystywał dosłownie każdą sekundę owych dziesięciu minut, starając się wymyślić jakieś inne rozwiązanie. Od samego początku wyprawy wiedział, że wcześniej albo później znajdą się właśnie w takiej sytuacji. Nie wyobrażał sobie jednak, że przydarzy im się to tak szybko. Wszystkie plany, pieczołowicie opracowywane z myślą o takiej ewentualności od chwili, kiedy opuścili zacisze ostatniego portu, uważał teraz za śmieszne i naiwne. I to bez względu na to, jak szczegółowe i przebiegłe wydawały mu się, kiedy je układał.

Rzecz jasna, cały kłopot w tym, że Lehesu nie odleciał prosto do domu. Ocalenia istoty właściwie nie mogli przypisać ani szczęściu, ani zbiegowi okoliczności. Lando i Vuffi Raa przelatywali przez tę samą „pustynię”, która morzyła głodem i zamierzała uśmiercić młodego Oswafta. Oznaczało to, że „Sokół” musiał nagle zwolnić do prędkości podświetlnej i poczekać, aż Vuffi Raa dokona ponownej kalibracji jednostki napędowej. Podczas podróży przez będące niemal doskonałą próżnią przestworza silniki nie napotykały oporu, wskutek czego groziło im rozbiegnięcie. Istniało prawdopodobieństwo, że statek i pasażerowie zostaną rozerwani na kawałki i rozrzućeni po przestworzach, atom po atomie.

Tak więc hazardzista i mały robot lecieli, korzystając z napędu awaryjnego. To właśnie wówczas natknęli się na pięćset- metrowego potwora, który wyłonił się z nicości przestworzy. Z początku uznali Lehesu za dziwny gwiazdny statek, konstruowany przez istoty należące do obcej rasy. Częściowo mieli rację, ale potem Lehesu potraktował „Sokoła” jak istotę obdarzoną inteligencją. Sprostowanie owej pomyłki zabrało o wiele więcej czasu niż późniejsze zrozumienie tego, na czym właściwie polegały kłopoty istoty oddychającej w próżni, a także wymyślenie sposobu, by im jakoś zaradzić.

Jak zwykle, Vuffi Raa siedział za sterami. Tymczasem Lando, który udał się do bąbla laserowego działka, spoglądał niespokojnie na Lehesu i nerwowo muskał kciukami przyciski mechanizmu spustowego.

- Mistrzu, odebrałem sygnały, nadawane na bardzo niekonwencjonalnej częstotliwości!

- I co z nich wynika?

Lando przesunął niedopałek cygara z jednego kącika ust w drugi. Jeszcze bardziej pochylił się nad urządzeniem celowniczym. Wyteżył wzrok, starając się wypatrzeć dziwaczny obiekt, unoszący się w przestworzach w odległości zaledwie połowy klika. Był przezroczysty, wskutek czego prawie niewidoczny dla czujników. Sprawił wrażenie sporządzonego z plastiku, a nie z metalu. Nic nie wskazywało na to, aby chroniły go siłowe pola, a Lando spotykał w życiu większe statki. Mimo to widząc odległość, w jakiej intruz znajdował się od „Sokoła”, odnosił wrażenie, że jeżą mu się na karku wszystkie włosy. Miał wielką ochotę przycisnąć guziki spustowe i nie puszczać, dopóki dziwny obiekt nie zamieni się w nieszkodliwą parę.

- Nakazałem komputerom „Sokoła”, żeby zajęły się tłumaczeniem - ciągnął tymczasem pięcioboczny android. - Obawiam się jednak, że nie radzą sobie z tym najlepiej. Dlatego postanowiłem zrobić to osobiście. Wygląda na to... Chwileczkę! Zaczynamy odbierać sygnały wizualne. Wszystko przemawia za tym, że powtórzenie pierwszego pozdrowienia



spowodowało... tak... tak... Mistrzu! Wysłał nam obraz naszego frachtowca! Wspaniale - pomyślał hazardzista. - Oto wisimy w pustce przestworzy, o wiele parseków od jakiegokolwiek znanego cywilizowanego świata, i spotykamy wędrownego portrecistę fotografa! Zazwyczaj tacy zabierali na pokład kucyka albo małego bantha, ale...

Lando z wysiłkiem usunął sarkazm z myśli. Doszedł do wniosku, że w niczym nie zmienia swojej sytuacji. Wierzył, że Vuffi Raa potrafi uporać się prawie ze wszystkim, ale nie znosił myśli, że mógłby złożyć własne życie w czyjekolwiek ręce z wyjątkiem własnych.

- No cóż, na miłość Jądra, w takim razie zrób im zdjęcie i wyślij, z najlepszymi pozdrowieniami! Postaraj się, aby odnieśli wrażenie, że jesteśmy niewinnymi turystami i nie myślimy o niczym innym poza robieniem fotografii. To lepsze niż odpowiadanie strzałami.

- Z całą pewnością, mistrzu - odparł mały robot. - Ja także doszedłem do takiego samego wniosku. Korzystając z kanału o bardzo małej szybkości transmisji danych, przesłałem im szczegółowy obraz ich samych. Jeżeli uważasz, że warto, mogę pokazać ci go na ekranie jednego z monitorów twojego stanowiska artylerii.

- Proszę bardzo, chociaż uważam, że ta rzecz wisi w przestworzach tak blisko, iż będzie lepiej, jeżeli posłużę się gołym okiem.

W tej samej sekundzie na ekranie monitora, umieszczonego z lewej strony, pojawił się wizerunek „Sokoła” widzianego przez dziwaczny obiekt. Po chwili zniknął, zastąpiony przez wyrazisty obraz samego obiektu. Czujnik optyczny Vufflego Raa spisywał się lepiej niż oczy Landa Calrissiana. Wychwytywał o wiele więcej szczegółów, a może tylko lepiej je rozróżniał. Obiekt przypominał jakieś żyjące w morskich głębinach zwierzę, które Lando pamiętał z jednej podróży - tyle że co najmniej dziesięciokrotnie powiększone. Miał w sobie także coś z ptaka...

Wizerunek na ekranie zadrżał. Widocznie punkt widzenia uległ zmianie, gdyż przedmiot rozkurczył i skurczył coś, co wyglądało jak skrzydła.

- Mistrzu, przesyłają nam następny obraz! - zawołał podniecony android. - Mistrzu, to chyba nie jest gwiazdny statek. Podejrzewam, że to...

W tej właśnie chwili Lehesu rozpoczął przesyłanie dramatycznych obrazów, które ukazywały go głodującego i konającego. Następnie przedstawił wizerunek, jak odżywia się i powiększa. Kiedy skończył, Lando i Vuffi Raa mieli o wiele większe pojęcie o tym, na co natknęli się w tym dziwacznym, opustoszałym rejonie przestworzy.

Lando wiedział, że - przynajmniej w teorii - w niemal doskonałej próżni mogły żyć i rozwijać się różne organizmy. Mogły samoistnie tworzyć się cząsteczki rozmaitych związków — nawet bardzo skomplikowanych, podobnych do tych, dzięki którym w głębinach mórz milionów światów rozwinęło się życie. Istniały substancje, które - zdaniem pewnych naukowców - same były ultra- prymitywnym życiem, pod względem rozwoju stojącym o wiele niżej niż wirusy.

Najbardziej jednak martwił hazardzistę fakt, że do spotkania z młodym Oswaftem doszło w obszarze całkowicie pozbawionym owej charakterystycznej organicznej zawiesiny, w której podobno istniały warunki do rozwoju życia. To wszystko przecież nie miało sensu. Nikt nie oczekiwał, że może spotkać inne istoty inteligentne w miejscach, do których nie docierał nawet najsłabszy promyk światła, gdzie temperatura miała wartość bliską absolutnemu zera, gdzie nie było tlenu... W tej sekundzie Lando uświadomił sobie, gdzie się znajduje. W takim samym pozbawionym wszelkiego życia zakątku przestworzy, przez który przelatywało dziwne stworzenie. Pomyślał, że sytuacja podoba mu się jeszcze mniej niż kiedykolwiek przedtem.

- Mistrzu, chyba prosi nas o pomoc!

- Powiedz mu, że wszystko, co mieliśmy, pozostawiliśmy w ostatnim kosmoporcie!

- Mistrzu, popatrz na te symbole! Widzisz jądra atomów? To stworzenie usiłuje nam powiedzieć, czego potrzebuje! Przypuszczam, że to wyjaśnia całe nieporozumienie. To cząsteczki pożywienia, a nie paliwa. Mamy do czynienia z istotą, konającą z głodu!

Lando zastanowił się nad nową sytuacją.

- Czego potrzebuje, Vuffi Raa? - zapytał. - Chyba nie mamy niczego, czym by się odżywiało, prawda?

- Prostych organicznych związków, aminokwasów. Mistrzu, resztki z pokładowego systemu uzdatniania odpadów nadają się do tego celu wręcz idealnie. Czy nie moglibyśmy...

- Och, niech będzie, jak chcesz - zgodził się hazardzista. - Zawsze może przydać się przyjaciel, oddychający w próżni i przemieszczający się wyłącznie za pomocą siły własnej wyobraźni. Daj mu to, czego...

Kadłub „Sokoła Millenium” lekko zadrzął, kiedy Vuffi Raa opróżnił zbiorniki z pozostałościami po odpadach. Stworzenie natychmiast zareagowało. Ogarnięte entuzjazmem, zanurkowało i zaczęło zataczać wokół kadłuba ciasne kręgi. Za każdym razem pochłaniało spore porcje organicznej zawiesiny, którą wyrzucili w przestworza. Z początku Lando dwoił się i troił, cały czas starając się kierować lufy działek ku stworzeniu. Później machnął ręką i zrezygnował. Istota nie zamierzała wyrządzić im żadnej krzywdy. Żywiła się odpadkami i konała z głodu. Uznała ich za przyjaciół, a przecież przyjaciele nie mierzą do innych przyjaciół z laserowych działek.

Ciemnoskóry hazardzista wyłączył po kolei wszystkie obwody i podzespoły, a potem odpiął pasy ochronnej sieci i zeskoczył z obrotowego fotela artylerzysty. Następnie poczłapał korytarzem do sterowni, żeby znaleźć się u boku małego mechanicznego przyjaciela.

Pozostali w tym samym miejscu kilka dni, w trakcie których Lando uczył się języka Oswaftów, a Vuffi Raa kończył kalibrować jednostkę napędową. W pewnej chwili hazardzista musiał się ubrać w kosmiczny skafander i wyjść na zewnątrz. Okazało się to konieczne, żeby gigantyczny Oswaft mógł lepiej zrozumieć, że „Sokół” jest przedmiotem, transportującym istoty inteligentne o rozmiarach i kształtach zasadniczo różnych od tych, które Lehesu potrafił sobie wyobrazić. Mimo iż obca istota przesłaniała połowę przestworzy i wpadła w poważne tarapaty po prostu wskutek braku doświadczenia, nie była wcale głupia. Inne stworzenia jej rasy umiały odróżniać istoty od przedmiotów, a zatem, kiedy Lehesu pojął, do czego służy gwiazdny statek, niezwykle szybko wymyślił sposób, jak rozwiązać własny problem.

Oznaczało to, że Vuffi Raa musi zabrać się znów do pracy. Mały robot, wykorzystując różne kawałki metalu i plastiku, sporządził ogromny pojemnik i wypełnił go resztkami z pokładowego urządzenia do uzdatniania odpadów. Dopiero teraz Lehesu mógł latać w przestworzach bez obawy, że zabraknie mu pożywienia. Okazało się jednak, że umocowanie zbiornika pod brzuchem oddychającego w próżni ogromnego stworzenia wymagało współpracy człowieka i androida. Kiedy w końcu pojemnik znalazł się we właściwym miejscu, Lehesu pochwylił go kilkudziesięcioma mackami, a kilkoma innymi łagodnie pogłaskał obu pomocników. Później z głośnika, umieszczonego w hełmie hazardzisty, wydobyły się przetworzone przez specjalny system słowa:

- Dziękuję wam obu, ponieważ dwa razy ocaliliście mnie od pewnej śmierci. Żałuję, że nie mogę się wam odwdziżyć. Niestety, nie potrafię uczynić niczego dla was, którzy stworzyliście pożywienie z niczego i to pośrodku nicości.

Lando już miał odpowiedzieć grzecznościowym: „Nic nie szkodzi”, kiedy Vuffi Raa powstrzymał go, unosząc jedną mackę.

- Mistrzu, to stworzenie znów wysyła obrazy. Widzę je w swoim elektronicznym mózgu.

- Doprawdy, jesteś androidem, wykazującym wiele cennych zalet - odparł hazardzista.

- Wygląda na to, że czasami taki elektroniczny mózg może się przydać bardziej niż

organiczny. Co właściwie ci pokazuje, tańczące obnażone androidy płci odmiennej?

- Mistrzu! - oburzył się Vuffi Raa. - Wręcz przeciwnie, ukazuje przedmioty, które mógłby utworzyć ze związków, nie nadających się do spożycia. Wydaje mi się, że potrafi budować je atom po atomie. Mistrzu! Przedstawia mi opale, szmaragdy i szafiry, a także płomienioklejnoty i słońcokamienie. Coś takiego, to przecież życiokryształ z systemu Rify! Lehesu, czy naprawdę potrafisz...

- Oczywiście, mój mikroskopijny przyjacielu, jeżeli właśnie takie przedmioty was interesują. Mogę stworzyć również wiele, wiele innych, nie mniej ciekawych. Ale powiedz mi, czy to prawda, że nie mając odpowiedniego przedmiotu, który by mu w tym pomagał, twój mistrz nie widzi niczego, co w tej chwili pokazuję?

Hazardzista uznał, że najwyższa pora przyłączyć się do rozmowy.

- Niech cię Jądro, Vuffi Raa, dlaczego mu pozwoliłeś, żeby nazywał mnie mistrzem? Powiedz mu, że ma natychmiast przestać! Czy słyszysz mnie, Lehesu? Aha, i wiesz, co, Vuffi Raa?

- Tak, mistrzu?

- Chodźmy do środka i obejrzymy sobie na ekranie monitora wszystko, co pokazuje nam ta istota.

Istoty które nazywały siebie Oswaftami, z tej samej rasy co Lehesu, wykazywały jeszcze jeden cenny talent. I właśnie za sprawą owej umiejętności młodzieniec wpadł po raz drugi w tarapaty.

Wnętrze GwiazdoGroty, mające jakieś kilkanaście parseków średnicy, było ogromne nawet dla zamieszkujących ją istot inteligentnych - nie wspominając o milionach innych stworzeń, które się tam zadomowiły. Tak więc Lehesu, znudzony lataniem z prędkościami podświetlnymi — mimo iż kiedy zobaczył „Sokoła”, pokonywał odległości resztkami sił - doszedł do przekonania, że powinien zwiększyć tempo lotu.

Kiedy rozstał się z frachtowcem i jego pasażerami, nie poleciał prosto do domu. Jego ciekawość nie została zaspokojona - wręcz przeciwnie, spotkanie z człowiekiem i androidem jeszcze bardziej ją zaostriżyło. Lehesu zapragnął zobaczyć, jak wygląda ten zakątek przestworzy, z którego obaj pochodzili.

Trzymając pewnie pojemnik wypełniony odżywczymi substancjami, pożegnał się i obiecał swoim wybawicielom, że jeszcze kiedyś się z nimi zobaczy. Taką samą obietnicę usłyszał od Vuffiego Raa i Calrissiana. Co prawda, hazardzista nie potraktował jej poważniej niż uczyniłby to każdy podróżnik, któremu bardzo często zdarza się spotykać nieznanym i wymieniać z nimi kilka grzecznościowych zdań. Tak więc Lando i mały robot zajęli się własnymi sprawami. Zamierzając przygotować silniki „Sokoła” do pracy pełną mocą, kiedy frachtowiec doleci do krańca „pustyni”, pstrykali przełącznikami, pociągali za dźwignie i obracali pokrętłami.

Lehesu odleciał. Wyruszył na poszukiwania innych cywilizacji.

Na nieszcześnie dla niego i innych istot jego rasy, prowadził owe poszukiwania w rejonie patrolowanym przez Marynarkę. Czujniki okrętów, zainstalowane na koszt bardzo niechętnie poniesiony przez kwadryliony podatników, miały o wiele większą czułość i zasięg niż czujniki „Sokoła”. Odkryły prawdę o dziwnej istocie w tej samej sekundzie, kiedy ją zauważyły. Zwróciły uwagę na umiejętność, którą Lando i Vuffi Raa przeoczyli. Oswaftowie umieli nie tylko przemieszczać się w przestworzach po linii ciągłej, ale także, kiedy pragnęli, „przeskakiwali” ogromne odległości. Czynili to w taki sam sposób jak gwiazdne statki, dokonujące skoków przez nadprzestrzeń. I kiedy uradowany Lehesu powrócił do ThonBoki z nowiną o wszystkim, co odkrył i co widział, nie miał pojęcia o tym, że podążają za nim szpiedzy.

Rzecz jasna, dowódcy okrętów Marynarki natychmiast zorientowali się w groźącym

niebezpieczeństwie. Nawet nie chcieli sobie wyobrazić, jakim zagrożeniem może stać się cała rasa inteligentnych istot mogących latać z prędkościami nadświatłymi. Zwiadowcy oszacowali liczbę Oswaftów i kiedy poinformowali

o tym swoich przełożonych, ci wpadli w jeszcze większe przerażenie. Poczuli się tak, jakby odkryli fakt istnienia nieznanej potęgi wojskowej, dysponującej milionami w pełni sprawnych gwiazdnych okrętów. Uznali, że pozostaje im tylko jedno wyjście.

Gwiazdogrota była mgławicą bezbronną i nie strzeżoną. Musiała być, gdyż w przeciwnym razie bardzo szybko wyczerpałyby się jej zasoby. Dowódcy Marynarki wpadli zatem na pomysł zamorzenia Oswaftów głodem. Chcieli pozbawić ich dostępu do niesionych galaktycznymi prądami odżywczych substancji. A kiedy oddychające w próżni istoty wystarczająco osłabną, zostaną bez trudu pokonane i unicestwione. W taki sposób na zawsze wyeliminuje się istniejące z ich strony zagrożenie.

Dowódcy Marynarki nie mieli jednak pojęcia o tym, że sporządzony przez Vuffiego Raa ogromny zbiornik zawierał nadajnik i potężny wzmacniacz — mały robot naprawdę zamierzał wywiązać się z obietnicy - dzięki którym Lehesu mógł wysłać wołanie o pomoc. Lando, który w przyszłości istocie z pomocą widział sposób rozwiązywania własnych problemów, załadował statek i nie zwlekając, wyruszył na ratunek. Teraz jednak miał wątpliwości, czy postąpił właściwie.

W odległości mniejszej niż sto kilometrów, a zatem w bezpośredniej, jeżeli chodziło o odległości w przestworzach, wisiał złowieszczy patrolowy krążownik. Jego kapitan niecierpliwił się, oczekując odpowiedzi. „Sokół Millenium” był wprawdzie bardzo szybki, ale nie na tyle, żeby w porę uniknąć promienia przyciągającego albo trafienia przez niszczącą błyskawicę. Jak na frachtowiec, dysponował silnym uzbrojeniem i potężnymi polami ochronnymi. Wszystko to mogło pomóc w trakcie walki z zabiedzonymi gwiazdnymi piratami czy innymi niezależnymi złodziejaskami, od których wprost roilo się w niektórych zakątkach międzygwiazdnych przestworzy. Mimo to czterolufowe działka i inne systemy uzbrojenia nie mogły się równać z bateriami turbolaserowych dział, sterujących jak kolce jeża dosłownie z każdego wolnego miejsca kadłuba ogromnego krążownika. Co gorsza, obie jednostki dzieliła tak niewielka odległość, że pola osłon mogły przedłużyć żywot „Sokoła” najwyżej o kilkanaście sekund.

Lando zastanawiał się, czy nie podjąć próby ucieczki - nie od mgławicy, ale do niej, aby ukryć się gdzieś w środku. Później jednak uświadomił sobie, że pierwsza wiadomość, przesłana przez kapitana gwiazdnego krążownika dowódcom innych okrętów oblężniczej floty sprawiłaby, że nim dotarłby w pobliże wlotu Gwiazdogroty, miałby przeciwko sobie setkę podobnych okrętów, doskonale uzbrojonych, gotowych do walki i obsługiwanych przez sprawne, wyćwiczone załogi. Po kolei rozważał i odrzucał kilka innych możliwości, porównując je z opracowanym na początku planem. W końcu doszedł do przekonania, że nie ma innego wyboru. Pomysł, na jaki wpadł, wydawał się parszywy, ale był jedynym, jakim Lando dysponował.

- Vuffi Raa - odezwał się w końcu, zamykając oczy. Zapewne chciał w taki sposób uniknąć obrazu nadciągającej katastrofy, jaki zaczynał się tworzyć w jego głowie. - Jak mówiliśmy, wyłącz dopływ energii do wszystkich systemów uzbrojenia. Wyłącz także generatory ochronnego pola. Aha, i upewnij się, że tamci zobaczą na własnych skanerach, co tu zrobiliśmy, dobrze?

Podrzucił w powietrze błyszczącą monetę pięćdziesięciokredytową, a potem pochwycił ją, zanim zdążyła upaść na płyty pokładu.

Mały robot, siedzący na sąsiednim fotelu, skierował na śniadoliczego hazardzistę pojedyncze oko. Kiedy odpowiedział, w jego głosie dało się słyszeć wahanie.

- Ależ, mistrzu, w taki sposób staniemy się całkowicie bezbronni.

Mimo to wyciągnął macki i zaczął przebierać nimi po klawiaturach i pulpitych.

Lando wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Bardzo dawno pewien automat, w którego posiadanie jakoś wszedłem, powiedział mi, że osoba, uznająca przemoc za najważniejszy albo jedyny sposób rozstrzygania sporów, jest moralnym bankrutem.

Moneta ponownie poleciała w powietrze, by po chwili jeszcze raz zniknąć w dłoni Calrissiana.

Vuffi Raa przez dłuższy czas się nie odzywał. To on był tym automatem i to właśnie wtedy młody hazardzista dowiedział się, że oprogramowanie małego androida zabrania mu wyrządzania istotom rozumnym jakiegokolwiek krzywdy.

- A zatem, stary otwieraczu puszek - ciągnął Lando - systemy uzbrojenia „Sokoła” mogą w tej chwili przysporzyć nam więcej kłopotów niż korzyści. Naszym największym atutem jest sprawianie wrażenia, że jesteśmy bezbronni. Na długo, zanim zostałem kapitanem gwiazdowego statku, byłem łajdakiem i oszustem. Przypuszczam, że najwyższa pora przypomnieć sobie tamte chwile.

Zręcznie przebierając palcami, przemieścił monetę po zewnętrznej powierzchni dłoni, a potem odłożył na bok.

Kiedy Vuffi Raa rozpoczął procedurę rozbrajania systemów statku, zgrzyt chromowanego metalu o plastik zabrzmiał niczym hałaśliwa muzyka. Lando siedział, pogrążony w zadumie. Wiedział, że musi bardzo uważać na to, co w ciągu kilku najbliższych minut zrobi i powie.

W końcu się zdecydował.

- W porządku. A teraz nawiąż łączność z dowódcą tego krążownika. Powiedz im, żeby podszedł do mikrofonu komunikatora. I rozchmurz się - mam wrażenie, że doskonale wiem, co robię.

Robot nie potrafił zmieniać wyrazu twarzy, ale w jego głosie zabrzmiał nieskrywany sceptycyzm.

- Co mam im powiedzieć, mistrzu? Lando zachichotał.

- Przede wszystkim nie nazywaj mnie mistrzem. Powiedz im, że odebraliśmy ich poprzednie sygnały i że to oni mają się przygotować na przyjęcie grupy abordażowej.

## ROZDZIAŁ V

Lando Calrissian nigdy nie lubił kosmicznych skafandrów.

Nie tylko były toporne i niewygodne, ale także nieeleganckie. Hazardzista utrzymywał swój w najlepszym możliwym stanie, ale ilekroć wyjmował go i używał, dostawał gęsiej skórki. Kombinacje kolorów wydawały mu się koszmarnie, krój obrzydliwy, a wkładanie go na jakikolwiek kombinezon czy półoficjalny kapitański mundur, który nosił, kiedy przebywał na pokładzie, uważał za świętokradztwo. Tym większe, że po zdjęciu skafandra strój sprawiał wrażenie tak wymiętego, jakby przespał w nim kilka nocy.

Niemniej, właśnie w tej chwili ubrany w kosmiczny skafander Lando, stał pod górną śluzą i cierpliwie czekał, aż pilotowany wprawnymi mackami Vuffiego Raa „Sokół Millenium” znajdzie się w ściśle określonym miejscu, dokładnie pod kadłubem patrolowego krążownika „Szlachetny”. Na płytach pokładu obok hazardzisty spoczywał ogromny podróżny neseser, wypełniony próbkami towarów i przedmiotami zakupionymi z myślą o takiej sytuacji. Lando poświęcił dużo czasu na ułożenie szczegółowego planu i poczynienie starannych przygotowań, a mimo to nie czuł się wcale pewnie.

— Łączymy się, mistrzu - usłyszał niepewny, elektronicznie syntetyzowany głos,

dobiegający niewątpliwie ze sterowni.

- W porządku, Vuffi Raa - odparł. - Możesz się kłaść spać. Nie czekaj na mnie z kolacją. Pochwyił umieszczone nad głową masywne koło i obrócił o trzysta sześćdziesiąt stopni. Następnie wykonał jeszcze pół obrotu i odruchowo się skulił - jak zawsze, ilekroć klapa włazu miała się otworzyć. Pociągnął ją ku sobie i odchylił na bok, a potem podniósł neseser i zaczął wspinać się po stopniach metalowej drabinki. Przeszedł przez właz „Sokoła”, pokonał niezbyt długi rękaw i po chwili wychylił głowę z łuku dolnego hangaru „Szlachetnego”.

I zobaczył ciemne otwory luf pięciu czy sześciu wymierzonych w siebie ciężkich blasterów.

Przełknął ślinę - ucieszył się, że hełm na głowie nie pozwalał dojrzeć wyrazu jego twarzy - po czym włączył nadajnik osobistego komunikatora. Postawił wypchany neseser na płytach pokładu krążownika, a później wyprostował się i powiedział:

- Dobry wieczór, džentelstoty. Nazywam się Lando Calrissian i jestem międzygwiezdny podróżnikiem i handlarzem, do waszych usług. Co mógłbym dla was zrobić, chłopaki? Roześmiał się hałaśliwie z własnego kiepskiego żartu.

Następnie pokonał kilka ostatnich szczebli metalowej drabinki i stanął pośrodku ogromnego hangaru. Zdziwił się, że nie został zaproszony razem z frachtowcem, ponieważ wolnego miejsca nie brakowało. Pomieszczenie miało co najmniej dwieście metrów szerokości - począwszy od szerokich, lekko wygiętych i w chwili obecnej zamkniętych na głucho wrót, a skończywszy na wyposażonej w skomplikowane urządzenia przeciwległej ścianie, pełniącej funkcję ciśnieniowej grodzi. Kilkadziesiąt wyciętych w niej prostokątnych okien, przez które wpadało różnobarwne światło, ukazywało widok pomieszczeń kontrolnych i remontowych.

Strażnicy nie odprężyli się ani nie skierowali luf blasterów w inną stronę. Ich dowódca, noszący naszywkę sierżanta, wystąpił kilka kroków przed podwładnych. Później z donośnym trzaskiem, zapewne mającym wzbudzić odpowiednie przerażenie, uderzył blasterem o pancerz na wysokości piersi.

- Milczeć, parszywy cywilu! - ryknął. - Masz natychmiast zameldować się u dowódcy straży! Twój bagaż zostanie ci odebrany celem przeszukania i regulaminowej dezynfekcji zawartości!

- Dezynfekcji? - Lando wykrzywił twarz, udając przerażenie. - Naprawdę zamierzacie odkażać kilkanaście kartonów wybornych dilynleksjańskich cygar, oseńskich papierosów, trammistańskiej czekolady...

- Cygar? - powtórzył naczelny zbir zupełnie innym tonem. Ukradkiem spojrzał w prawo i w lewo, po czym przycisnął dwa guziki na panelu, usytuowanym na ramieniu pancerza. Następnie chwycił ramię skafandra Calrissiana i w taki sam sposób wyłączył jego komunikator. Przytknął zaopatrzonego w czarną osłonę hełm do nakrycia głowy hazardzisty.

- Powiedziałeś, że masz cygara? Czy wiesz, od jak dawna w okrętowej kantine nie sprzedają żadnych cygar? Tkwimy tu bezczynnie, pilnując wlotu tej zapomnianej przez Jądro mgławicy od... ehm.! - Zdumiewająco szybko mężczyzna odzyskał panowanie nad sobą. - Udasz się pod eskortą do gabinetu oficera dyżurnego tego sektora. Ja zatroszczę się o twój neseser i dopilnuję, żeby nie uległ uszkodzeniu.

- Aczkolwiek może być trochę lżejszy, kiedy go odzyskam? - Lando wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i mimo dzielących ich dwóch warstw plastiku porozumiewawczo mrugnął do żołnierza. - Tylko pamiętaj o tym, sierżancie, że jeżeli dojdziemy do porozumienia i nawiążemy współpracę, znajdzie się tego o wiele, wiele więcej.

Sierżant ponownie włączył oba komunikatory i przyjął postawę zasadniczą.

- Wiadomość przyjęta i zrozumiana, handlarzu! Przypuszczam, że pobyt na pokładzie „Szlachetnego” uznasz za przyjemny i korzystny!

- Och, jestem o tym przekonany - odparł hazardzista. - Czy możemy teraz przejść do sedna sprawy?

Oficer dyżurny sektora okazał się siwiejącym i otyłym zawodowym żołnierzem. Na rękawach jego munduru widniało tyle odznaczeń, że wyglądały, jakby za chwilę miały zsunąć się po mankietach i upaść na metalowe płyty podłogi gabinetu. Ujrawszy wchodzącego Calrissiana, mężczyzna podrapał się po krótko ostrzyżonej głowie. Później ujął w dwa palce poprzecinany siecią fioletowych żyłek mięsisty nos i zaczął go pocierać.

- No cóż, jak żyję, o czymś takim nie słyszałem! - odezwał się w pewnej chwili bardziej do siebie niż do hazardzisty. - Żeby jakiś cywilny handlarz zaopatrywał załogę okrętu, wykonującego zadanie bojowe? A jeżeli ja o czymś takim nie słyszałem, kolego, to oznacza, że będziesz miał kłopoty. Tym większe, że to zadanie ma charakter precedensu.

Lando, który został dokładnie przeszukany, prześwietlony i sprawdzony — przez ludzi i czujniki wystające z wnętrza paskudnie wyglądających urządzeń i skanerów - odprężył się i uśmiechnął. Rozsiadł się wygodnie na fotelu, ustawionym po drugiej stronie wielkiego biurka oficera dyżurnego. Kiwnął głową. Ucieszył się, że wybrał najmniej krzykliwy i tradycyjny lotniczy kombinezon. Miał go na sobie pod kosmicznym skafandrem, wiszącym teraz spokojnie w jakiejś szafce w hangarze. Jeszcze bardziej był rad, że pozostawił na pokładzie „Sokoła” miniaturowy pięciopięciopalcowy paralizator. Mały pistolet był jedyną bronią, na jaką sobie pozwalał i z którą niemal nigdy się nie rozstawał, ale w tej chwili wzbudzałby podejrzenia i raczej by przeszkadzał niż pomagał.

- Uwierz mi, szefie, że dobrze wiem, co to tradycja - zaczął. - Wszyscy członkowie mojej rodziny nie kierowali się w swoim postępowaniu niczym innym. Uważam jednak, że w życiu każdego człowieka powinno się znaleźć miejsce na przedsiębiorczość i inicjatywę, nieprawdaż? Rzecz jasna, pod warunkiem, że nie przeszkodzi to wam w wykonywaniu zadania i zostanie przeprowadzone z zachowaniem wszystkich regulaminowych przepisów i nakazów.

- Ehhhm! - Oficer dyżurny głośno chrząknął po tym, jak wypuścił dym z cygara, którym poczęstował go Calrissian. Neser hazardzisty - równie dokładnie przeszukany i sprawdzony jak jego właściciel pod kątem ewentualnych ukrytych narzędzi mordu i sabotażu— spoczywał teraz obok fotela na metalowej podłodze. Sprawiał wrażenie o wiele lżejszego niż wówczas, kiedy Lando wnosił go na pokład patrolowego krążownika. Wyglądało na to, że wszystkie osoby, które zapoznawały się z jego zawartością- poczynawszy od sierżanta straży, a skończywszy na oficerze dyżurnym sektora— ujmowały trochę ciężaru. W tym większym stopniu, im ważniejszą funkcję pełniły na pokładzie.

- W zupełności podzielam pańskie zdanie - zgodził się z nim hazardzista. - A teraz zajmijmy się szczegółami naszej umowy. Proponuję, żebyśmy zorganizowali wymianę handlową z pominięciem okrętowej kantyny. Po pierwsze, chodzi o to, że moi przełożeni nie pozwalają mi oferować tego, co mam na sprzedaż, po cenach hurtowych. Po drugie, mam podstawy, by sądzić, że kupowanie u takiego wędrownego handlarza jak ja może stać się dla członków pańskiej załogi ciekawym przeżyciem i rozrywką, ułajającą monotonię codziennej służby. A po trzecie... no cóż, czy sądzisz, kolego, że ktoś z personelu mógłby być zainteresowany udziałem w jakiejś grze losowej?

Zdumiony oficer zamrugał. Uważał się za niezłego hazardzistę, w związku z czym traktował wszystkich cywilów - bez względu na to, gdzie ich spotykał - za nietrudnych do oszukania naiwniaków. Widocznie przez całe dziesięciolecie służby w Marynarce przywykł do zabierania im pod groźbą użycia broni wszystkiego, co tylko mu się podobało. Nie umiałby odróżnić takiej sytuacji od tej, w której cywil mógłby mieć równe szanse. Chyba



nawet nie potrafiłby sobie takiej wyobrazić.

- Grze losowej? - powtórzył niepewnie, nie wiedząc, co sądzić o przedstawionej propozycji.

- Takiej jak na przykład...

- Sabak - ochoczo podpowiedział hazardzista, ciepło się uśmiechając. — Uważam się za kogoś w rodzaju entuzjasty tej gry i pragnąłbym dać pańskim kolegom możliwość odzyskania chociaż części kredytów, które wydadzą, kupując moje towary. Rzecz jasna, pana to nie dotyczy - zważywszy na pański patent oficerski.

- Patent oficerski? - Zdezorientowany oficer popatrzył na paski na rękawie munduru, a później nagle przeniósł spojrzenie na zapalone cygaro. - Ach, patent oficerski! Rozumiem. Szczerze mówiąc, otrzymałem ten patent... Ale przecież to pana nie obchodzi! Bardzo zabawne!

Lando wcale nie traktował tego, co powiedział, jako żartu, ale serdecznie się śmiał, dopóki oficer dyżurny się nie opanował. Potem mężczyzna przybrał wyraz twarzy, mający - jego zdaniem - świadczyć o przebiegłości. Zapewne ćwiczył go przed lustrem od czasu, kiedy pełnił służbę na okręcie jako prosty marynarz.

- Jestem pewien, że dałoby się zorganizować kilka gier - oznajmił, mrugnawszy porozumiewawczo. - Oczywiście, za odpowiedni patent oficerski!

Ponownie wybuchnął rubasznym śmiechem. Lando zdławił w sobie chęć uduszenia umundurowanego pawiana jego własnymi sznurami naramiennymi.

- Znakomicie - powiedział, kiedy oficer dyżurny znów przyszedł do siebie. - Ale jest jeszcze jedna rzecz, o jaką chciałem pana prosić. Waham się jednak, ponieważ wiem coś niecoś na temat wagi waszego zadania bojowego...

- Naprawdę?

Oficer podskoczył jak użądłony, a potem pochylił się nad blatem biurka. Tylko sztucznemu ciężarzeni zawdzięczał, że nie oderwał się od siedzenia obrotowego fotela i nie poszybował pod sufit gabinetu.

Ciemnoskóry hazardzista poczuł, że jego ciało przeniknęła fala przerażenia. Uzmysłowił sobie, że powiedział coś niewłaściwego. Cel wyprawy miał pozostawać ściśle tajny - najprawdopodobniej dlatego, że gdyby został ujawniony, nawet obecny rząd najadłby się wstydu. Lando odnosił wrażenie, że jego myśli gnają jak szalone. Rozpaczliwie starał się wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, w jaką wpędziła go własna bezmyślność i głupota.

- Powiedz mi - odezwał się oficer, zanim Calrissian miał czas cokolwiek wyjaśnić. - Prości marynarze zawsze dowiadują się ostatni, a ci, którzy zostają w domu, zazwyczaj mają o wiele większe pojęcie o wszystkim, co się dzieje.

Rozejrzał się po gabinecie i odsunął na bok wizerunek komodora obłączniczej floty, a potem pochwycił niewielką plastikową gruszkę, wiszącą na kilku przewodach za wizerunkiem. Zamknął urządzenie we wnętrzu dłoni.

- Podśluch - wyjaśnił zdumionemu Calrissianowi. - Ale teraz możemy rozmawiać bez obaw. Co takiego ważnego ma na celu nasza wyprawa?

Lando omal nie rozplakał się z ulgi. Musiał jednak zacząć myśleć jeszcze szybciej.

- Słyszałem, że do wnętrza tej mgławicy zwabiono więcej piratów i złoczyńców niż widziano kiedykolwiek przedtem w jednym miejscu. Wygląda na to, że ci z wywiadu namówili ich do czegoś w rodzaju spotkania, a wy trzymacie wszystkich zbójów jak w potrzasku i czekacie, aż zostaną aresztowani.

Oficer ponuro kiwnął głową.

- To by się pokrywało z pogłoskami, jakie do nas docierały. Wiesz może, kiedy przystępujemy do akcji?

Lando pokręcił głową.

- Sam wie pan, jak to jest w Marynarce - odparł równie ponuro. - Najpierw się spieszy, a

potem czekaj.

Ponownie zobaczył w odpowiedzi posępne, ale pełne zrozumienia kiwnięcie głową. Ponieważ zrozumiał, że zyskał przyjaciela, postanowił zwiększyć ceny wszystkich towarów o dwadzieścia procent.

- Wygląda na to, że sam służyłeś kiedyś w Marynarce - odezwał się oficer.

Lando kiwnął głową.

- Byłem chłopcem okrętowym, ale to dawne czasy - skłamał bez mrugnięcia okiem. - Nigdy nie dosłużyłem się tak wysokiego stopnia jak pan, szefie.

- No cóż, wszyscy mamy do wykonania jakieś zadania, synu - odezwał się melancholijnym tonem oficer. - Również ci, którzy tylko...

- Sprzedają cygara? - podchwycił hazardzista. - A jeżeli już mówimy o cygarach, dlaczego nie miałby pan wziąć kilku na później, szefie? Mężczyzna, wykonujący tu, na froncie, tak odpowiedzialne zadanie, rzadko może pozwolić sobie na przyjemności.

- Sabak! - wykrzyknął podniecony marynarz- artylerzysta, po czym zgarnął mizerną pulę, za którą hazardzista nie mógłby kupić ani jednego ze swoich luksusowych cygar. Lando Calrissian opanował do perfekcji trudną sztukę demonstracyjnego przegrywania, kiedy gra toczyła się o niewielkie stawki, i wygrywania w sposób tak nie rzucający się w oczy, jak możliwe, ilekroć na stoliku leżały spore sumy. Na razie prowadził politykę przegrywania w prawie każdym rozdaniu - mając na uwadze wygranie w ważniejszej grze, którą rozpocznie, kiedy dostanie się do ThonBoki.

Przebywał na pokładzie czwartego gwiazdowego krążownika, jaki odwiedził w ciągu takiej samej liczby dni dzięki znajomościom, wyrobionym przez oficera dyżurnego ze „Szlachetnego”. Za każdym razem, kiedy Vuffi Raa cumował „Sokoła Millenium” do burty następnego okrętu, witano ich z coraz większym entuzjazmem i przedsięwzięto coraz bardziej powierzchowne środki ostrożności. Każda taka wizyta przybliżała mały frachtowiec i jego prawdziwy ładunek do GwiazdoGroty i jej obleganych, bezradnych mieszkańców.

„Sokół” był kilkakrotnie poddawany szczegółowym przeszukiwaniom, ale nikt nie zamierzał poświęcać czasu - ani wysilać narządów węchu - na badanie toalet, zbiornic śmieci czy chociażby urządzeń przetwarzających odpady. Nikt nie zwrócił uwagi, że te ostatnie były wypełnione do granic możliwości substancjami, którymi wszyscy gardzili, uważając za nieczystości. Tym bardziej że nikt nie mający co najmniej stopnia admirała nie znał celu wyprawy ani powodu idiotycznej blokady.

Lando szybko zaczynał darzyć wojskowe środki ostrożności - a ściślej sposoby ich egzekwowania - coraz większą sympatią.

Mimo iż niewprawne paluchy marynarza drżały z niecierpliwości i zachłanności, ich właścicielowi udało się potasować stos kart- - płytek. Cała talia liczyła ich aż siedemdziesiąt osiem, podzielonych na cztery zwykłe kolory: szable, klepki, manierki i monety. Walory tych kart zmieniały się od asów do Mistrzów. Talia zawierała również zestaw kart specjalnych, którym przypisywano odrębne znaczenia - i ujemne wartości. Celem gry, doprawdy dziecinne prostym, było uzyskanie dokładnie dwudziestu trzech punktów - albo sumy jak najbliższej tej liczby, ale nie większej. Osiągnięcie zera albo minus dwudziestki trójki było równie złe jak osiągnięcie plus dwudziestki czwórki. Istniały również szczególne kombinacje kart, jak na przykład dowolnej dwójki, dowolnej trójki i liczącego się za zero punktów Idioty - karty ze specjalnego zestawu - które automatycznie zapewniały uzyskanie dwudziestki trójki.

Tym jednak, co czyniło z sabaka grę naprawdę ciekawą - i co szarpało nerwy większości amatorów, którzy do niej zasiadali - był fakt, że każda karta- płytka zawierała elektroniczny mikroobwód, który mógł zmieniać jej kolor i walor. Zdarzało się to w

przypadkowych, absolutnie niemożliwych do przewidzenia chwilach, o ile gracz nie rzucił kart na elektroniczną matę, rozłożoną na blacie stołu przez Calrissiana. Jeżeli tego nie zrobił i przytrzymał karty odrobinę zbyt długo, mogąca zapewnić wygraną kombinacja przemieniała się w bezwartościowe śmiecie. Zdarzało się też - aczkolwiek nieco rzadziej - że bezwartościowe śmiecie przeistaczały się w kombinację, dzięki której szczęśliwy gracz mógł kupić sobie kopalnię szlachetnego palladu.

Jeżeli chodziło o Calrissiana, gra przynosiła mu ukojenie. Stanowiła miłą odmianę i zapewniała odprężenie po trudach międzygwiezdnego transportowania towarów. Co więcej, bez względu na wysokość stawek, sprawiała mu satysfakcję. Zapewne dlatego, że hazardzista nie nauczył się przegrywać. Nawet wówczas, kiedy starał się grać uczciwie. W grze, toczącej się w mesie- świetlicy na pokładzie „Niezawodnego”, w której właśnie uczestniczył, brało także udział dwóch kucharzy i dwóch młodszych stopniami marynarzy-artyleryzistów. Lando włożył na tę okazję najbardziej wystrzępiony, aczkolwiek wyprany i nienagannie odprasowany lotniczy kombinezon.

W kolejnym rozdaniu wygrał starszy spośród dwójki kucharzy, w związku z czym to on miał teraz rozdawać karty. Mężczyzna wygrał może połowę tego, co w poprzedniej grze zgarnął artylerzysta. Mimo to sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. Lando pokręcił głową - rzecz jasna, tylko w duchu, ponieważ żadnym gestem nie pozwolił sobie okazać tego, co myślał. Pamiętał chwile, kiedy na blacie stołu, ustawionego w najbardziej ekskluzywnym i luksusowym hotelu, leżała suma, jaka wystarczałaby na zapłacenie okupu za księżniczkę albo nabycie gwiazdnego statku. Z wysiłkiem zmuszał się do spoglądania na wszystko z odpowiedniej perspektywy. Mimo to od czasu do czasu zapominał, że prawdziwa stawka w tej grze była wyższa niż ta, o jakie zdarzało mu się kiedykolwiek grywać. Naprawdę chodziło o ocalenie całej rasy inteligentnych istot od głodowej śmierci, a także o wszystkie bezcenne klejnoty - co prawda, sztucznie wytworzone, ale niemożliwe do odróżnienia od stworzonych przez przyrodę - których mógłby zażądać w zamian za przysługę.

Przebieając beznadziejnie nieporadnie tłustymi paluchami, kucharz dał Calrissianowi parę kart- płytek ze spodu talii. Po chwili w taki sam sposób usiłował oszukać pozostałych graczy. Nie miał w tym wielkiej wprawy - a a raczej, prawdę mówiąc, nie miał żadnej wprawy. Lando otrzymał liczonego za czternaście punktów Mistrza klepek i dziewiątkę manierek. Miał zatem dwie karty, dające dwadzieścia trzy punkty. Mimo to nie wypuszczał kart- płytek z czujnych palców, z nadzieją, że jedna albo druga przemieni się w coś bezwartościowego. Nie pragnął oskubywać nieszczęsnych marynarzy, ale zdobywać cenne informacje.

— No cóż - odezwał się w pewnej chwili. - Pozbyłem się niemal wszystkiego, co przeznaczyłem do sprzedania na pokładzie „Niezawodnego”. Czy wy, chłopcy okrętowi, przez przypadek nie wiecie, gdzie musiałbym polecieć, żeby znaleźć zieleniejsze pastwiska?

Znajomości, wyrobione przez oficera dyżurnego ze „Szlachetnego”, zaczynały się wyczerpywać, a on musiał poznać nie tylko nazwę następnego okrętu blokady, wiszącego w przestworzach jeszcze bliżej ThonBoki, ale także nazwisko osoby zajmującej na jego pokładzie jakieś ważne stanowisko. Funkcjonariusza, na którego mógłby się powołać i liczyć, że udzieli mu pomocy. Widząc, że pozostali gracze podnoszą stawki i proszą o następne karty, postąpił tak samo. Zrezygnował z Mistrza i otrzymał asa monet. W tej samej chwili dziewiątka w jego palcach przemieniła się w ósemkę. Miał zatem znów dwadzieścia trzy punkty! Uznał, że dosyć tego dobrego.

- Sabak! - odezwał się po raz pierwszy tego popołudnia. Pomyślał, że czasami się przegrywa, a czasami wygrywa. Trzeba się liczyć i z dobrymi, i ze złymi aspektami. Nie

zastanawiając się, zgarnął ze stołu kilka marnych milikredytów, po czym w następnym rozdania znów przegrał. Nie przychodziło mu to z takim trudem, kiedy musiał rozdawać karty- płytki.

- Mógłbyś spróbować szczęścia na „Szarmancim” - doradził młodszy z dwóch kucharzy, zsuwając na tył głowy przesiąkniętą potem białą czapkę. Nie miał jednego zęba i rozsiewał wokół siebie intensywną woń cebuli. - Tamte chłopaki pełnią służbę dłużej niż którykolwiek inni. Mam tam szwagra, który mówi... JAUC!

- Ach, tak? - zapytał Lando, udając, że nie widzi kopniaka, wymierzonego przez starszego kuchcika młodszemu koledze. - Taki wrażliwy na ból czy skłonny do ulegania nieszczęśliwym wypadkom?

- Powinieneś nauczyć się trzymać język za zębami, Merle - warknął starszy kucharz. - Istnieje przecież coś takiego jak tajemnica służbowa.

- Och, Clive, Lando jest porządnym gościem - zaprotestował jego młodszy kolega. - Sam był kiedyś prostym marynarzem, no nie, Lando? Chce tylko sprzedać swoje towary załozde „Szarmanciego”- podobnie, jak sprzedawał tutaj. No nie, Lando? A ponieważ do tego okrętu ma najbliżej, mógłby powęszyć i wyniuchać, o co w tym wszystkim... AU! Na twarzy starszego kucharza odmalowało się ubolewanie.

- Przepraszam, panie Calrissian. Nie chcieliśmy pana urazić. Lando wyszczerzył zęby w uśmiechu. Ukradkiem obserwował, jak młodszy kucharz masuje bolące gołeń.

- Nic nie szkodzi.

Kiedy młody hazardzista schodził po szczeblach metalowej drabinki do śluzy „Sokoła Millenium”, pogwizdywał jakąś wesołą melodyjkę.

— Kochanie, już wróciłem! - wykrzyknął, kiedy zeskoczył na płyty pokładu.

- Czy zwracasz się do mnie, mistrzu? - zapytał Vuffi Raa, przemieszczając macki ponad listwą uszczelniającą próg drzwi śluzy. Wyjął z rąk Landa hełm, a potem pomógł unieść okrągłą ciężką klapę i przyśrubować ją we właściwym miejscu.

- Czy wykonałeś tę drobną rzecz, o którą cię prosiłem? - zainteresował się Calrissian.

Obaj przeszli korytarzem do sterowni. Po drodze Lando poświęcił kilka chwil, żeby sprawdzić, w jakim stanie znajdują się czterolufowe działka. Pozostawione przez służby bezpieczeństwa floty pieczęcie nie zostały naruszone i wszystko wskazywało na to, że posługiwanie się działkami jest niemożliwe. Śniadolic hazardzista wiedział jednak, że Vuffi Raa zdezaktywował blokady, zanim upłynęła pierwsza godzina od ich zainstalowania.

- Ależ, oczywiście, mistrzu- odparł mały android. - Czy zechcesz powiedzieć mi teraz, dlaczego tak bardzo ci na tym zależało?

Przypiął się do fotela pilota i zaczekał, aż uzyska zgodę, a potem odłączył „Sokoła” od dolnej powierzchni kadłuba „Niezawodnego”.

Lando omiół podejrzliwym spojrzeniem całą sterownię.

- Najpierw ty mi powiedz, czy mogę wyjaśnić ci to bez informowania chłopców w szarych mundurach, którzy pozostali tam, w górze?

Kiedy mały android odpowiedział, w jego głosie zabrzmiała lekka uraza.

- Mistrzu, w ciągu ostatnich siedemdziesięciu jeden godzin usunąłem dokładnie dwadzieścia trzy urządzenia podsłuchowe, zainstalowane w różnych punktach tego frachtowca przez co najmniej trzy działające niezależnie od siebie ekipy wywiadowcze. Jestem absolutnie pewien, że na pokładzie nie pozostało ani jedno. A zatem, pragnąłbym się dowiedzieć, dlaczego chciałeś, żebym...

- To proste - przerwał mu Calrissian. - Chciałbym, abyś wywołał „Szarmanciego” i poinformował kogoś na pokładzie, że do nich lecimy, a potem żebyś wytyczył kurs, który pozwoli nam znaleźć się tam jak najszybciej. Chciałbym też, żebyś był gotów, kiedy

przelecimy w pobliżu krążownika i skierujemy się ku wlotowi do ThonBoki, wpompować wszystko, co mamy, w jednostkę napędu nadświatłowego, a wszystko inne, co jeszcze pozostanie, w generatory rufowego pola siłowego. Rozumiesz?

Sięgnął pod pulpit panelu kontrolnego i wyciągnął cygaro - nieporównywalnie wyższej jakości niż którekolwiek spośród niedawno sprzedawanych. Vuffi Raa zapalił je rozżarzonym końcem macki.

- Rozkaz, szefie - odpowiedział. - Ale pytałem cię o to urządzenie, które kazałeś mi skonstruować w tym czasie, kiedy przebywałeś na pokładzie „Niezawodnego”. Wystaje conajmniej metr poza zasięg rufowego pola i jest...

- „Szarmanski”, tu „Sokół Millenium”, czy mnie słyszycie? Zgodnie z poprzednio otrzymanymi zezwoleniami, kieruję się do was. Mam na pokładzie sto galonów wybornych bleblejagodowych lodów, które zachowałem specjalnie z myślą o członkach waszej załogi. Odbiór.

- Ależ mistrzu! - zdumiał się Vuffi Raa. - Przecież nie mamy na pokładzie...

- „Sokół Em”, tu „Szarmanski”. Od wielu tygodni nie jedliśmy żadnych lodów, a zatem powitamy was z otwartymi ramionami. Słyszeliśmy także, że interesujecie się statystyką?

Lando roześmiał się, kiedy usłyszał słowa uniwersalnego szyfru, jednoznacznie rozumianego zapewne przez wszystkich hazardzistów.

- Zwłaszcza kombinacjami i permutacjami liczby siedemdziesiąt osiem, „Szarmanski”, i tylko pod warunkiem, że piątkom można przypisać dowolną wartość. Będziemy lada chwila. Czekajcie na nas w służbie. Bez odbioru.

„Sokół Millenium”, napędzany jednostkami konwencjonalnymi, szybko pokonywał odległość dzielącą oba okręty obłęźniczej floty. Każdą wolną sekundę Lando spędzał, martwiąc się, czy urządzenie, które kazał Vuffiemu Raa skonstruować i zainstalować, będzie funkcjonowało prawidłowo. Decydował się na ogromne ryzyko. Nie było czasu na dokonywanie prób, a w projektowaniu urządzeń technicznych nie miał dużej wprawy. Jeżeli urządzenie zawiedzie, frachtowiec rozpadnie się na miliardy rozżarzonych szczątków, które zaśmiecą przestworza chyba aż do granic systemu Rify.

- „Sokół Millenium”, zboczyłeś z kursu, wyznaczonego przez nasz sygnał namiarowy! Gdzie uczyłeś się pilotować tę przerośniętą podkowę, ty przeklęty handlarzu pierzem, w jakiejś szkółce niedzielnej?

Krytyczne sekundy, w trakcie których członkowie załogi niewielkiego frachtowca nie odpowiadali na zniewagi, ciągnęły się jak guma do żucia. Coraz bardziej zmniejszała się też widoczna na kontrolnych pulpitych liczba kilometrów, dzielących ich od celu.

- „Sokół Em”, uważnie posłuchajcie! Natychmiast dokonajcie poprawki kursu! Lufy naszych dział zaczynają się kierować ku wam. Czy mnie rozumiecie?

Zgrzytając zębami i nerwowo zaciskając palce na podłokietnikach fotela, Lando siedział absolutnie nieruchomo i przyglądał się tarczom mierników. Czuł, jak spływająca po szyi strużka potu wsiąka w materiał kołnierza, ale nie odzywał się ani słowem.

Jeszcze raz:

- „Es Millenium”, dajemy wam ostatnie pięć sekund, a potem rozpylamy was na rozżarzone atomy! Zaczynam odliczać. Pięć, cztery, trzy...

- No, dobrze, Vuffi Raa, zaczynamy! Kiedy silniki się rozgrzeją, prześlij do nich wszystko, czym dysponujemy!

- Jak sobie życzysz, mistrzu.

Macki robota zaczęły tak szybko poruszać się nad klawiaturami i pulpitymi, że przemieniły się w migotliwą mgiełkę. Vuffi Raa zajął się przekazywaniem energii do generatorów rufowych pól siłowych i robił to tak długo, aż wskaźniki zapiszczały, sygnalizując początek

przeciążenia. Na sektorze panelu oznaczonym JNN radośnie zamrugały różne lampki. Dowodziło to, że potężne jednostki napędu nadświetlnego obudziły się z nieprzewidywanej kilkudniowej drzemki. W końcu wszystkie światelka zapłonęły intensywnym zielonym blaskiem. Kiedy z głośnika komunikatora padło: „zero”, silniki i ochronne pola osiągnęły pełną gotowość.

Lando miał nadzieję, że równie sprawne było jego małe urządzenie.

- „Sokół Millenium”! — z głośnika komunikatora dobiegło ostateczne, chociaż całkowicie zbędne ostrzeżenie. Dzięki temu hazardzista i android uzyskali jeszcze kilka bezcennych sekund. - Jesteście trupami...

- Teraz! - krzyknęły w tej samej sekundzie Lando i Vuffi Raa. Warczenie w głośniku się urwało. Siłowe pola otoczyły rufę frachtowca niewidzialnym baldachimem, a generatory dostarczające energię do silników napędu nadświetlnego zaczęły radośnie pomrukiwać i pulsować. Wszystko to stało się ułamek sekundy wcześniej, zanim czoło mającej metr szerokości i wysłanej z luf dział mijanego krążownika niszczącej fali świetlnej dotarło do środkowej części rufy.

Pola siłowe ugięły się, ale wytrzymały... i trzymały... i trzymały...

Nagle „Sokół Millenium” zamienił się w olbrzymią, oślepiająco jasną chmurę fosforyzujących gazów. Zniknął w niej, a chmura zaczęła szybko rozpraszać się i gasnąć. Po chwili w miejscu, gdzie znajdował się frachtowiec, pozostała zaledwie garść jarzących się metalowych okruszków.

## ROZDZIAŁ VI

Pierwszy odezwał się do Drogiego:

- Nareszcie. Najwyższa pora.

Podobnie jak Oswaft Lehesu, bez wysiłku unosił się w pustce przestworzy i nie zaprzątając sobie umysłu niczym innym, obserwował gwiazdy. W przeciwieństwie do Lehesu, wiedział o nich wszystko, czego można było się dowiedzieć. Prawdę mówiąc, wiele spośród nich sam odwiedził. A zresztą, nie tylko pod tym względem różnił się od umiającego oddychać w próżni młodocianego mieszkańca ThonBoki. Nawet Lando Calrissian, przyzwyczajony do oglądania niezwykłych i wspaniałych widoków, nie wiedziałby, czy przed sobą ma przedmiot, czy żywą istotę.

- To prawda - przyznał Drugi, chociaż doskonale wiedział, że uwagi wypowiedziane przez jego towarzysza miały charakter czysto retoryczny. - Teraz już wszystko jest tak, jak zaplanowano. Zgromadzą Pozostałych i powiem, żeby do nas dołączyli.

Podjął starania, mające na celu urzeczywistnienie owej zapowiedzi. Mimo to w grę wchodziły tak gigantyczne odległości, że pokonanie ich z szybkością bliską prędkości światła wymagałoby kilku dni, koniecznych do przesłania pożądanej informacji.

- Mam słusność - zgodził się z nim Pierwszy. - To także zostało zaplanowane. A ta niewiedza, mój przyjacielu, jest doprawdy bardzo dziwnym uczuciem. Dziwniejszym, niż się spodziewałem. Prawdę mówiąc, niepokojącym i niemiłym. Tyle czasu minęło, odkąd...

Pozwolił, żeby to, co pełniło funkcję głosu, zamilkło i nie dokończyło zaczętej myśli. Zajął się rozważaniem oceanu czasu; inne inteligentne istoty mogłyby dostać pomieszczenia zmysłów na samą myśl o tym.

Drogi nie odezwał się, milczeniem wyrażając poparcie, sympatię i współczucie. On także doświadczał takiego samego niepokoju, wywołanego niewiedzą, a może tylko niepewnością. Pomimo niemalże niewyobrażalnie długiego czasu, jaki przeżył, i

stosunkowo krótkiego, kiedy to odczuwał, uważał, że niepokój ciągnie się zbyt długo. Niepewność miała jednak właśnie to do siebie. A zresztą stanowiła główny cel całego planu. W ciągu niezliczonych eonów, jakie trwała ich egzystencja, Pierwszy, Drogi i Pozostali stali się - jeżeli można użyć takiego określenia - zbyt wszytkowiedzący i doskonali. Korzystając z bogatego doświadczenia życiowego, znakomitych źródeł informacji i wspaniale opanowanej umiejętności logicznego rozumowania, potrafili bez najmniejszego trudu przewidywać bieg wydarzeń.

Jak na ironię losu, to właśnie dzięki owym cechom Pierwszy doszedł kiedyś do przekonania, że jeżeli takie komfortowe warunki życia nie ulegną zmianie, całej rasie inteligentnych istot grozi najpierw stagnacja, a potem nieuchronna zagłada. Doradził wszystkim, którzy się tym zainteresowali, by do rozwoju cywilizacji wprowadzili element niepewności. Rzecz jasna, Oni doskonale zrozumieli, o co chodzi, i przyznali mu rację. (Jedynomyślność i poparcie, jakiego mu udzielili, były same w sobie czymś oczywistym i oczekiwany. Możliwe jednak, że przedstawiciele innych ras inteligentnych, ale bardziej żywotnych i pazernych istot, znaleźliby pośród siebie co najmniej kilku osobników, którzy sprzeciwiliby się wprowadzeniu proponowanych zmian jedynie dla samej zasady nie zgadzania się z pozostałymi). Pierwsze, rozpoczęte przed wieloma tysiącleciami doświadczenie, w ramach którego wprowadzono ów element niepewności, miało właśnie zacząć owocować.

- Czy przypuszczasz... - zaczął Drogi, nieświadomie używając wyrażenia, którym od dawna się nie posługiwano. Pozwolił jednak, aby reszta owej jałowej myśli uleciała z jego głowy. W tej chwili wszelkie przypuszczenia nie miały sensu. I Pierwszy, i Drogi doskonale wiedzieli, jakich skutków i z jakimi prawdopodobieństwami mogą się spodziewać. Wiedzę tę czerpali z niemal nieograniczonej skarbnicy, jaką zgromadziła ich prastara, bogata i skomplikowana cywilizacja. Cywilizacja, której zagrażała całkowita zagłada. Przedstawiciele owej cywilizacji niełatwo godzili się na takie ryzyko. To także stanowiło jeden z powodów, dla którego musieli je podejmować.

- Czy przypuszczasz... Pierwszy odpowiedział:

- Nie wiem... Jakież to nierealne uczucie! Po raz pierwszy od wielu eonów nauczymy się Czegoś Nowego. I to bez względu na to, czy okaże się to dla nas korzystne, czy też nie. Będziemy musieli później połączyć tę nową wiedzę ze starą, dzięki czemu uzyskamy coś, czego się nie spodziewamy. Mam wrażenie... to uczucie musi być bardzo podobne do tego, jakie odczuwali nasi prapraprzodkowie, kiedy jeszcze prawie niczego nie wiedzieli, a niemal wszystkiego musieli się dowiedzieć. Nic dziwnego, że omal nie postradali zmysłów i prawie nieskończoną liczbę razy byli bliscy samozagłady.

Po długim, bardzo długim okresie ciszy, Drugi odrzekł:

- Ja już nauczyłem się Czegoś Nowego.

W tonie jego głosu zadźwięczała nuta, będąca wspomnieniem czegoś dobrze znanego, ale na wpół zapomnianego.

Kiedy w końcu przemówił Pierwszy, w jego głosie również dało się słyszeć nutę podniecenia.

- Proszę, powiedz mi... co to takiego? Ja także muszę się nauczyć Czegoś Nowego, a później obaj powinniśmy przekazać tę wiedzę...

- Nauczyłem się tego, że sama perspektywa nauczania się Czegoś Nowego sprawia, że stajemy się nierozumnie gadatliwi. Nie jestem pewien... o, znów ta sama niepewność

- czy to na pewno jest czymś całkiem pożytecznym.

- Wydaje mi się- odparł Pierwszy jakby trochę oschlej niż poprzednio - że na nowo odkryłeś coś, co nasi prapraprzodkowie określali mianem humoru. I muszę ci powiedzieć, że nie jestem pewien, czy to jest czymś całkiem pożytecznym.

Klyn Shanga leciał w nieprzeniknionych ciemnościach, starając się jak najszybciej dołączyć do pozostałych pilotów swojej prowizorycznej, naprędcie sklejonej eskadry. Rozpamiętywał cztery najważniejsze etapy swojego życia. Najpierw pełnił służbę w siłach powietrznych swej małej krainy, stanowiącej coś w rodzaju niezależnego państwa. Następnie, gdy przeniesiono go w stan spoczynku, zajął się uprawą roli. Potem, kiedy całemu systemowi Renatazji zagroziło śmiertelne niebezpieczeństwo i wszystkie krainy-państwa połączyły siły, ponownie został pilotem gwiazdnej maszyny. Za najdziwniejszy ze wszystkich należało jednak uznać chyba ten ostatni etap, kiedy po niemal zupełnym unicestwieniu renatazańskiej cywilizacji zapalał żądzą zemsty i wyprawił się w międzygwiazdne przestworza, by odnaleźć i ukarać bezlitosnych prześladowców. Rozsiadł się wygodnie na zniszczonym, połatanym i wystrzępionym fotelu pilota. Ostrożnie umieścił stopy pomiędzy dźwigniami akceleratora, po czym wyciągnął długie nogi. Wprostował plecy i rozluźnił mięśnie, usiłując pozbyć się bólu, który się w nich zagnieździł - chyba bardziej w wyniku nerwowego napięcia niż długiego okresu lotu. Do tego ostatniego był przyzwyczajony. Przeleciał przecież, zamknięty w kabinie nieprawdopodobnie małego myśliwca, niewiarygodnie wielką liczbę międzygwiazdnych parseków.

Popatrzył na biodro i upewnił się, że znów ma blaster, częściowo ukryty w czeluści wojskowej kabury. Wystawała jedynie część wyslizganej i niemal idealnie gładkiej rękojeści. Shanga pamiętał, że od częstego ocierania się o skórę kabury, lufa lśniła jak wypolerowana. Jej szczeniała i lekko wyszczerbiona końcówka wyglądała, jakby z broni strzelano częściej i dłużej, niż przewidywali projektanci. Mając broń, wojownik mógł się znów czuć sobą. Trzeba jednak powiedzieć, że - jak zresztą prawie wszyscy zawodowi żołnierze - nie znosił zabijania. Starał się go unikać, ilekroć potrafił znaleźć inne wyjście z sytuacji. A poza tym mógł wyrządzić przeciwnikowi więcej krzywd potężnym ciosem lewej pięści niż większość innych wojowników, dysponujących całym arsenałem broni. Mimo to uważał broń, podobnie jak wysłużony, pokiereszowany przestarzały myśliwiec, niemal za przedłużenie ciała. I jedno, i drugie traktował jak wiernego towarzysza i przyjaciela.

Tylko niewielu innych równie oddanych druhów już mu pozostało.

Czekali gdzieś daleko, na samych obrzeżach wymarłego przed tysiącami lat systemu Tundu. Zapewne niecierpili się, nie wiedząc, jaką wiadomość im przekaże. Niektórzy zostali przyholowani do tego sektora galaktyki - odległego o wiele, wiele lat świetlnych od rodzimego świata - za pomocą wyciągniętej ze składnicy złomu i wyremontowanej centralnej jednostki napędowej. Urządzenie było kiedyś zainstalowanym na pokładzie gwiazdznego pancernika gigantycznym silnikiem napędu nadświatelnego. Porzucili je odlatujący najeźdźcy, kiedy opuszczali ruiny Renatazji. Klyn Shanga i piloci jego eskadry dołączyli do owego urządzenia - za pomocą grubych i wytrzymałych, ale elastycznych kabli - co najmniej dwadzieścia pięć najróżniejszych myśliwców, zakupionych, ukradzionych albo wypożyczonych na dwudziestu światach. Sama centralna jednostka w końcu stała się także bronią - atomowym taranem, użytym w geście ostatecznej rozpacz. Mimo to nie spełniła pokładanych w niej nadziei i nie pomogła osiągnąć celu, z myślą o którym nią się posłużono. Nie wyrządziła Vuffiemu Raaj najmniejszej krzywdy.

Tak więc, pozbawiony możliwości przemieszczania się w nadprzestrzeni, Klyn Shanga musiał szukać pomocy u niepewnego sojusznika. Takiego, który bez wątpienia, wcześniej czy później go zawiedzie.

Siedząc w ciasnej kabinie na fotelu pilota, posiadał wojownik zastanawiał się, jakich słów, zwrotów i określeń powinien użyć, aby przekonać podwładnych, że znalazł najlepsze w tych okolicznościach wyjście z sytuacji. Kilku spośród tych, którzy czekali na obrzeżach Tundu, przeżyło pierwszą poważniejszą krwawą bitwę, jaką cała eskadra stoczyła w



systemie Oseona. Nieco później przyłączyli się do nich pozostali. Wypełzali z cuchnących ładowni przestarzałych frachtowców albo docierali, podrzucani przez międzygwiazdnych poszukiwaczy śmieci i odpadów.

Na prawdziwą ironię losu zakrawał jednak fakt, że ów Rokur Gepta, z którym zawarł umowę, charakteryzował się taką samą złośliwością i przebiegłością jak istota odpowiadająca za zagładę Renatazji. Innym, nie mniej ironicznym zrządzeniem losu było to, że kiedy obaj porozumiewali się i układali plany, zamierzali wykorzystać flotę jako coś w rodzaju bazy, która pomogłaby w ich realizacji. Wykorzystywali okręty tej samej Marynarki, która przyczyniła się do zniszczenia cywilizacji Renatazji.

Na samym początku Klyn Shanga, pałając chęcią zemsty i pragnąc wyrównać porachunki ze sprawcami zagłady, zamierzał poświęcić życie wszystkich uczestników wyprawy. Teraz jednak, mimo iż ogarniało go coraz większe zniechęcenie i zmęczenie, dobitniej uświadamiał sobie, że dalsze życie nie jest pozbawione sensu. Pochwycenie pięciorekiego zdrajcy i upewnienie się, że zginie powolną męczeńską śmiercią, mogło stać się początkiem nowego życia. Wcześniej jednak musi wyrzucić zemstę na Marynarce, na istotach odpowiedzialnych za ułożenie planu, a także na wszystkich innych, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do unicestwienia Renatazji.

Rozpacz i przygnębienie zmusiły Shangę do szukania radykalnego rozwiązania. Porozumienie, zawarte z czarownikiem Tundów, kryło w sobie pewne ryzyko. Istniało niebezpieczeństwo, że owe pożalowania godne resztki, jakie pozostały z renatazjańskiego oddziału doborowych wojowników, zostaną wykorzystane do innego, o wiele bardziej przewrotnego celu. Jego piloci mogli dostać do wykonania zadanie nieskończenie bardziej podłe i podstępne niż zagłada cywilizacji istot zamieszkujących cały system. Klyn Shanga pomyślał, że jeżeli ktokolwiek byłby zdolny do zaplanowania tak strasznego kataklizmu, tym kimś był z pewnością Rokur Gepta.

Stary wojownik przypominał sobie, że dawno, kiedy mieszkał na Renatazji, widział samicę stworzenia, która zamierzając wydać na świat młode, musiała zanurzyć się w wodzie. Padała wówczas ofiarą pływającego uzębionego drapieżnika. Czarownik Tundów, niecierpliwie krążący wokół upatrzonej ofiary, przypominał mu właśnie owego zębatego mięsożercę. Tymczasem on, Klyn Shanga, dysponujący jedynie niewielką flotą małych gwiazdnych maszyn (którą właściwie trzeba było ochrzcić mianem floty), czuł się jak bezbronna samica - zapewne przeczuwająca, że musi sama zginąć, a nawet poświęcić życie niektórych młodych, aby chociaż kilkoro innych przeżyło i w taki sposób dało początek nowemu życiu.

Z drugiej strony, jedynie istoty obdarzone inteligencją potrafiły być na tyle głupie, żeby uważać wszechświat za pole sadystycznej bitwy, w trakcie której brutalność i gwałt są czymś najzupełniej oczywistym i zrozumiałym, a przedśmiertne wrzaski i jęki najprzejemniejszą muzyką, kojącą uszy walczących wojowników. Nikt - nawet ktoś taki jak Klyn Shanga - nie wierzył, aby w śmierci można było doszukiwać się jakiegokolwiek sensu.

Stary renatazjański wojak pomyślał, że może w ogóle nie powinien był odchodzić z czynnej służby. Z piersi mężczyzny wydarło się głębokie westchnienie, zupełnie nie pasujące do odgrywanej roli ani okoliczności, w jakich się znajdował. Wszystkie długie, radosne lata, jakie spędził, zajmując się uprawą roli — ciesząc się słońcem, powietrzem i wszystkim, co rodziła żyzna gleba - nastroiły go zbyt melancholijnie, żeby mógł być jeszcze kiedyś dobrym żołnierzem. W jego świecie nie było jednak innych wojowników, na których pomoc można by liczyć w trudnej chwili, a zatem należało się zadowolić takim, jaki zgodził się służyć.

Powtarzając w myślach słowa, jakie już wkrótce wypowie, żeby przekonać swoich ludzi,

Klyn Shanga leciał w ciemnościach, rozjaśnianych jedynie przez świecące gwiazdy. Szczerze żałował, że za pomocą tych samych słów nie potrafi przekonać siebie.

Rokur Gepta, przebywający na mostku zmodernizowanego gwiazdnego krążownika „Wennis”, niedawno otrzymał alarmujący meldunek, przekazany przez jednego ze zwiadowców. Pilot leciał maleńkim jednomiejscowym myśliwcem, niewiele różniącym się od maszyny pilotowanej przez Klynę Shangę, ale wyposażonym - co stanowiło nowość nawet w przypadku Marynarki - w jednostkę umożliwiającą latanie w nadprzestrzeni. Całkowicie bezbronny mały myśliwiec składał się z dwóch części. Jedna zawierała jednostkę napędu nadświatelnego, a druga - bardzo ciasna nawet dla kogoś szczupłego - pełniła funkcję kabiny pilota. Pilotowanie takiej łupiny przez czas dłuższy niż kilka minut nadawało nowy sens takim słowom jak „ciasnota” i „niewygoda”.

Myśliwiec i jego pilot zdążyli dolecieć do ThonBoki i powrócić w czasie, kiedy wlokący się „Wennis” - mimo iż uchodził za bardzo szybką jednostkę swojej klasy - znajdował się w odległości co najmniej kilku dni od mgławicy.

Gepta także dysponował takim gwiazdnym myśliwcem. Wykorzystywał go do własnych celów. Pamiętał, że przynajmniej dwukrotnie mała, ale bardzo szybka maszyna ocaliła mu życie. Lubił ją - mniej więcej tak samo, jak mógł lubić cokolwiek innego, może z wyjątkiem odrażających stworzeń, zamieszkujących najbardziej mroczne zakamarki jaskiń Tundu. Darzenie czegokolwiek sympatią nie zaliczało się do uczuć, jakie zazwyczaj można było znaleźć w przepastnych czeluściach duszy czarownika. Nikt jednak nie wiedział, czy uczucie tego nigdy tam nie było, czy też może zostało bezlitośnie wykorzenione jeszcze we wczesnym okresie życia. Zapewne odpowiedzi na to pytanie nie potrafiłyby udzielić sam Gepta.

Przeżył zatem prawdziwy wstrząs - trwający wprawdzie tylko krótką chwilę, dopóki nie odzyskał panowania nad sobą - kiedy dowiedział się, że „Sokół Millenium” i jego załoga zostali unicestwieni przez jeden z krążowników obłączniczej floty. Odczuł wówczas coś dziwnego i trudno uchwytanego, co inni określiliby mianem żalu. Mimo iż czarownik wcale tego nie pragnął, a nawet się nie spodziewał, Lando Calrissian przestał go złościć i drażnić, i przemieniał się w godnego przeciwnika, szlachetnego nieprzyjaciela.

- Widziałem to na własne oczy, wasza ekscelencjo! - meldował zwiadowca, oddychając z wysiłkiem.

Ciepłe powietrze skraplało się na pancerzu kosmicznego skafandra, a spływające krople tworzyły na pokładzie małe kałuże. Podobnie jak wszyscy pełniący służbę na pokładzie „Wennisa” członkowie załogi, zwiadowca nie miał na mundurze żadnych naszywek ani odznak, które mogłyby zdradzić jednostkę albo stopień wojskowy. Miało to służyć podtrzymywaniu politycznej fikcji, na której głoszeniu tak zależało prawdziwym przełożonym. Fakt, że nie wprowadziłoby to w błąd nikogo inteligentniejszego niż gąbka, nie stanowił dostatecznego powodu, aby z tego zrezygnować.

Żadnych oznaczeń nie dało się dostrzec także na powierzchni powoli ogrzewającego się próżniowego skafandra, którego zwiadowca, spiesząc na mostek, nie miał czasu ściągnąć. Zaledwie przed kilkoma chwilami wyskoczył z kabiny ultraszybkiego myśliwca, który spoczywał teraz w przepastnym, podobnym do jaskini hangarze rzekomo cywilnego statku. Większość stanowiących załogę „Wennisa” zawodowych żołnierzy pogardała tym bezsensownym kamuflażem, ale rzadko kto, kierując się zrozumiałą przezornością, pozwalał sobie głośno wypowiadać słowa niezadowolenia.

Kiedy Rokur Gepta przebywał na pokładzie swojego krążownika, nie siadywał na bazaltowym tronie ani nie szukał samotności, czym miał zwyczaj napawać się, ilekroć spędzał czas w jaskiniach Tundu. Zajmował fotel kapitana (mimo iż ów tytuł piastował jeden z oficerów) i przyglądał się, jak pełniący służbę na mostku członkowie

załogi wypełniają wszystkie jego polecenia. Bezlitośnie egzaminował nieszczęsnego zwiadowcę, zastanawiając się w duchu, czy rzeczywiście — pomimo tylu wysiłków i czasu poświęconego na ściganie Landa Calrissiana — ktoś inny, zupełnie przypadkowy go uśmiercił, pozbawiając czarownika radości zwycięstwa nad nienawidzoną ofiarą.

- Jeszcze raz powiedz mi, jaki to był okręt - syknął, zastanawiając się przez krótką chwilę, czy nie ukarać jego kapitana i załogi. - Jaki okręt zniszczył „Sokoła Millenium” i w jaki sposób.

Czarownik wyprostował się jak drapieżny ptak, zamierzający rzucić się na ofiarę. Spiorunował młodego oficera spojrzeniem płonących, zachłannych oczu, prawie niewidocznych w szczelinie ciemnoszarego zawoju.

Inni pełniący służbę na mostku członkowie załogi pochylił się nad pulpitemi i przyrządami. Skulił się, współczując młodzieńcowi, ale nie zamierzali zapobiec się smutnemu losowi, jaki zapewne go czekał. Widzieli, jak niemal w tym samym miejscu straszliwy czarownik pozbawił goności i stopnia, a nawet omal nie uśmiercił ich kapitana. Nie przypuszczali, żeby zechciał oszczędzić kogoś mającego zaledwie stopień porucznika.

Zwiadowca przełknął ślinę. Uczynił to z najwyższym trudem. Żałował, że nie może się znów znaleźć w przyprawiającej o klaustrofobię, ale zapewniającej bezpieczeństwo kabinie myśliwca. Cieszył się opinią najlepszego pilota spośród wszystkich pełniących służbę na pokładzie „Wennisa”; może nawet najlepszego ze wszystkich, jakimi dysponowała obłężnicza flota. Wiedział jednak, że w przypadku groźnego czarownika fakt ten nie ma najmniejszego znaczenia. Nie miał pojęcia, co powinien powiedzieć ani jak się zachować podczas rozmowy z kimś tak wrogo nastawionym, a zarazem obdarzonym nieograniczoną władzą. Odnosił wrażenie, że czułby się o wiele pewniej, gdyby poznanie takiej wiedzy stanowiło jeden z elementów programu szkolenia, jakie przeszedł, kształcąc się w wojskowej akademii. Zdobył tam przecież wiele innych, znacznie rzadziej wykorzystywanych umiejętności - takich jak na przykład rozpalanie ognisk przez uderzanie krzemieniem o kawałek stali czy wzywanie posiłków za pomocą sygnałowego zwierciadła.

- To był „Szarmancki”, wasza ekscelencjo - odparł w końcu. - Jeden z okrętów strzegących wlotu ThonBoki. Prawdę mówiąc, to właśnie on znajdował się wówczas najbliżej mgławicy. A ponieważ zgodnie z rozkazem waszej ekscelencji miałem zameldować się na pokładzie okrętu flagowego i spodziewałem się uzyskać zgodę na lądowanie, przysłuchiwałem się rozmowom prowadzonym przez komunikator. Ten „Sokół Em”, który wyglądał jak udająca frachtowiec stara balia, miał przycumować do burty „Szarmanckiego” w celach handlowych. O ile mi wiadomo, w takich samych celach przybijał do burt prawie wszystkich innych okrętów naszej floty. Jego kapitan nazywał się Lando Calrissian i sprzedawał załogom - zupełnie jak uczynny android- kelner częstujący gości na balu- cygara, papierosy i różne inne przedmioty używane przez cywilów. Tym razem jednak nie przycumował do burty krążownika. Zamiast tego przeleciał w niewielkiej odległości i przyspieszywszy, skierował się do wlotu mgławicy. To właśnie wówczas został zestrzelony przez artylerzystów „Szarmanckiego”. Jeszcze nigdy nie widziałem, wasza ekscelencjo, żeby promień świetlny miał taką siłę. Musieli użyć jakiejś nowej broni.

Gepta wyprostował się jeszcze bardziej. Siedząc na wysokim fotelu kapitana, zdawał się górować nad młodym oficerem niczym wieża.

- A „Sokół Millenium”? - zapytał. - Co stało się z frachtowcem? Pilot ponownie przełknął ślinę. Dopiero teraz miał go spotkać zły los, czekający chyba wszystkich niewinnych zwiastunów niepomyślnych wiadomości.

- Wyparował, wasza ekscelencjo. Przyjął całą energię strzału na rufowe pola, które uległy przeciążeniu, wskutek czego frachtowiec po prostu wyparował. Widziano to z pokładów

wszystkich okrętów naszej floty... wasza ekscelencjo.

- Ach, tak...

Zapomniawszy o zwiadowcy, czarownik zaczął się zastanawiać nad otrzymanymi informacjami. W tym czasie młodzieniec, lekko drżąc, ale nie wypuszczając hełmu przyciśniętego lewą ręką do ciała, stał przed nim w postawie zasadniczej. Po szyi powoli ściekała strużka potu, aż spłynęła na powierzchnię uszczelnianego metalowego kołnierza, umożliwiającego połączenie hełmu z resztą kosmicznego stroju.

Po kilku długich jak całą wieczność chwilach ubrany w ciemnoszary płaszcz czarownik popatrzył na młodego oficera, jak gdyby widział go pierwszy raz w życiu.

- Jeszcze tu stoisz, poruczniku? - zapytał, jakby zdziwiony. - Proponuję, żebyś natychmiast zameldował się u dowódcy swojego pododdziału.

Na całym mostku niemal dało się słyszeć świst powietrza, wypuszczanego z płuc pozostałych członków załogi.

Zdumiony, ale i zachwycony młody oficer zasalutował czarownikowi. Odwrócił się i opuścił mostek, żegnany bezgłośnymi okrzykami radości rzekomo nie zainteresowanych jego losem kolegów.

Ciesząc się na myśl o porządnym posiłku, a może i o czymś chłodnym, podanym w wysokiej szklance w oficerskiej świetlicy, młodzieniec rażno przeszedł przez drzwi, które rozsunęły się w najbliższej grodzi. Kiedy znalazł się na korytarzu, ciężka płyta z cichym sykiem zasunęła się za jego plecami.

Nagle tuż obok niego wyrósł jakby spod płyt pokładu barczysty żołnierz pokładowej służby bezpieczeństwa, chwilowo pełniący obowiązki jednego z osobistych strażników Rokura Gepty. Położył na ramieniu młodego oficera dłoń wielkości podręcznika obsługi stanowiska artylerii. Porucznik omal nie wyskoczył z próżniowego skafandra.

- A już myślałeś, że ci się udało, co, synu? - Na pomarszczonej twarzy starszego mężczyzny pojawił się dziwny uśmiech. Młodzieniec nie miał pojęcia, co mu może wróżyć, ale obawiał się najgorszego. - Posłuchaj, właśnie skończyłem okres służby. Przypominam sobie, że kiedy po raz pierwszy nadzialiśmy się na tego zapowietrzonego „Sokoła”, także ją pełniłem. A ponieważ ja też się cieszę, że nareszcie ta stara łajba zamieniła się w obłok radioaktywnego gazu, co powiesz na to, żebyśmy zeszli do świetlicy, aby uczcić to szklanicą czegoś odpowiedniego?

Porucznik popatrzył niepewnie na twarz starszego kolegi, ale palce mężczyzny, zaciśnięte na jego ramieniu niczym szczęki imadła, nie pozostawiały mu wyboru. Nie okazując entuzjazmu, kiwnął głową. Po chwili obaj członkowie załogi zniknęli za zakrętem korytarza.

Kilka chwil później Rokur Gepta drgnął i poruszył się na fotelu. Wyglądało to, jakby ocknął się z daremnego zamyślenia. Uniósł ukrytą w rękawicy dłoń i pstryknął palcami. Jakby w odpowiedzi na ten sygnał, spod sklepienia, z samego kąta mostka krążownika, napłynął nieprzyjemny szeleś. Jeden z ulubieńców czarownika, siedzący dotąd w cuchnącej niszy, rozprostował włochate skrzydła i poderwał się do lotu. Poruszając nimi, pokonał odległość dzielącą go od wyciągniętej poziomo ręki czarownika, a później wyciągnął cienkie wieloprzegubowe odnóża, których liczbę trudno byłoby określić, i wylądował na niej jak na grzędzie. Zaczął się obrzydliwie ślinić, jakby naprawdę zobaczył, że na mostku pojawił się jeden ze strażników, niosący małą płaską tacę.

Posługując się swobodną ręką, Rokur Gepta sięgnął po plastikowe szczypce, którymi ujął coś, co leżało pośrodku tacy. Następnie uniósł szczypce i przytrzymał przed stworzeniem. Zwierzę nie miało niczego, co mogłoby uchodzić za pysk albo paszczę. Mimo to rozdziawiło otwór usytuowany pomiędzy skrzydłami, mniej więcej pośrodku sporządzonego jakby z gumy ciała. Rozwarło go jeszcze szerzej, kiedy poczuło dotyk pożywienia, po czym

zachłannie je połknęło.

Nastąpiła chwila radosnego oczekiwania, a potem rozległo się mlaskanie. Później dały się słyszeć odgłosy trawienia... a po nich donośne czknięcie.

## ROZDZIAŁ VII

Oswaftowie nie potrafili niecierpliwie dreptać w jednym miejscu, ale Lehesu sprawiał wrażenie, że usiłuje opanować tę trudną sztuką.

Gigantyczne, podobne do przezroczystej płaszczyki stworzenie unosiło się we względnie idealnej pustce przestworzy w odległości, którą uznawało za bezpieczną, a która oddzielała je od strzegących dostępu do wlotu ThonBoki okrętów oblężniczej floty. Obserwowało obserwatorów.

To, co młodzieniec uznawał za bezpieczne, jak zawsze różniło się od tego, co uznaliby za takie jego pobratymcy. Żadnego spośród nich nie zdołałby namówić, żeby zbliżył się na odległość choćby kilku lat świetlnych do miejsca, skąd można było zaobserwować przejawy powtarzającej się co jakiś czas działalności nowych nieprzyjaciół - nie mówiąc o tym, że żaden inny Oswaft nie zbliżyłby się na tyle, żeby pojąć, na co się zanoszi. Nie potrafiąc pozostawać dłużej w tym samym miejscu, Lehesu skupił wokół siebie odcinek czasu i zorientował się w przestrzeni w sposób, którego nie umiałby zrozumieć nikt z wyjątkiem innego Oswafta. Później zaś, specjalnie nie zastanawiając się nad tym, co robi, przeskoczył jakieś kilkaset tysięcy kilometrów dalej. Dokonał tej sztuki od niechcenia, jakby pokonywana odległość w ogóle nie istniała. Wychowywano go w taki sposób, że zdawał sobie sprawę, iż podobne igraszki są niegodną rozumnego Oswafta dziecinadą - nie mówiąc o tym, że w towarzystwie innych istot uchodzą za brak ogłady. W tej chwili jednak Lehesu nie umiały się powstrzymać.

Niecierpliwił się - to znaczy odczuwał coś dobrze znanego istotom należącym do niemal każdej innej rasy, ale stanowiącego coś absolutnie niezrozumiałego dla większości Oswaftów. Następnie uczynił heroiczny wysiłek. Uzbroił się w cierpliwość i postanowił zaczekać.

Nie był wcale pewien, kiedy przylecą Lando, Vuffi Raa i ich „Sokół”. Nadal miał poważne trudności z uświadomieniem sobie faktu, że frachtowiec nie jest żywą inteligentną istotą. Jeszcze trudniej przychodziło mu pogodzić się z myślą, że Vuffi Raa, którego poznał i z którym się zaprzyjaźnił, jest jedynie pokrytym warstwą chromu automatem. Ani przez chwilę nie wątpił, że obaj nowo poznani przyjaciele pospieszą mu na ratunek. Wierzył w to, chociaż niektórzy spośród członków rodziny i przyjaciół łagodnie z niego kpili, utrzymując, że jego wiara nie ma żadnego logicznego uzasadnienia. Krewni nie wyobrażali sobie, by jakakolwiek przygoda z tych, które przeżył, dryfując po Otwartym Morzu, mogła być chociaż w części prawdą. Nie wierzyli w to, dopóki u wrót mgławicy nie zjawiono się coś, co potwierdziło jego słowa - coś silnie opancerzone, uzbrojone i z jakiegoś niewiadomego powodu wrogo nastawione do oddychających w próżni mieszkańców ThonBoki...

Rzecz jasna, chyba nikt nie uświadamiał sobie, że za to ostatnie wydarzenie ponosił bezpośrednią winę nie kto inny, tylko sam żądny przygód Lehesu.

A jeżeli chodziło o Landa Calrissiana... Krótka wyprawa do królestwa rządzonego przez ludzką rasę, jaką odbył młodociany Oswaft, nie pozwoliła mu dowiedzieć się niczego na temat piekła. Umożliwiła jednak poznanie pewnych aspektów ludzkiej psychologii, z którymi byłby skłonny się identyfikować. Czyż nieprawdą był fakt, że hazardzista i jego przyjaciele ocalili mu życie? I to aż dwa razy?

Powinni czuć się zobowiązani postąpić w taki sam sposób po raz trzeci.

Irytacja i niecierpliwość skłoniły Lehesu do wykonania następnego skoku. Tym razem jego odległość wynosiła jakieś ćwierć parseka. Zanim młodzieniec miał czas zdać sobie z tego sprawę, znalazł się z boku wlotu ThonBoki. Przekonał się, że z nowego miejsca może wszystko lepiej obserwować. Okręty oblężniczej floty, źle widoczne z tak dużej odległości, przypominały metalowe okruchy, które świeciły na tle usianego iskierkami gwiazd czarnego nieba. Mimo to wysyłały nieprawdopodobne ilości elektromagnetycznych zakłóceń. Raz po raz między okrętami przeskakiwały telekomunikacyjne sygnały niosące informacje, które w zamyśle nadawców i odbiorców uchodziły za prywatne. Tymczasem Lehesu opanował język, jakim porozumiewał się Calrissian ze swoim małym przyjacielem, zaledwie w ciągu kilku godzin. Nie potrafiłby jednak sobie wyobrazić, że wymiana poglądów i myśli, stanowiąca treść zaszyfrowanych wojskowych meldunków i sygnałów, może służyć czemuś innemu niż beztrojskiej zabawie... Zabawie prowadzonej przez tych, którzy z takim upodobaniem się jej oddawali. Rozszyfrowywał jedną tajną wiadomość po drugiej i czynił to o wiele, wiele szybciej niż kiedyś uczył się nieznanej mowy, za pomocą której hazardzista porozumiewał się z małym androidem.

Gdyby dowódcy oblężniczej floty albo ci, którzy wysłali okręty z zadaniem unicestwienia mieszkańców ThonBoki, dowiedzieli się o owej niedawno opanowanej przez Lehesu umiejętności, z pewnością zdwoiliby wysiłki, aby zamorzyć głodem absolutnie wszystkie oddychające w próżni inteligentne istoty. Najdziwniejsze jednak, że ich ignorancji dorównywała niewiedza okazywana przez drugą stronę. Lehesu nie miał najmniejszego pojęcia, że jemu i innym istotom jego rasy zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony tych, którzy znajdowali radość w samym fakcie przejęcia i sprawowania władzy. W pobliżu przepłynęła niewielka, rzadka chmurka międzyplanetarnego planktonu. Przemknęła, niesiona skomplikowanymi prądami wzbudzonymi przez siły ciężenia i ciśnienie fotonów. Zawierała mikroskopijne pseudorośliny i pseudostworzenia, stanowiące podstawę jadłospisu młodego Lehesu - i pożywienie wielu, wielu tysięcy dziwnych inteligentnych istot, od niepamiętnych czasów zamieszkujących spokojne i przytulne wnętrza ThonBoki. Lehesu uszczknął kawałek chmurki jakby od niechcenia, nie zastanawiając się nad tym, co robi. W pewnym, aczkolwiek niewielkim stopniu uświadamiał sobie fakt pojawienia się pożywienia. Zorientował się jednak, że pokarm nie smakuje najlepiej. Natychmiast domyślił się, dlaczego. Częsteczki pożywienia powoli się rozkładały.

Usytuowane na samym dole łańcucha pokarmowego Gwiaz- doGroty ognia były świadomie, bezlitośnie odpływające od pozostałej części ekosystemu mgławicy. Od czasu do czasu okręty oblężniczej floty zaczynały jarzyć się jasnym blaskiem, a później, jeden po drugim, wysyłały w przestworza skupione wiązki gigantycznych energii. Wypełniały całą okolicę falami niszczących, śmiercionośnych cząstek. To właśnie w takich chwilach Lehesu (który uznał za konieczne wyjaśnić swoim pobratymcom coś, czego sam do końca nie rozumiał - że okręty nie są oblegającymi ThonBokę żywymi istotami, ale przedmiotami transportującymi żywe istoty) miał okazję zaobserwować coś ciekawego. Zauważył, że okręty floty zostały rozmieszczone w taki sposób, aby przez zaporę ich ognia nie zdołała przedostać się ani jedna nie uszkodzona cząsteczka życiotwórczego związku.

Te, które mimo wszystko się przedzierały, rozkładały się i smakowały obrzydliwie. Jakby tego nie wystarczało, okręty wysyłały w przestworza coś w rodzaju trucizn - enzymów o budowie pomyślanej w tak perfidny sposób, żeby rozbijały skomplikowane naturalne wiązania różnych związków, jakie zdołały się utworzyć w niemal idealnej próżni. Zabójcze enzymy rozkładały substancje na atomy, pozbawiając je w taki sposób wartości odżywczych. Oswojonych i ich ekosystem poddawano zatem świadomemu i

brutalnemu morzeniu głodem. Odpowiedzialność za to ponosiły stworzenia, których oddychające w próżni istoty nie znały, nie zaczepiały, ani względem których nie żywiły wrogich zamiarów.

- Uwaga, piloci Żółtej Dziewiątki, tu Stanowisko Kontroli Perymetru Hosrel Jedenaście. Mamy bandytę. Podaję współrzędne: trzy-pięć-zero-dwa-trzy. Jak mnie zrozumieliście? Odbiór.

Jeszcze przed kilkoma chwilami młoda pani operator, pełniąca służbę przed ekranem kontrolnego monitora, niemal konała z nudów. Nudziła się tak przez całe ostatnie trzydzieści cztery tygodnie, a jej frustracji nie zmniejszały ani nieustanne ćwiczenia, ani frontowy żołądek, ani nawet obietnice awansu i przeniesienia na inne stanowisko. Ani trochę. Teraz jednak już się nie nudziła. Nawet jeżeli widoczne na ekranie straszdyło oznaczało element innych ćwiczeń, było czymś zupełnie innym niż wszystko, z czym spotykała się do tej pory. Pełniła służbę na jednym ze stanowisk supertajnej bazy Marynarki, usytuowanej na samych obrzeżach niczym nie wyróżniającego się gwiazdnego systemu i cokolwiek nowego - choćby stanowiło zagrożenie dla życia, zdrowia czy tylko dla dalszego przebiegu służby - traktowała jak miłą odmianę.

- Kontrola Perymetru - odparł pilot myśliwca przechwytyjącego, który odebrał ostrzeżenie. Lekceważąco przeciągał wyrazy, jakby chciał w taki sposób zadać kłam faktowi, że sam był o rok młodszy od pani operator. - Rozumiemy cię. Tu Dowódca Żółtej Dziewiątki. Czy prosisz o sześć- sześćdziesiąt- sześć? Odbiór.

Pani operator przerzuciła pośpiesznie kilka kartek podręcznika, zawierającego spis kodów wszystkich procedur. Z takim trudem przychodziło jej zapamiętanie... ach, tak, w końcu znalazła. Sześć- sześćdziesiąt- sześć, ogłoszenie alarmu i przesłanie sygnału wizualnego niezidentyfikowanego obiektu. Prawdę mówiąc, ogłoszeniem alarmu już się zajmowano. Dowództwo Hosrela Jedenaście rozkazało, aby przez cały czas w przestworzach przebywała co najmniej jedna pełna eskadra myśliwców przechwytyjących. Jedną z nich była właśnie Żółta Dziewiątka. Pani operator nie miała pojęcia, czego strzeże, tkwiąc w tej zapomnianej przez Jądro bazy. Zapewne specje z Marynarki pracowali nad czymś mało ważnym, ale bardzo tajnym, i dlatego tak troszczyli się o utrzymywanie wszystkiego w najściślejszej tajemnicy.

- Żółta Dziewiątka, potwierdzam - powiedziała. - Podaj mi swój ETVC. Odbiór.

- Moje co? Ach, tak. Powinniśmy zobaczyć twoje straszdyło mniej więcej za siedem minut, plus minus jedna. Mam je w tej chwili na ekranie radaru. Wygląda jak zrobione z gumy, czy co? Odbiór.

Zarówno pilot myśliwca przechwytyjącego, jak i pani operator supertajnej bazy, zostali zupełnie niedawno poinformowani o najnowszych osiągnięciach techniki kamuflażu. Nie mogli jednak rozmawiać ze sobą na taki temat, korzystając z systemu łączności i kanału, w którym nie stosowało się szyfrowania. Przestrzeganie reguł bezpieczeństwa miało swoje plusy i minusy, ale lekceważenie ich mogło przynieść więcej szkód niż korzyści.

- Rzeczywiście tak wygląda, Żółta Dziewiątko. Przyjmuję wasz ETVC na sześć minut. Nie macie nic przeciwko temu? Odbiór.

- Dobrze, dobrze. Uwaga, wszyscy piloci Żółtej Dziewiątki. Mówi dowódca eskadry. O ile mi wiadomo, to nie są ćwiczenia.

Powtarzam: To nie są ćwiczenia. Przygotujcie się do uzbrojenia systemów pokładowych i trzymajcie kciuki w pobliżu przycisków spustowych. I żadnych błędów, bo w przeciwnym razie będziecie wyluskiwali kryształ w życiodajnych sadach. Bez odbioru, jeżeli chodzi o was, i odbiór, jeżeli chodzi o KP.

KP - pomyślała pani operator Kontroli Perymetru. - Jakież to romantyczne i heroiczne. Nie odpowiedziała, wpatrzona w ekran, na którym dwanaście intensywnie świecących i ostro

rysujących się małych punktów zaczynało się skupiać wokół pojedynczego większego i tak rozmytego, że prawie niewidocznego. Kilka chwil wcześniej, nerwowo przebiegając palcami po alfanumerycznej klawiaturze, powiadomiła przełożonych o niezwyklej sytuacji. Podejrzewała, że właśnie teraz, gdzieś w podziemnych trzewiach tajnej bazy, ten sam widok na ekranach innych monitorów ogląda więcej osób. Zapięła kołnierzyk, a potem wygładziła wszystkie fałdy i zmarszczki wojskowego munduru. Niemal pragnęła, aby nieznany obiekt okazał się statkiem prawdziwych, gotowych do ataku piratów albo jednostką, transportującą oddział przebiegłych dywersantów czy powstańców. O awans w takich czasach jak te było...

- Kontrola Perymetru, tu Dowódca Żółtej Dziewiątki. Gdzie, na galaktyczne Jądro, podziła się to straszdyło? Powinniśmy mieć je w zasięgu wzroku, chyba że... na Wielkie Soczewki, tam przeskoczyło! Jest ogromne i przezroczyste jak szkło! Kiedy przelecimy obok niego po raz pierwszy, wyślemy serię standardowych powitalnych sygnałów... Ach, tak. Odbiór.

Dziwny obiekt nie odpowiedział, a przynajmniej nie skorzystał z kanałów o częstotliwościach, na które były nastrojone odbiorniki pokładowych komunikatorów. Zamiast tego, kiedy maszyny znalazły się w niewielkiej odległości, po prostu zniknął. Pozostawił rój myśliwców przechwytyjących, krążących niczym zdeorientowane ćmy wokół pustego miejsca, w którym jeszcze chwilę wcześniej płonęło jaskrawe światło.

Straszdyło pojawiło się kilka kilometrów dalej, jakby w tajemniczy sposób przeskoczyło tę odległość. Zmaterializowało się w chwili, kiedy Siódemka Żółtej Dziewiątki przelatowała pod jego przezroczystym skrzydłem. Skrzydło niepewnie zadrżało, kiedy Lehesu próbował zachować równowagę. Nagle Siódmy myśliwiec przechwytyjący eskadry zamienił się w ognistą kulę rozszarpanego metalu i wpadł w korkociąg. Prerażony pilot miał tylko tyle czasu, żeby krzyknąć do mikrofonu komunikatora coś o nie funkcjonujących prawidłowo polach deflektorów...

Później jego głos się urwał.

Jedenastu pozostałych pilotów, pragnąc pomścić śmierć towarzysza, natychmiast zawróciło. Jedenaście kciuków przycisnęło jedenaście guzików spustowych laserowych działek. Dwadzieścioro oczu rozszerzyło się na widok ośmiu śmiercionośnych strug światła (trzy nie zostały prawidłowo wymierzone), skupiających się w punkcie, w którym... niczego nie było! Jeden z myśliwców przechwytyjących, Czwórka, został trafiony którymś strzałem. Jego pilot nie zdążył w porę zawrócić - zapewne z powodu awarii systemu pomiaru odległości - i maszyna zniknęła w oślepiąco jasnej chmurze płonących metalowych szczątków.

Zdumiony wrogim nastawieniem spotkanych istot, Lehesu odskoczył tym razem o pół roku świetlnego. Pamiętając, co wydarzyło się podczas pierwszego spotkania z „Sokołem Millenium”, spodziewał się innego powitania. A mieszkańcy ThonBoki to jego mieli za szaleńca!

Wykonał ruch, który u Oswaftów mogłby oznaczać wzruszenie ramionami. Odwrócił głowę ku jeszcze jednej gwiazdzie, której widmo wykazywało ślady sztucznego, niezwykle uporządkowanego promieniowania, i przygotował się do kolejnego skoku. Tym razem bardzo długiego.

Nie mógł wiedzieć, że tuż za nim pojawił się idealnie zamaskowany okręt patrolowy.

Następne spotkanie z myśliwcami wyglądało właściwie tak samo, z wyjątkiem...

Piloci zostali ostrzeżeni, że ten dziwny niezidentyfikowany statek zdołał zniszczyć trzy pierwszorzędne maszyny przechwytyjące Żółtej Dziewiątki (łądząc, pilot myśliwca oznaczonego cyfrą dziewięć nie trafił we wlot tunelu wiodącego na lądowisko i roztrzaskał maszynę o zbocze góry zakrzepłego azotu, a małe języki ciekłego helu radośnie



zatańczyły na ten widok). Podobnie jak poprzednio, nowa grupa również zignorowała jego gorączkowo wysyłane pojednawcze sygnały i straciła czterdziestu trzech pilotów i tyleż gwiazdnych maszyn. Trzeba stwierdzić jednak, że niektóre roztrzaskały się na płycie lądowiska w wyniku niefortunnie zarządzanej zmiany podwójnych eskadr, liczących dwadzieścia cztery myśliwca każda. Lehesu miał dość i powrócił w rodzinne strony.

W końcu pojawiły się okręty floty i zaczęły morzyć głodem mieszkańców ThonBoki. Młodzieniec znosił tę dolegliwość lepiej niż pozostali. Był jedynym Oswaftem od stu pokoleń, który już kiedyś omal nie zginął z głodu. A przecież jeden z filozofów, którego wydała na świat rasa ludzi, zaobserwował w innym czasie i miejscu, że to, co cię nie zabija, czyni cię silniejszym. Lehesu znał ograniczenia swojego organizmu. Orientował się, że zagłada jego pobratymców może zająć więcej czasu niż którakolwiek z zainteresowanych stron mogłaby się spodziewać. Jego mniej skłonny do ulegania żądzy przygód ziomkom mogło się wydawać, że oto zbliża się koniec... że już cierpią straszliwe katusze. Po raz pierwszy w bardzo, bardzo długim życiu odczuwali umiarkowany niepokój, wskutek czego zaczęli poddawać się panice. Niektórzy nawet uważali, że powinni przystąpić do negocjacji, by ustalić warunki, na jakich rasa obcych istot zgodziłaby się pozostawić ich przy życiu. Zapewne nie potrafiliby zrozumieć tego, że jedynym zadaniem, jakie postawili sobie dowódcy okrętów obłączniczej floty, jest całkowite wytepienie wszystkich Oswaftów.

Lehesu żałował, że zamiast rozmyślać o negocjacjach, jego ziomkowie nie umieją unosić się gniewem.

Postanowił, że jeszcze zaczeka.

Od ostatniego śmiercionośnego błysku, w następstwie którego zginęła kolejna porcja odżywczych substancji, upłynęło dobre kilka godzin, kiedy wydarzyło się coś niezwykłego. Lehesu poczuł, że w okolicach wlotu mgławicy pojawiła się nagle silna, skupiona wiązka energii, służącej zazwyczaj do przekazywania informacji. Mimo iż znał język, nie potrafił zorientować się, o co chodzi. Przepaść, istniejąca między stworzeniami zamieszkującymi powierzchnie planet a istotami żyjącymi w pozbawionych ciążenia przestworzach, była wprost trudna do wyobrażenia. W związku z tym zrozumienie czegokolwiek wymagało gigantycznego wysiłku nawet od kogoś obdarzonego takimi zdolnościami umysłowymi jak Oswaftowie. Młodzieniec stwierdził tylko, że przekazywano coś, co zabrzmiało nerwowo i nieprzyjaźnie.

O, znów się pojawiło! Zważywszy na fakt, że częstotliwości drugiej wiązki sprawiały wrażenie trochę większych niż poprzedniej, coś musiało bardzo szybko oddalać się od okrętów floty i kierować ku wlotowi ThonBoki. Lehesu postanowił znaleźć się tam jak najszybciej. Zastosował w tym celu zarówno zwyczajny sposób pokonywania odległości, jak i nieliniowe skoki, pozwalające na szybsze osiągnięcie celu. Pomyślał, że bez względu na to, co zmierza ku wlotowi mgławicy, powinno się tam natknąć na coś w rodzaju komitetu powitalnego.

Nagle w przestworzach pojawiła się nieprawdopodobnie skupiona wiązka oślepiającego światła. Na ułamek sekundy połączyła dwa punkty, a potem jeszcze bardziej rozbłysnęła. We wszystkie strony posybywały ogniste okruchy, które po chwili pochłonęła absolutna ciemność. Tu i ówdzie pozostały powoli gasnące metalowe cząstki, otoczone obłokiem rozpraszającego się dymu - tak niewyraźne, że Lehesu tylko z trudem je zauważył. Galaktyczna fala przyniosła do ThonBoki nieprzyjemny odór zwęglonego tytanu i plastiku.

Nastąpił długi okres, w którym nic się nie wydarzyło. Później, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, w pobliżu Lehesu coś się zmaterializowało. Wyłoniło się z czegoś, w czym na ogół przebywają gwiazdne statki i okręty, ilekroć zdarza im się latać szybciej niż

światło.

Dziwny przedmiot miał charakterystyczne kształty. Wyglądał jak porośnięty koloniami koralowców podkowiasty magnes, miał rozmiary co najmniej dziesięciokrotnie mniejsze niż Lehesu i nie potrafił poruszać się tak płynnie i wdzięcznie jak młody Oswaft. Bezradnie dryfował w przestworzach i obracał się wokół osi, jakby koziołkował. Ze szerniałej tylnej powierzchni wydobywały się kłęby gęstego siwego dymu.

Rzecz jasna, młodzieniec rozpoznał go bez najmniejszego trudu.

— Lando! Vuffi Raa! - krzyknął, - Czy mnie słyszycie? Nic się wam nie stało?

Oddychająca w próżni istota podpłynęła bliżej. Uczyniła to ostrożnie, by uniknąć cuchnących wycieków wydobywających się z zaokrąglonej tylnej krawędzi frachtowca. Nic nie wskazywało na to, żeby w środku dziwnego przedmiotu przebywały jakiegokolwiek żywe istoty. Zazwyczaj widoczne w różnych punktach powierzchni świeące miejsca, które pasażerowie nazywali iluminatorami, były teraz złowieszco ciemne, jakby martwe. Unoszący się w przestworzach statek obracał się wolno z burty na burtę, a każdy taki przypadkowy obrót zdawał się potwierdzać ponure przypuszczenie, że za sterami nie siedzi nikt żywy ani inteligentny.

- Vuffi Raa! Lando! Odezwijcie się do mnie! - krzyknął młodzieniec, wykorzystując wszystkie częstotliwości, za pomocą których umiał przysyłać sygnały. - To ja, Lehesu! Nikt mu nie odpowiedział.

Młody Oswaft obejrzał się - bardziej w przenośni niż dosłownie - na okręty floty strzegącej wlotu do jego domu. Zaklął w duchu i przysiągł - mimo iż nie miał pojęcia, jakim cudem udało mu się dokonać czegoś takiego - że wyrze straszliwą zemstę na wszystkich odpowiedzialnych za tę tragedię. Oto zyskał i stracił nowych przyjaciół, dobrych przyjaciół... pod pewnymi względami jedynych, jakich miał w życiu - i to w ciągu odcinka czasu, który wydawał się długowiecznemu stworzeniu zaledwie kilkominautami. Coś takiego chyba przekraczało granice jego wytrzymałości.

Gorączkowo okrążając wirujący statek, starał się zaglądać do środka przez wymarłe iluminatory. Nie dowiedział się, jaki los spotkał jego przyjaciół. Starając się uczynić to jak najdelikatniej, trącił kadłub, ale osiągnął tylko tyle, że zmienił kierunek i częstotliwość wirowania.

- Lando! Vuffi Raa! Jesteście tam, w środku?

Przez chwilę się zastanawiał, czy nie może zrobić czegoś innego. Później, pomimo wszystkich wysiłków, jakie czynił, aby zrozumieć to, co powiedzieli mu jego znajomi, dodał:

- „Sokole”, mój mały przyjacielu, odezwij się do mnie! To ja, Oswaft Lehesu! Czy Vuffi Raa i Lando jeszcze żyją?

## ROZDZIAŁ VIII

Zmodernizowany gwiazdny krążownik „Wennis” wyglądał jak spiczasta metalowa kielnia. Z kadłuba wystawała nieprawdopodobna ilość luf stanowisk artylerii oraz przyrządów i czujników, usytuowanych w tak przemyślny sposób, żeby chroniły całą powierzchnię, ale wzajemnie się nie zakłócały. W niezwykle miejscu powierzchni rufy - dokładnie pomiędzy rzędami wylotowych dysz jednostek napędowych, skąd promieniowało oślepiające światło - znajdowała się niezwykle silnie opancerzona mała komora. Jej ściany, w których próżno byłoby szukać jakiegokolwiek iluminatorów, okien czy bulajów, miały dwa metry grubości. Do komory można było przycumować tylko niewielką awaryjną kapsułą, którą mógł dysponować wyłącznie rzeczywisty dowódca krążownika - i to jedynie wówczas,

kiedy wydał rozkaz chwilowego wyłączenia jednostek napędowych. Wszelkie usiłowania dokonania tej sztuki podczas pracy potężnych silników gwiazdnego okrętu równały się próbie popełnienia natychmiastowego samobójstwa.

Dwieście centymetrów to bardzo gruba warstwa, zwłaszcza jeżeli jest wykonana z najnowocześniejszej, najtwardszej i stanowiącej ostatni krzyk techniki nieprzenikliwej durastali. Opancerzenie niezwyklej komory nie miało jednak na celu ochrony wnętrza i osoby, która w nim przebywała, przed śmiertelnym promieniowaniem, szalejącym w okolicach jednostek napędowych „Wennisa”. Wręcz przeciwnie, powinno chronić krążownik i załogę przed tym, co znajdowało się we wnętrzu komory. Mimo to nie miało najmniejszej szansy odegrania planowanej roli. Chodziło raczej o to, żeby uspokoić sumienie jedynej istoty, która naprawdę wiedziała, o co chodzi, a może nadać sens - aczkolwiek iluzoryczny - słowu: „bezpieczeństwo”.

We wnętrzu komory stał Rokur Gepta. Tuż przed nim znajdował się mający trochę ponad metr wysokości metalowy pylon, na którym spoczywała przezroczysta bańka wielkości ludzkiej głowy. Czarownik znał na pamięć rozmieszczenie wszystkich przedmiotów i pulpitów. Musiał, ponieważ w komorze panowały nieprzeniknione ciemności. W pewnej chwili wyciągnął rękę i dłoń ukrytą w szarej rękawicy przesunął po pionowej powierzchni pylonu. Mimo iż niczego nie mógł widzieć, był pewien, że palce wciskają odpowiednie guziki. Uświadamiał sobie, że właśnie przystąpił do tworzenia we wnętrzu bańki mikroskopijnie małego okruchu najgroźniejszej substancji, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia cały wszechświat. Z przezroczystej bańki zaczęła się sączyć zgniozielonkawa poświata, która po kilkunastu sekundach wypełniła wnętrze komory niezdrowym, słabym jadowitym blaskiem.

Kłopot z ludźmi pokroju Klyna Shangi - pomyślał czarownik - polegał na tym, że tacy osobnicy nie obawiali się śmierci. Odgadnięcie tej prawdy zajęło Gepcie bezprecedensowo dużo czasu - tak pokrętna i nieznana była ścieżka, po której musiał biec jego myśli. Rokur znał wielu innych ludzi, którzy również nie czuli strachu przed śmiercią. Prawdę mówiąc, tak bardzo pragnęli, żeby przyszła, że wykorzystywali wszystkie okazje, aby zaprosić ją do siebie. Chcieli umrzeć - czy to za osobiste przekonania, czy też za sprawujących władzę, czy wreszcie za niezliczone poglądy głoszone przez tych, którzy sprzeciwiali się władzy. Niektórzy nie mieli nic przeciwko temu, żeby umrzeć za samego Geptę. Tacy ludzie byli, rzecz jasna, bardzo pożyteczni i niezwykle podatni na wszelkie nakazy i zakazy. Każdy z nich w głębi duszy pogardał życiem i nienawidził go do tego stopnia, że z przyjemnością zostałby uwolniony od jego brzemienia w sposób, który nie kłóciłby się z innymi, czasami sprzecznymi poglądami.

Tymczasem wszystko przemawiało za tym, iż Klyn Shanga cieszył się, że żyje. Właśnie to - bardziej niż cokolwiek innego - wprawiało czarownika w rozdrażnienie. Rokur Gepta nie lubił, jeżeli coś go irytowało, i wpadał we wściekłość, ilekroć bywał rozdrażniony. Jakim cudem ktoś, kto kochał życie, mógł nie obawiać się śmierci? A zatem pierwszym wyciągniętym z owej dziwnej sytuacji wnioskiem (który nie bardzo pomógł mu zrozumieć perwersyjny charakter zjawiska, ale miał duże znaczenie pod względem pragmatycznym) było uświadomienie sobie faktu, iż poprzednia wyprawa do systemu Renatazji zakończyła się jedynie częściowym powodzeniem. Uczestnicy wyprawy wykonali tylko dwie trzecie zaplanowanej pracy, i trzeba było zrobić wszystko, by zadanie zostało jak najszybciej dokończone.

Czarownik obiecał sobie, że kiedy blokada mgławicy i unicestwienie zamieszkujących ją dziwnych istot zakończy się powodzeniem, a on będzie miał czas zająć się innymi sprawami, w pierwszej kolejności musi pomyśleć o dokończeniu pacyfikacji systemu Renatazji. Jeżeli Klyn Shanga był typowym przedstawicielem renatazjańskiego ludu, cały

system mógł stanowić o wiele większe zagrożenie dla pomysłnej realizacji jego planu— i władzy— niż względnie nieszkodliwi, oddychający w próżni mieszkańcy ThonBoki.

Gepta wpatrywał się w. promieniujący z wnętrza bańki upiorny blask i napawał się jego niszczycielskim potencjałem. Wystarczyło rozprzecznić po powierzchni planety jeden milimetr sześcienny substancji w taki sposób, aby się automatycznie odradzała, żeby unicestwić wszystko, co żyło, a nawet zniszczyć organiczne związki, z których w przyszłości mogło odrodzić się nowe życie. Substancja stanowiła ostateczny środek dezynfekujący... a zarazem sterylizujący. Było w niej - i w poмысле jej zastosowania - coś zachwycająco prostego, czystego i tchnącego ładem.

Gepta uświadomił sobie, że całe życie sprawiało wrażenie nie uporządkowanego, jakby przesiąkniętego chaosem, a najbardziej chaotyczne ze wszystkich i nacechowane najróżniejszymi sprzecznościami są chyba żywe inteligentne istoty. Weźmy, na przykład, takiego Klyna Shangę. Siwowłose dowódca eskadry pragnął żyć, a jednak nie odczuwał obawy przed śmiercią. Tacy ludzie nie dawali się zmusić do wykonywania rozkazów, a ponieważ mężczyzna miał coś, na czym czarownikowi zależało, mógł bardzo łatwo... nie, to niemożliwe! Minęły niespełna dwie godziny, odkąd przeprowadził z Shangą poważną rozmowę - zaraz po tym, kiedy „Wennis” odnalazł jego pożalowania godną eskadrę w pustce przestworzy. Dopiero wówczas Gepta miał okazję się przekonać, że myśliwce nie były przystosowane do pokonywania międzygwiazdnych odległości, wskutek czego piloci musieli czekać na swojego dowódcę na obrzeżach systemu. Mimo to tak bardzo pragnęli dotrzeć szybko do wrót GwiazdoGroty (a może opuścić system Tundu), że nie czekając na pozwolenie czarownika, wyruszyli w drogę. Ani przez chwilę nie wątpili, że krążownik prześcignie ich, zanim zdążą wpaść w jakiekolwiek tarapaty.

- To była niesubordynacja! - zasyczał rozwścieczony Gepta, piorunując Shangę spojrzeniem płonących oczu. Ich rozmowa nie toczyła się na mostku, ponieważ zachodziła obawa, iż mężczyzna mógłby powiedzieć coś, co wywarłoby niekorzystny wpływ na dyscyplinę członków załogi krążownika.

Wojownik odchylił głowę do tyłu i wybuchnął donośnym śmiechem.

- Nie jestem twoim podwładnym, czarowniku, podobnie jak nie jest nim najmłodszy stopniem spośród moich ludzi - powiedział. - Chcieliśmy odlecieć i odlecieliśmy. Teraz zaś znajdujemy się bliżej wlotu ThonBoki niż bylibyśmy wówczas, gdybyśmy chcieli czekać na twoje pozwolenie. Co więcej, jesteśmy zadowoleni i odprężeni, że uczyniliśmy coś konkretnego, by tu dotrzeć. Masz może coś przeciwko temu?

Na niższym pokładzie zmodernizowanego krążownika, dokładnie pod mostkiem, znajdowało się główne stanowisko dowodzenia. Pośrodku stał przypominający tron i przeznaczony dla kapitana obrotowy fotel, który - podobnie jak taki sam fotel na mostku - został zarekwirowany przez czarownika. Drugi, trochę mniej wygodny fotel, na którym siadywał dowódca okrętu w czasie walki, ustawiono przed ogromnym monitorem, ukazującym w tej chwili pustkę międzygwiazdnych przestworzy. Na ekranie nie było widać nic oprócz punkcików gwiazd i słabej poświaty, wytwarzanej przez pokładowe komputery. Poświata miała monotonną szarą barwę, pasującą do ciemnoszarego koloru płaszcza czarownika, a nawet - w pewnym sensie - do barwy tonu jego głosu.

- Jesteś wojskowym, admirale, i komu jak komu, ale tobie chyba nie muszę tłumaczyć, co to dyscyplina.

Shanga wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i pokręcił głową.

- Kiedyś byłem wojskowym - odparł. - Teraz jestem najemnikiem, który sam siebie zatrudnia, sam sobie wydaje rozkazy i sam je wykonuje. Postępuje, jak mi się podoba, ale walczę w obronie honoru cywilizacji, która już nie istnieje. Nie uznaję i nie pragnę uznawać nad sobą żadnej władzy. Moi ludzie podążają za mną i słuchają mnie, bo tak

im się podoba.

Wszystko wskazywało na to, że się zmęczył, a może znudził stanem. Zapewne wydawało mu się, że dyskusja zaczyna przypominać rozmowę, w jakiej mógłby brać udział wezwany do gabinetu dyrektora szkoły niegrzeczny uczeń. Tak czy owak, zaczynała działać mu na nerwy. Mężczyzna rozejrzał się po pomieszczeniu. Zauważył wygodne i miękkie krzesło, ustawione obok drzwi wiodących na korytarz. Podszedł tam i rzucił hełm na inne krzesło, po czym usiadł i wyciągnął z ulgą długie nogi, na ogół skurczone, kiedy przebywał w ciasnej kabinie myśliwca.

Następnie poszperał we wnętrzu kosmicznego kombinezonu i z kieszeni koszuli wyciągnął cygaro. Umieścił je między zębami i zapalił, posługując się nastawionym na jedną setną mocy blasterem. Tym razem nie pozwolił, żeby strażnicy Gepty mu go odebrali. Trzech miało połamane ręce, a czwarty, który bardzo się upierał, nie żył. Właśnie to było prawdziwym powodem, dla którego czarownik chciał rozmawiać z admirałem.

- Wyłóżmy karty- płytki na środek stołu, Gepto - powiedział Shanga, wypuszczając kłęb błękitnosiwego dymu. - Coś knujesz - dowodzi tego sposób, w jaki zmodernizowałeś wszystko na pokładzie tego krążownika. Wygląda na to, że chodzi ci o coś więcej niż tylko o zemstę na jednym parszywym hazardziście. Jesteśmy ci potrzebni. Dowodzę dwudziestoma trzema pierwszorzędnymi pilotami i dysponuję dwudziestoma trzema poobijanymi myśliwcami, które - mimo iż były przekazane na złom na kilkunastu światach - zostały wyciągnięte, wyremontowane i na nowo przysposobione do walki. Jestem pewien, że każdy z moich pilotów dorównuje trzem twoim.

Czarownik kurczowo zacisnął palce na podłokietniku fotela. Wstrząsany przypominającymi konwulsje drgawkami, zmagał się z chęcią natychmiastowego zdeintegrowania bezczelnego mężczyzny. Doszedł do przekonania, że jak na jego przyzwyczajenia, pomieszczenie było zbyt jasno oświetlone, a w tej chwili także wypełniało się cuchnącym dymem. Mimo to Gepta szczylił się tym, że mając na uwadze późniejsze osiągnięcie ważniejszych celów, zawsze umiał i chciał się godzić z chwilowymi przykrościami i niewygodami.

- Och, a na jakiej podstawie doszedłeś do takiego wniosku? - zapytał pozornie obojętnym tonem. Mimo wszystko, członkowie załogi „Wennisa” zaliczali się do najlepszych, jacy odbywali służbę w całej Marynarce.

Shanga zamrugnął, jakby się zastanawiał, jakich słów użyć, żeby odpowiedzieć na pytanie.

- Na podstawie tego, w jaki sposób pomiatasz ludźmi - odparł w końcu. - Nie przywiązujesz wagi do indywidualnych umiejętności. To zabawne, ponieważ właśnie w tym kryje się cała tajemnica. Nie istnieje nic takiego jak „grupa”, „załoga”, „Imperium” czy „Marynarka”. Liczą się tylko indywidualne osoby, które myślą, mozolą się i dbają o to, żeby wszystko szło, jak należy. Jeżeli odrzucisz albo zmarnujesz ich zdolności, pozostaniesz sam, prześladowany przez demony. Ludzie nie są wymiennymi podzespołami ani modułami, które możesz umieszczać albo wyrzucać, kiedy masz ochotę. Ja doceniam i szanuję swoich ludzi i właśnie dlatego każdy z nich dorównuje pięciu twoim. Wszyscy moi piloci wiedzą, że są niezastąpieni, i dlatego... Posłuchaj. Załóżmy, że masz zdolnego technika, doskonale potrafiącego obsługiwać jednostkę napędową. Niestety, ów fachowiec miał nieszczęście urodzić się nie tam, gdzie powinien, nie zna wpływowych ludzi albo tylko nie odpowiada ci pod względem przekonań. Jeżeli go wyrzucisz jak uszkodzony podzespół i ześlesz do pracy w życiokryształowych sadach lub kopalniach przyprawy, będziesz musiał się zadowolić potulnymi, ale dobrze urodzonymi miernotami. Po jakimś czasie poniesiesz konsekwencje swojego postępowania. Aparatura zacznie się psuć i nie znajdziesz nikogo, kto potrafiłby ją naprawić.

Ta część odzianego w ciemnoszary strój czarownika, która nie była złudzeniem, ale zarazem nie miała w sobie nic ludzkiego, zadrżała, a może się wzdrygnęła. W tej samej chwili Rokur Gepta opanował się i popatrzył na wojownika. Pomyślał, że ukaranie Klyna Shangi będzie musiał odłożyć na później. Tymczasem zaś, zamierzając uporać się ze złe wpływającymi na dyscyplinę plotkami, jakie zaczynały się szerzyć pośród członków załogi, powinien wydać rozkaz, aby przynajmniej niektórym z nich, zachwycających się zachowaniem starego wojaka, przydarzyły się „nieszczęśliwe wypadki”. Oczywiście, wszyscy zostaną później pochowani w przestworzach z należnymi wojskowymi honorami. I tak zresztą miał na chwilę wyłączyć potężne silniki gwiazdowego krążownika.

- A zatem zgodziliśmy się co do tego - zaczął, zwracając się do pilota zdradzającym fałszywą sympatię tonem - że się ze sobą nie zgadzamy. Mimo to uważam, że nie musimy żywić takich samych przekonań, żeby móc harmonijnie współpracować.

- Nie - przyznał Shanga, kiwnąwszy głową. - Nie musimy. Liczy się tylko to, że ja mam swoją eskadrę, a ty krążownik oraz prawo przelatywania przez blokadę. Obaj znamy Calrissiana i obaj już się z nim spotkaliśmy. Nie obchodzi mnie, czy hazardzista zostanie twoim więźniem, czy też może przydarzy mu się coś gorszego. W zamian za niego, dostaniemy w swoje ręce Vuffiego Raa, Kata Renatazji. Przetransportujemy go - w energetycznych kajdankach - na nasz świat i urządzimy mu pokazowy proces, po czym wykonamy wyrok śmierci!

Doskonale wiedząc, że bezczelnego dowódcę eskadry miał spotkać zupełnie inny los niż ten, którego mężczyzna mógłby się spodziewać - podobny do tego, jaki zamierzał zgotować Calrissianowi - Gepta odpowiedział:

- Ależ tak, oczywiście. A później będziesz mógł się zająć odbudową swojej Renatazji.

W jego cichym, aczkolwiek syczącym głosie dało się słyszeć niemal serdeczne nuty.

- Odbudową Renatazji? - powtórzył siwowłosy mężczyzna. - Nie pozostało z niej nic, co nadawałoby się do odbudowania! Staliśmy się waszymi cuchnącymi przedmiotami! Wszystko, co mamy i co robimy, jest jedynie błądą, nędzną plastikową imitacją tego, co przed dziesiątkami lat było nowe i modne w stolicy! Pozostała nam tylko chęć... wymierzenia dziejowej sprawiedliwości!

Czarownik zachichotał w duchu. Rozbawiła go zupełna nieświadomość wojownika, który siedział w jego obecności, nie mając pozwolenia, palił i wygłaszał głupstwa, nie zdając sobie sprawy z niezamierzonej ironii swoich słów. Później przycisnął guzik umieszczony w podłokietniku fotela.

- Znasz przecież Vuffiego Raa, admirale Shango - powiedział. - Obaj mamy zatem powody, by pochwycić Landa Calrissiana. - Wymówienie znienawidzonego imienia i nazwiska przyszło mu z najwyższym trudem. Na ogół, rozmyślając o tym, w jaki sposób wyrze zemstę na wędrownym hazardziście, używał w myślach innych zwrotów albo epitetów. Wiedział jednak, że Shanga nie zrozumiałby albo nie doceniłby jego osobistego sposobu wartościowania. - Wysłuchajmy zatem opinii kogoś, kto uważa, że może powiedzieć nam coś więcej na temat tego, czego powinniśmy oczekiwać w środku Gwiazdogroty.

Dowódca eskadry wzruszył ramionami. W tej chwili sprawiał wrażenie bardzo starego i zmęczonego. Zapewne pragnąłby znaleźć się jak najszybciej pośród swoich ludzi. Powinien przecież...

Płyty drzwi zasyczały i ukryły się w ścianach, wpuszczając do pomieszczenia nieprawdopodobnie wysokiego i chudego jak tyczka mężczyznę. Jego głowę porastały gęste, zmierzwiłone siwe włosy, a wykrzywiona w ciągłym grymasie twarz zdawała się dowodzić, że mężczyzna połknął chwilę wcześniej coś kwaśnego. Wszystko razem sprawiało wrażenie, że istota ludzka jest właścicielem jakiegoś kiepsko prosperującego przedsiębiorstwa pogrzebowego.

- Admirale renatazjańskiej floty Klynie Shango - odezwał się oficjalnie brzmiącym tonem Rokur Gepta. - Pozwól, że ci przedstawię ottdęfę Osuna Whetta, profesora nadzwyczajnego Katedry Studiów Porównawczych Istot Inteligentnych na Uniwersytecie...

- Chłopaś z uczelni, coś takiego! - zakpił pilot myśliwca. Wyglądało na to, że pogarda okazała się silniejsza niż zmęczenie, gdyż mężczyzna wyraźnie się ożywił. - Cóż nowego czy ważnego może wnieść do naszej małej pogawędki ten...

- Całkiem dużo, drogi... admirale, nieprawdaż? - W głosie wrzecionowatego mężczyzny, który nie kryjąc obrzydzenia, rzucił okiem na ubranie Shangi, dało się słyszeć niedowierzanie. Whett podszedł do wolnego krzesła, ale zanim usiadł, popatrzył na czarownika Geptę, który kiwnięciem głowy wyraził zgodę. - W tej dziedzinie jestem najwybitniejszym ekspertem w całutkiej galaktyce — zawdzięczam to faktowi, że jedynym - znającym cywilizację inteligentnych istot, które zwą siebie Oswaftami i żyjąc w pustce przestworzy ThonBoki.

- Też mi ekspert! - prychnął pogardliwie Shanga. - Jeżeli mam wierzyć naszemu przyjacielowi magikowi, jeszcze przed kilkoma miesiącami nikt - absolutnie nikt - nic nie wiedział na temat owych latających czy pływających w próżni stworzeń. Czego więc mógł dowiedzieć się w ciągu kilku...

Whett sprawiał wrażenie lekko zaniepokojonego i przerażonego. Zerknął na czarownika, jakby obawiał się, że spodziewana kara, jaka już wkrótce musi osiągnąć admirała za demonstracyjne okazywanie braku szacunku, mogła spaść także na jego głowę.

- Wasza dostojność, jestem antropologiem... tym samym, który odkrył nieprzeniknione tajemnice cywilizacji zamieszkujących system Rify istot zwanych Sharami. Później spędziłem pewien czas pośród górników, zatrudnionych na różnych asteroidach systemu Oseona. Zajmowałem się badaniami warunków życia i pracy...

- O ile mi wiadomo, panie nadzwyczajny profesorze, cywilizacja Sharów sama odkryła swoje tajemnice! - przerwał mu Shanga.

Wypuścił chmurę błękitnosiwego dymu z cygara, które chwilę wcześniej zapalił na nowo. Później roześmiał się widząc, że nawet ktoś taki jak Rokur Gepta, słysząc wzmiankę o cywilizacji Sharów, przez chwilę poczuł się niewyraźnie. Sharowie... ci dopiero byli czarownikami!

- Mój tytuł naukowy, panie admirale, brzmi „ottdęf” i został nadany przez najwybitniejszych specjalistów mojego systemu - odparł oburzony Whett. - Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan...

- Daj spokój, staruszk, chyba trochę mnie poniosło - odezwał się Shanga, spoglądając na czarownika. Był jednym z niewielu ludzi w całej znanej części galaktyki, którzy potrafili patrzeć w oczy Gepty i nie mrużyć. - Niech ci będzie, kupuję to, co powiedziałaś. A zatem, o co w tym wszystkim chodzi?

Rokur Gepta zwrócił głowę w stronę profesora i kiwnął, dając mężczyźnie znak, że może mówić dalej.

- Oswaftowie stworzyli chyba najbardziej niezwykłą cywilizację, jaką zna cała galaktyka - ciągnął po chwili siwowłosa naukowiec. - Zacząłem ich obserwować na polecenie lorda Gepty, posługując się potężnym elektronicznym teleskopem, ale musiałem przestać, kiedy stało się oczywiste, że istoty reagują na wydzielane przez ten instrument promieniowanie. Wykorzystałem więc niewielką meteoroidę i wyposażyłem ją w specjalne urządzenia. Później okrążałem zamieszkaną przez Oswaftów rejon galaktyki i dokonywałem obserwacji za pomocą nie rzucających się w oczy środków i metod. Stwierdziłem, że cywilizacja owych istot rozwijała się drogą ewolucji, a inteligentne życie powstało dzięki łączeniu się mniej skomplikowanych organicznych związków, jakich można tam znaleźć co niemiara. Chronione przez granice mgławicy i nie niepokojone przez nikogo istoty

osiągnęły bardzo wysoki stopień inteligencji, ale wszystko wskazuje na to, że aż do niedawna nie uświadamiały sobie faktu istnienia jakichkolwiek innych cywilizacji.

Oswaftowie, bez posługiwania się sztucznymi przyrządami ani obiektami, potrafią wnikać do nadprzestrzeni i pozostawać w niej, a nawet podróżować. Porozumiewają się, modulując za pomocą myśli elektromagnetyczne fale. Stworzyli własny, niezwykle skomplikowany język, ale to właściwie wszystko, jeżeli chodzi o ich osiągnięcia. Nie używają ubrań ani nie budują domów, a żywią się tym, co napłynie do mgławicy, niesione siłą czegoś w rodzaju galaktycznych prądów. Nie produkują też prawie żadnych przedmiotów - jeżeli nie liczyć rzeźb i ozdób ciała.

Shanga słuchał w milczeniu słów antropologa, ale kiedy siwowłosa mężczyzna na chwilę umilkł, dowódca pilotów pokręcił głową.

- Czegoś w tym wszystkim nie rozumiem - powiedział. - Dlaczego ci idioci z Marynarki zwracają sobie nimi głowy? Z tego, co powiedziałeś, jasno wynika, że istoty nikomu nie zagrażają. Co więcej, nie potrzebują niczego, czym dysponują jakiekolwiek inne rasy. Nie rozumiem też, dlaczego my mielibyśmy zwracać sobie...

- Ponieważ, drogi admirale, są sojusznikami naszych wrogów! - zasyczał złowieszczo Gepta. - A zatem, albo przekonamy Oswaftów i zmusimy, by wydali Calrissiana, albo usuniemy ich na zawsze z tej galaktyki!

Teraz więc, stojąc w specjalnej komorze, usytuowanej na rufie między silnikami „Wennisa”, Rokur Gepta napawał się widokiem ożywionej na krótko substancji. Zachwycał się wytrzymałością chroniącej ją bańki siłowego pola, odporniejszego niż osłony strzegące kadłub gwiazdnego krążownika. Wytworzony na samym czubku metalowego pylonu energetyczny bąbel osłaniał tajemnicę, w której obronie zginęła cała rasa inteligentnych istot... prastarych czarowników Tundów.

Substancja jarzyła się teraz intensywnym blaskiem. Wypełniała pomieszczenie migotliwymi, upiornymi cieniami, będącymi zniekształceniem sylwetki Gepty. Czarownik czuł się, jakby powrócił do domu. Zielonkawa poświata była jedynym blaskiem, jaki dawał ukojenie jego oczom. Przypominała mu o zaciszu rodzimego świata. Planety, której oblicze zmienił, używając jej samej do tego dzieła.

Zamknięte we wnętrzu energetycznego bąbla i niemal niewidoczne gołym okiem maleńkie mikroorganizmy kłębiły się i kipiały niczym oświetlone promieniami słońca pyłki kurzu. Najwięcej zalegało na samym dole bąbla, ale dziesiątki tysięcy innych jarzyło się w powietrzu nad tamtymi. Roily się jak żywe, ruchliwe, wygłodniałe owady.

Gepta zachichotał, chociaż w opancerzonej komorze nie przebywał nikt inny, kto mógłby go usłyszeć. W pewnym sensie drobiny śmiertelności substancji były także jego ulubieńcami. Oto pobudził do życia najstraszliwsze, najniebezpieczniejsze siły wszechświata i trzymał je w klatce jak innych ulubieńców. Potrafił je budzić i usypiać, kiedykolwiek miał ochotę. Miały wykonać dla niego pewną pracę. Po raz drugi. Zawierały dostateczną ilość... substancji, dzięki której mógł zetrzeć życie z powierzchni wszystkich światów tworzących gwiazdną gromadę albo mgławicę.

Na przykład taką jak ThonBokę - z jej niezwykleymi mieszkańcami, Landem Calrissianem, Vuffim Raa, Klynem Shangą, a może nawet... dowódcami i załogami okrętów floty Marynarki. Przecież Marynarka także stanowiła jedną z przeszkód na drodze do pełni władzy. Już wkrótce jego przeciwnicy odczują straszliwy ból agonii, wywołanej przez pierwszy kontakt z jego ulubieńcami... najniezwyklejszymi spośród wszystkich, jakimi się zajmował.

A później przestaną cokolwiek odczuwać i postrzegać.

Zwolnił przełączniki. We wnętrzu bańki, gdzie jeszcze przed sekundą kłębiło się upiorne życie, wszystko znieruchomiało i zamarło, jak gdyby nigdy się nie poruszało. Zielonkawa



poświata zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pyłki przestały wirować jak w szaleńczym tańcu. Zbliżała się chwila, kiedy - zgodnie z rozkazem, nieco wcześniej wydanym przez czarownika - miały zostać wyłączone jednostki napędowe „Wennisa”. Gepta zamierzał przelecieć mikroskopijną kapsułą przez obszar, w którym zwykle szalało śmiertcionośne promieniowanie, i powrócić na mostek krążownika.

Energetyczna bańka zaczęła kurczyć się i maleć, by po chwili zniknąć całkowicie. Po następnych kilkunastu sekundach znów było widać jedynie gładką i wypolerowaną jak lustro powierzchnię metalowego piedestału. Czarownik uśmiechnął się do własnych myśli, po czym schował do kieszeni niewielki przedmiot, który zabrał z pylonu, kiedy zanikło ochronne pole. Później odwrócił się i zaczął czynić przygotowania do opuszczenia opancerzonej komory.

Jakże wspaniale się czuł, wyobrażając sobie galaktykę, pełną świecących jasnozielonym blaskiem światów! Jaką przyjemność odczuwał, widząc w myślach cały wszechświat... sterylne czyste, przewidywalny i liniowy!

Pierwszy odezwał się do Drugiego: - Zaobserwowałem, że sprowadziłeś Pozostałych. Wszyscy, jeden obok drugiego, unosili się przed nim w przestworzach. Nie uczynili tego, mając na uwadze przestrzeganie dyscypliny (takie pojęcie nie mieściło się w ich umysłach) ani nawet zachowanie porządku. Chodziło po prostu o to, że wszyscy pragnęli zobaczyć i usłyszeć to, co już wkrótce miało się wydarzyć. Niezliczone rzesze czekały w napięciu, którego nigdy przedtem nie odczuwały. Nie były do końca przekonane, czy to, czego za chwilę będą świadkami, okaże się zmianą na lepsze w porównaniu z tym, czego doświadczają przez niezliczone tysiąclecia.

- Tak jest - potwierdził Drugi, który, podobnie jak jego rozmówca i wszystkie inne zgromadzone istoty, połyskiwał, odbijając zimny, błękitny blask świecących gwiazd - Wydaje mi się także, że pragną, byś teraz do nich przemówił. Chcą, żebyś im wyjaśnił...

- Ależ wiedzą to równie dobrze jak ja i ty - sprzeciwił się Pierwszy. Okazywał niezwykle brak taktu, przejawiający się w przerwaniu rozmówcy, a także niecodzienne napięcie. I jedno, i drugie wynikało z niepokoju o wynik niezwykłego eksperymentu i znajdowało wyraz w wyższej częstotliwości głosu. - Doskonale uswiadamią sobie...

- To prawda - odparł jego przyjaciel łagodnym, uspokajającym tonem. - Pragną jednak to jeszcze raz usłyszeć. Życzą sobie, żeby odbyło się coś w rodzaju ceremonii upamiętniającej koniec jednej epoki i narodziny następnej... nieznaney, a dla niektórych nawet przerażającej. Ja także tego pragnę, o ile nie masz nic przeciwko temu.

Pierwszy zawahał się, mimo iż w głębi duszy już zgodził się spełnić prośbę pobratymców. No cóż, jeżeli ci, o których los się tak troszczył, naprawdę odczuwali potrzebę... Możliwe, iż wypowiedzenie tych słów sprawi, że i on się uspokoi. Przecież także niepokoił się o to, co wyniknie z eksperymentu, kiedy przyjdzie pora jego zakończenia. Oczekiwanie było zresztą trudne do zniesienia.

- Moi przyjaciele - zaczął. - Jak wszyscy doskonale wiemy, stosunkowo niedawno, a właściwie bardzo dawno nawet dla nas - istot uchodzących za najbardziej długowieczną rasę w całej galaktyce - zaproponowałem, żebyśmy powołali do życia pewną istotę. Istota wyglądała trochę inaczej niż my, dzięki czemu pod pewnymi fizycznymi względami miała nad nami przewagę. Tym jednak, co najbardziej odróżniało ją od nas, była nieposkromiona żądza poznawania wszechświata.

Pośród słuchaczy przeszedł szmer przypomnienia i potwierdzenia, a może także z trudem powściąganego podniecenia. Wszyscy uświadamiali sobie, że do ich społeczności - społeczności Pierwszego, Drugiego i Pozostałych - nadchodziła szybko nieunikniona zmiana.

- Owa istota była pokojowo nastawiona i nie miała żywić agresywnych zamiarów względem nikogo, nawet jeżeli mierzyć jej zachowanie naszą miarą- ciągnął Pierwszy.  
- Ukształtowaliśmy ją w taki sposób z kilku względów, które miały wówczas dla nas sens - i nadal mają. A jednak brała udział w jednym brutalnym incydencie po drugim. Uczestniczyła w krwawych, okrutnych wydarzeniach, w trakcie których życie straciło niejedno inteligentne, a jednak prymitywne stworzenie.

Mimo to dowiedziała się wielu różnych rzeczy i poznała to, do czego została stworzona. A teraz nadszedł czas, żeby przekazała nam tę wiedzę.

Tym razem pomruk, jaki przeszedł przez szereg Pozostałych, był głośniejszy i trwał dłużej niż poprzednio. Chcąc dać wszystkim czas na zastanowienie się nad tym, co powiedział, Pierwszy odczekał wystarczająco długą chwilę, a potem ciągnął:

- Zgromadziliśmy się, żeby ponownie zaprosić ją do siebie. Nie wiemy, czy będzie zachwycona naszym widokiem, zwłaszcza jeżeli się dowie, że - przynajmniej na razie - czas jej poszukiwań i poznawania wszechświata dobiegł końca. Powitajmy ją przeto z miłością i godnością. Postarajmy się zrozumieć próby, jakie przechodziła, i docenić skarby wiedzy, jakie nam przekaże, ponieważ są zaiste nieprzebrane.

A poznanie ich zmieni całą naszą przyszłość.

## ROZDZIAŁ IX

Nie przestając ociężale obracać się wokół pionowej osi, a przy tym przewalać się bezwładnie z burty na burtę, „Sokół Millenium” w mikroskopijnym stopniu zmniejszył częstotliwość wirowania. Zapewne zawdzięczał to silnikom korygującym położenie, które od czasu do czasu budziły się do życia i chociaż w pewnym stopniu rozjaśniały czerni przestworzy. Mimo to bardzo długo trwało, zanim statek wytracił moment obrotowy i całkowicie znieruchomiał. Nieśmiało zamigotały, a potem zapłonęły słabym blaskiem czerwone ogniki lampek oświetlających klapy luków i włazów. Później pojawiły się inne światła, rozrzucone w różnych punktach pokiereshowanego kadłuba. W końcu rozjarzyło się szkarłatne oświetlenie awaryjne.

Z dysz wylotowych niewielkich rufowych silników wydostawały się strugi mlecznobiałej cieczy. Rozpryskiwały się o płyty kadłuba i nie wydając żadnych dźwięków, zamieniały w gęste obłoki pary, które następnie mieszały się z kłębami dymu. Szczerniały i nadtopiony kikut jakiejś metalowej konstrukcji wciąż jeszcze wystawał poza obszar objęty działaniem ochronnego pola. Jarzył się, ale coraz słabiej, jakby z każdą chwilą stygł i gasł. Dym rzedł i po jakimś czasie zanikł całkowicie. Wtedy zapaliły się światła wewnątrz kadłuba i lampki światła pozycyjnych.

Z usytuowanego na górnej powierzchni kadłuba uszczelnionego okrągłego gniazda zaczął się wysuwać srebrzysty, cienki metalowy maszt. Sądząc po tym, że wysuwanie odbywało się skokami, można było się domyślić, że ktoś robi to ręcznie. Kiedy ukazały się całe dwa metry, maszt zadrżał i znieruchomiał. Przeptywający obok niego Lehesu usłyszał dobrze znany głos:

- Jak się miewasz, stara płaszczko? W tym całym zamieszaniu straciliśmy główną antenę. To ty, Lehesu, prawda? Cieszymy się, że cię znów oglądamy. Gdyby Vuffi Raa spóźnił się piko- sekundę, rozmawiałbyś już teraz z naszymi radioaktywnymi duchami!

Lehesu należał do rasy, u której pojęcie śmierci nie obejmowało czegoś takiego jak pozostająca po niej niematerialna zjawia - młodzieniec nie rozumiał więc przynajmniej dwóch trzecich pozdrowienia. Zdołał jednak pojąć, że przyjaciele dotarli do Thon Boki cali i zdrowi, i to napełniło go ogromną radością.

- Landokapitanie mistrzu! - wykrzyknął, na poły świadomie zwracając się do zajmującej wnętrze frachtowca istoty ludzkiej w taki sam sposób, w jaki zwróciłby się do któregoś spośród Starszych. — Tak, to ja, Lehesu!

Podpłynął na tyle blisko gwiazdnego statku, by móc zajrzeć przez segmentowany baldachim iluminatora do sterowni. Zobaczył siedzącego Landa Calrissiana, oszusta i hazardzistę (albo hazardzistę i oszusta), a także jego sługę Vuffiego Raa. Stuprocentowego robota. Obaj gorączkowo pociągali za różne dźwignie, obracali gałkami i pokrętłami i pstrykali przełącznikami. Zapewne starali się przywrócić w taki sposób „Sokołowi” chociaż część poprzedniej sprawności. Sieć ochraniająca ciało kapitana nie była zapięta i unosiła się w pozbawionym ciężenia pomieszczeniu wokół fotela pilota. Oddychająca w próżni istota wywnioskowała z tego, że najprawdopodobniej to Lando wysunął chwilę wcześniej pręt anteny. Młody Oswaft był z siebie bardzo dumny, że się tego domyślił, mimo iż zapewne nie miało to żadnego praktycznego znaczenia. Pozwalało mu jednak powoli wczuwać się w zawilości i tajniki nieznanego środowiska, w którym żyły należące do zupełnie innej cywilizacji obce istoty.

- Witam cię i pozdrawiam, przyjacielu Lehesu - zawtórował właścicielowi „Sokoła Millenium” mały android. — Obawiam się, że wciąż jeszcze nie czuję się najlepiej. I przepraszamy, że tak długo trwało, zanim odpowiedzieliśmy. - Popatrzył na Calrissiana, który kiwnął głową, ale nie potrafił rozstrzygnąć, czy ów gest miał oznaczać przyłączenie się do przeprosin, czy może uznanie dla jego umiejętności w dziedzinie pilotażu. Ciągnął zatem: - Kilka dni wcześniej znaleźliśmy się całkiem blisko wlotu ThonBoki, ale pragnąc przedostać się przez blokadę, musieliśmy uciec się do podstępów.

Lando pomyślał, że w głosie androida dała się słyszeć ledwo uchwytna nutka obrzydzenia. Zirykowała go, ponieważ uważał uciekanie się do podstępów za jedną z najbardziej charakterystycznych cech zawodu hazardzisty. Co więcej, zawsze przypuszczał, że Vuffi Raa rozumie to lepiej niż ktokolwiek inny. A poza tym, w jakim innym sposobie zdołałoby przedrzeć się przez blokadę? Zapalił cygaro i spojrzał przez segmentowany iluminator na młodego Oswafta, wdzięcznie unoszącego się przed dziobem unieruchomionego „Sokoła”. Cieszył się, że - przynajmniej na jakiś czas - może zapomnieć o okrętach floty, płatnych mordercach i wszystkim innym, co mogło mu kojarzyć się z jakąkolwiek cywilizacją. Wiedząc jednak, na co stać Marynarkę, nie liczył na to, że znajdzie w mgławicy kryjówkę i odpoczynek. Opracował jednak pewien plan i zachęcony stosunkowo łatwym zwycięstwem, odniesionym nad okrętami floty, miał nadzieję, że spędzi pewien czas, nie niepokojony przez nikogo.

- Nie rozumiem - zaprotestował Lehesu; słowa Vuffiego Raa umknęły przedtem uwadze Lando. - Wydawało mi się, że widziałem, jak ty i „Sokół” zostaliście doszczętnie zniszczeni. Oczywiście, wówczas jeszcze nie miałem pojęcia, że to wy, ale...

Kiedy mały android odpowiedział, w jego głosie zabrzmiała niekłamana duma.

- Prawdę mówiąc, to był pomysł mojego właściciela. Na krótko przedtem, zanim to się wydarzyło, Lando przebywał na pokładzie jednego z okrętów obłączniczej floty. Szpiegował tam pod pozorem sprzedawania różnych towarów i oddawania się grom hazardowym. Ja w tym czasie przygotowałem metalowy cylindryczny pojemnik. Wypełniłem go mieszaniną opiłków metalu i różnych łatwopalnych substancji i przytwierdziłem do kadłuba „Sokoła” w okolicach rufy. Upewniłem się, że wystaje poza obszar działania ochronnego pola, tak że kiedy trafiła weń salwa, oddana z pokładu tamtego krążownika, cylinder eksplodował, stwarzając wrażenie...

Ciekaw jestem, co byśmy zrobili - pomyślał hazardzista - gdyby przeciwnicy, zamiast do nas strzelać, najzwyczajniej w świecie posłużyli się promieniem przyciągającym. Liczył na to, że stanowiska dział są obsługiwane przez rozgorączkowanych, niedoświadczonych

i rwących się do walki artylerzystów. Jeszcze raz okazało się, że, jak zawsze, miał rację. Przez dłuższy czas przyglądał się młodocianemu Oswaftowi, nie zwracając szczególnej uwagi na to, o czym oddychająca w próżni istota rozmawia z małym androidem. Wyglądało na to, że obaj bardzo szybko znaleźli wspólny język, a nawet polubili się i zaprzyjaźnili. Jakąś częścią świadomości zaczął się zastanawiać, jaka może być tego przyczyna. Pomimo wypełniającego galaktykę oceanu dobrej woli, musiał stoczyć walkę z samym sobą, żeby utożsamić się ze stworzeniem, które nigdy nie postawiło stopy na powierzchni planety - i dla którego pustka przestworzy była jedynym domem, jaki znało. Dotychczas nie wyobrażał sobie, żeby gdziekolwiek mogła istnieć inteligentna istota, zdolna do pokonywania wielu lat świetlnych podczas pojedynczego skoku - i to bez konieczności dokonywania skomplikowanych obliczeń, których opanowanie, kiedy był jeszcze niedoświadczonym kapitanem, jemu samemu zajęło sporo czasu. Przezrocyste ciało młodego Oswafta pozwalało dostrzec punkciki kilkunastu gwiazd, radośnie mrugających na tle czarnych jak węgiel mroków przestworzy. Lando roześmiał się beztrząsco, a potem pokręcił głową, jakby chciał w taki sposób pozbyć się wszystkich wątpliwości i niepewności. Nie przestając radośnie się uśmiechać, zaciągnął się jeszcze raz dymem z cygara, po czym wstał z fotela.

- Wybacz mi, stara maszyno do wyrzucania gumowych piłek - powiedział - ale idę się teraz przebrać w kostium kąpielowy. Nie zechciałbyś mi w tym towarzyszyć?

Nie czekając na odpowiedź, zdusił niedopałek cygara, a potem odepchnąwszy się od pulpitu konsoli, poszybował między rozkładanymi fotelami w kierunku wyjścia ze sterowni.

Vuffi Raa przerwał rozmowę, jaką toczył dotąd z młodym Oswaftem.

- Jeżeli cię dobrze zrozumiałem, mistrzu, chyba chcesz zrobić coś, co powinno mi się bardzo podobać. - Jego pięć chromowanych macek załśniło, kiedy zaczął przebierać nimi po klawiaturach i pulpitych. - Poinformuję o tym naszego przyjaciela i przełączę urządzenia na sterowanie automatyczne.

- Doskonale. Tylko nie nazywaj mnie mistrzem.

Lando zanurkował w otwór drzwi, a potem szybował łagodnie zakręcającym korytarzem tak długo, aż znalazł się przed jakąś szafką. Zdjął znoszone i wygniecione cywilne ubranie, które włożył na użytek oficerów i załóg okrętów floty, i przebrał się z próżniowy skafander. Dopiero jednak kiedy uszczelnił wszystkie połączenia i wykonał po kolei czynności, wymagane przez zaprogramowaną instrukcję obsługi, dołączył do niego Vuffi Raa, który nie musiał się w nic przebierać. Razem polecili do najbliższej służby i wydostali się w pustkę galaktycznych przestworzy.

Lehesu czekał w pobliżu, by ich powitać.

Ciemnoskóry hazardzista miał pierwszą okazję dobrego przyjrzenia się ThonBoce od środka. Przekonał się jednak, że widok dziwnego, niesamowitego i tajemniczego świata przyprawia go o dreszcze. Dopiero kiedy obejrzał się przez ramię, zobaczył niemal idealnie okrągły wlot mgławicy, a w nim gęste skupiska iskielek gwiazd. Mroki przestworzy były rozjaśniane pojawiającymi się od czasu do czasu błyskami niszczycielskiej energii, wysyłanej z pokładu raz tego, a raz innego liniowca oblężniczej floty.

We wszystkich innych miejscach, na które mógłby skierować oczy, widział przestłaniające całą resztę wszechświata obłoki pyłów i gazów. Wyglądały jak iskrzący się czy fosforyzujący ciemnoszary woal. Zasłone raz po raz przecinały błyski gigantycznych błyskawic, które stanowiły naturalną przeciwwagę dla nie mających w sobie niczego naturalnego błysków, wysyłanych przez okręty Marynarki. Oczy, a może nawet i sam umysł, nie potrafiły przyjąć do wiadomości ogromu wnętrza mgławicy. Lando uświadamiał sobie, że od jakiegokolwiek krańca mgławicy dzieli go odległość kilkunastu lat świetlnych, to znaczy

stu kilkudziesięciu bilionów kilometrów. W rzeczywistości obszar ten wypełniały cząsteczki rozrzedzonych gazów - tak odległe jedna od drugiej, że niewykrywalne przez czujniki pokładowe najnowocześniejszych gwiazdnych statków. Miał świadomość, że znajduje się w gigantycznej, ale mającej skończone rozmiary jaskini albo pieczarze. Wydawało mu się, że przemierzenie owej GwiazdoGroty z jednego krańca w drugi zajęłoby mu kilka dni, a może nawet tygodni, ale nie byłoby przedsięwzięciem niewykonalnym.

Wnętrze mgławicy wypełniały fale i zmarszczki podobne do tych, jakie często tworzą się na powierzchni wody. Przypominały geologiczne formacje, tu i ówdzie poprzecinane pokładami wapienia. Do pełnego złudzenia brakowało jedynie stalaktytów i stalagmitów. Oświetlenie zapewniały trzy niewielkie i pozbawione planet błękitnawobiałe słońca, świecące mniej więcej w samym środku GwiazdoGroty. Ciśnienie fotonów zapewne wyjaśniałoby nieobecność planet, ale nie sam fakt istnienia aż trzech słońc we wnętrzu mgławicy. Możliwe, że pewien sens miałoby istnienie tylko jednej gwiazdy. Wytłumaczenie obecności trzech, odległych od siebie o jakiś rok świetlny albo dwa lata, prawdopodobnie zajęłoby fizykom większą część następnego stulecia. Lando był rad, że wybrał zawód hazardzisty, dzięki czemu nie potrzebował żadnych uzasadnień ani tłumaczeń. Pomyślał, że biolodzy zapewne byłiby także nieszczęśliwi - a może właśnie zachwyceni - widokiem dziwnych form życia, jakie rozwinęły się w tym odizolowanym od reszty wszechświata zakątku galaktyki.

Przebierając palcami po różnobarwnych kontrolnych przyciskach niewielkiego panelu, przymocowanego w górnej części rękawa próżniowego skafandra, Lando włączył silniczki manewrowe i oddalił się od kadłuba „Sokoła Millenium”. Szybko popłynął unoszącego się w próżni młodego Oswafta i wyłączył silniki w odległości kilku metrów od olbrzyma. Odnosił wrażenie, że wita się uprzejmie z pasażerskim liniowcem. Okrążył łagodnym łukiem mającą jakieś pięćset metrów średnicy istotę, a potem skulił się i podwinął nogi pod siebie. Później nagle się wyprostował, wyciągnął ręce na boki i rozsunął nogi, aby w końcu szeroko się uśmiechnąć i odskoczyć.

- Hurra! - wrzasnął, chociaż nie miał zwyczaju okazywać radości w taki sposób. Cieszył się wolnością i swobodą ruchów, jakiej może zaznawać ciało, swobodnie przemieszczające się w pustce przestworzy. Uzmysłowił sobie, że zbyt dużo czasu spędził, zamknięty we wnętrzu frachtowca. Wydawało mu się, jakby spędził tam całe życie. Możliwe też, że przebywając od urodzenia na powierzchni planety - w niewielkiej przestrzeni ograniczonej z jednej strony przez grunt, a z drugiej przez nisko wiszący baldachim nieboskłonu - nabawił się chronicznej klaustrofobii.

Tymczasem Vuffi Raa, napędzany przez coś, o czym wiedziało chyba tylko samo Jądro, śmignął obok niego niczym iskrzący się metalowy płatek śniegu. Ujrzawszy go, Lehesu obrócił się majestatycznie wokół osi, a potem z wdziękiem zatoczył obszerny łuk, który dwie mniejsze inteligentne istoty usiłowały naśladować. Tylko jednej udało się dokonać tej sztuki.

- Hej, chłopaki, zaczekajcie na mnie! - zupełnie niepotrzebnie wykrzyknął zaniepokojony hazardzista.

Ukryty we wnętrzu skafandra nadajnik komunikatora miał wystarczający zasięg, żeby sygnał bez trudu pokonał ten kilometr czy dwa, które Lando Calrissian stracił, starając się ich dogonić. Śniadolicy hazardzista uruchomił silniczki, ale zaczął wirować wokół osi, co w przestrzeni pozbawionej ciężenia stanowiło odpowiednik potknięcia się na równej drodze. Kiedy w końcu zdołał wyrównać lot, poszybował, aby dołączyć do przyjaciół. Oczywiście, obaj w tym czasie przelecieli w inne miejsce.

Lando zupełnie się tym nie przejmował. Pozostawiony samemu sobie, zaczął wykonywać manewry, które - w innym miejscu i czasie - zapewne zostałyby nazwane pętłami

Luftberry'ego albo zawrotami Immelmanna. Naśladował w taki sposób natchnione figury akrobatyczne, wykonywane przez pilotów myśliwców chyba od zarania dziejów, a w każdym razie od zamierzchłych czasów, kiedy jeszcze nie skonstruowano gwiazdnych statków. Chyba takie same figury wykonywali piloci wszystkich inteligentnych ras istot, zauroczonych swobodą latania i nie zważających na to, że może ich dosięgnąć śmierć. W pewnej chwili hazardzista zanurkował ku oddychającej w próżni istocie, po czym wyobraził sobie, że zasypuje ją lawinami wymaginowanych strzałów. W ostatniej sekundzie wyrównał lot i śmignął świecą w przestworza. Tymczasem przerażony Lehesu odruchowo zwinął się w kłębek i wzdrygnął, jakby chciał strącić z grzbietu niespodziewanego napastnika.

Niestety, nieoczekiwany atak nie oszczędził małego androida. Vuffi Raa znalazł się dokładnie pośrodku wyrzutej na powierzchni hełmu Landa celowniczego krzyża, zazwyczaj służącego do bardziej prozaicznego celu jak orientowanie się w przestworzach przed włączeniem silniczków manewrowych. Ułamek sekundy później wystrzelone przez Calrissiana wymaginowane pociski przeorały pięcioboczny tors androida strugami gorącego, nierzeczywistego ołowiu. Udając, że także bierze udział w niewinnej zabawie, Vuffi Raa zmienił kurs i wpadł w korkociąg, jakby stracił panowanie nad sterami. Żałował, że ku większej uciechy swojego pana nie potrafi wypuszczać kłębow dymu. Istniały pewne ograniczenia, nawet jeżeli chodziło o jego niepospolite umiejętności.

Na tle ponurych ciemności przestworzy płonęły trzy niewielkie błękitnawobiałe słońca. Raz po raz o gęste chmury i wstęgi gazów, otaczające GwiazdoGrootę niczym szczelnym murem, rozbryzgiwały się ogniste błyskawice.

Tymczasem trzy dziwaczne inteligentne istoty - Oswaft, android i chyba najdziwniejszy spośród nich wszystkich, człowiek, spędzili ciągnącą się niemal całą wieczność godzinę, oddając się beztroskiej zabawie. Udawali, że prowadzą zaciętą walkę, niczym nie różniącą się od nierzeczywistych pojedynków, jakie toczą dorastające osobniki wszystkich innych inteligentnych ras w całej galaktyce. Znajdywali w tej zabawie zarówno satysfakcję, jak i odprężenie - jedynie od czasu do czasu do czasu macone przez przerażające widoki tego, co działo się na zewnątrz GwiazdoGroty. W okrągłym otworze wlotu mgławicy pojawiały się złowieszcze błyski energii wypromieniowywanej przez okręty floty. Ich kapitanowie, działając według zawczasu opracowanego harmonogramu, szerzyli zniszczenia i śmierć pośród mikroorganizmów przepływających w przestworzach w okolicach wlotu ThonBoki.

W pewnej chwili Lando raptownie zmienił kierunek lotu - okazało się, że tym razem to on padł ofiarą wymaginowanych pocisków wystrzelonych z luf automatycznych działek małego androida - a potem znieruchomiał w przestworzach. Uświadomił sobie, że taka zabawa nie może trwać wiecznie. Wprawdzie nie znosił tego, ale wiedział, że wcześniej czy później musi wrócić do świata istot dorosłych i odpowiedzialnych. Przez dłuższy czas przyglądał się ponuro bezsensownej rzezi, jakiej dopuszczały się załogi okrętów Marynarki. Pomyślał z goryczą, że życie mogło być przecież takie proste, radosne i beztroskie. Dlaczego zawsze musiały pojawiać się istoty świadomie wybierające zawód, którego wykonywanie polegało na utrudnianiu życia wszystkim innym istotom?

Vuffi Raa przepłynął w przestworzach niedaleko młodego hazardzisty. Nie musiał być telepatą, żeby wiedzieć, co w tej chwili dzieje się w jego myślach. Po chwili przyłączył się do nich młody Lehesu. Wszyscy trzej spędzili pewien czas bez ruchu, wpatrzeni w otwór wlotowy ThonBoki. Przyglądali się, jak śmiercionośne błyski uniemożliwiają życie zamkniętym we wnętrzu mgławicy Oswaftom. Uświadamiali sobie fakt, że część niszczycielskich enzymów przedostaje się również do środka GwiazdoGroty.

- Ożywcze prądy coraz bardziej słabną, przyjaciele - zauważył zasmucony Lehesu.

Wprawdzie oddychał bez wysiłku, jakby nie zmęczony ćwiczeniami, jakim oddawał się w ciągu ostatniej godziny, ale dało się zaobserwować, że jest wyczerpany. Hazardzista i android nie znali zwyczajów dziwnych istot na tyle dobrze, aby rozumieć, że młody Oswaft nie czuje się najlepiej. Mimo to zauważyli, że coś jest nie w porządku.

- Niech mi Jądro wybaczy! - wykrzyknął nagle Lando, który pierwszy zorientował się, o co chodzi. - Omal nie zapomniałem, po co właściwie przylecieliśmy do tej mgławicy! - Obrócił się w kierunku „Sokoła Millenium” i jeszcze raz uruchomił silniczek manewrowy swojego skafandra. - Za chwilę przyrządzimy ci smaczne danie, kolego, a później pokażesz nam najlepsze miejsce, gdzie moglibyśmy pozostawić resztę ładunku.

Robot i człowiek zanurkowali pod kadłub frachtowca i zaczęli manipulować przy zamku niewielkiego luku towarowego. Kilka chwil później, trzymając się kadłuba, otworzyli pokrywę i wyjęli ze środka mały pojemnik. Vuffi Raa wyciągnął go w stronę młodego Oswafta.

- Proszę bardzo - usłyszał Lando głos androida w odbiorniku komunikatora próżniowego skafandra. - Czy chcesz, żebyśmy rozsypali zawartość w przestworzach, czy może wolałbyś...

- To pierwsze rozwiązanie byłoby chyba najwłaściwsze, przyjaciele - odparł Lehesu. - Bardzo wam dziękuję.

Starł się, jak mógł, żeby ton głosu nie zdradzał, jak bardzo jest wygłodzony. Nie zauważył tego wcześniej albo po prostu nie zwrócił na ten fakt uwagi. Ujrzawszy, że mieszanina specjalnie dobranych aminokwasów wycieka w przestworza i rozprasa się wokół kadłuba statku, zareagował z taką szybkością i godnością, na jakie mógł się zdobyć w takiej chwili. Powoli okrążając kadłub statku, zaczął pochłaniać, przyswajać i trawić odżywcze substancje. Miał wrażenie, że całe jego ciało śpiewa z radości. Odczuwał coś podobnego do tego, co czuł Lando, zachwycony perspektywą wolności i swobody.

- No cóż, z pewnością doskonale się bawisz, oddając się samolubnemu obżarstwu!

W przestworzach pojawiła się nagle czyjaś inna myśl, której Lando nie rozumiał, ale którą Vuffi Raa pojął bez trudu. Nie miał także kłopotów z prawidłową interpretacją dzwięczącej w niej wrogości. Obaj natychmiast wypłynęli spod kadłuba frachtowca, zasłaniającego im widok tego, co działo się w przestworzach. Znieruchomieli, kiedy ujrzeli unoszącą się bez wysiłku parę gigantycznych potworów, przy których nawet Lehesu wydawał się potulnym karłem.

Możliwe, że hazardzista nie dorównywał Vuffiemu Raa pod względem umiejętności rozumienia słów nieznaney mowy, ale nie znaczyło to, że nie zwrócił uwagi na wyraźnie przebijającą z tonu głosu przesyconą sarkazmem dezaprobatę. Odruchowo poklepał kieszeń próżniowego skafandra, w której zwykle nosił miniaturowy paralizator... i w następnej sekundzie roześmiał się w duchu z własnej głupoty. Cóż mógłby zdziałać mikroskopijny zasobnik energetyczny pistoletu w walce przeciwko takim... takim...

- Czy to są owi Starsi, o których nam wspominałeś, Lehesu? - zapytał w końcu. - Powiedz, że przylecieliśmy, by im pomóc, i że w żadnym wypadku nie wyrządzimy im krzywdy.

Opuścił rękę tak, żeby dłoń znalazła się jak najdalej kieszeni z paralizatorem, i postarał się, by jego głos zabrzmiał jak najszczerzej.

Prawie mu się to udało.

Obaj nowo przybyli Oswaftowie mieli co najmniej siedemset metrów od końca jednego skrzydła do drugiego. W porównaniu z nim „Sokół Millenium” i wszystko inne, co znalazłoby się w zasięgu spojrzenia, wydawać by się mogło nic nie znaczącą drobiną. Po chwili obaj nieznajomi przemieścili się w taki sposób, że zajęli miejsca po bokach młodszego ziomka. Wyglądało to, jakby zamierzali go aresztować. Albo przynajmniej kazać mu iść spać bez kolacji.

- Nie - odparł Lehesu, używając w myślach słów, które ciemnoskóry hazardzista mógłby zrozumieć. — Z całą pewnością to nie są Starsi, a zatem nie mają żadnego prawa ani powodu, aby nam przeszkadzać. A zresztą, Starsi są od nich o wiele, wiele więksi. Ostatnią uwagę skierował pod adresem obu nieznajomych. Wyglądało na to, że chciał, aby była czymś w rodzaju zniewagi - pomyślał Calrissian. Ponieważ jednak młody Lehesu wypowiedział ją w języku używanym przez istoty ludzkie, dwaj gigantyczni Oswaftowie jej nie rozumieli — a przynajmniej nic na to nie wskazywało. Lando doszedł do przekonania, że jeżeli Starsi byli jeszcze więksi, z całą pewnością nie chciał mieć do czynienia ani z jednym, ani z drugim.

Niespodziewanie mały Vuffi Raa poderwał się do lotu. Zaczął okrążać gigantyczne stworzenia, jakby nie chciał pozwolić, żeby odleciały. Przypominał małego owada, usiłującego powstrzymać szarżującego bantha.

- Proponuję - wysłał myśl, używając słów zrozumiałych dla Oswaftów - żebyście byli uprzejmi dla naszego przyjaciela Lehesu, który bardzo przysłużył się nie tylko wam, ale i wszystkim innym istotom waszej rasy...

- Zamknij, mikroskopijny okrucu! - zagrmiało jedno z nowo przybyłych stworzeń.

- Nawet nie masz pojęcia, o czym mówisz! Przylecieliśmy tu, by wypełnić jednoznaczne polecenie, wydane nam przez samych Starszych. Wszyscy trzej musicie natychmiast do nich polecieć i stawić się przed ich obliczami. Odpowiedź za swoje zuchwalstwo i poniesiecie ciężką, ale zasłużoną karę, jaką w swojej wielkiej dobroci zechcą na was nałożyć!

## ROZDZIAŁ X

- Sabak! - wykrzyknął Lando Calrissian, hazardzista, artysta - oszust i międzyplanetarny dyplomata. Unosił się w pozycji siedzącej w niemal absolutnej próżni i z wyrazem zadowolenia na twarzy pozwalał, żeby „Sokół Millenium” gromadził wygrywane sumy, tasował „talię” i rozdawał „karty-płytki”. To była najdziwniejsza, ale i najbardziej dochodowa gra, w jakiej kiedykolwiek uczestniczył.

Senwannus’gourkahipaff, najstarszy spośród wszystkich Starszych Oswaftów, pozwolił sobie na wyemitowanie delikatnego sygnału. Zapewne zamierzał w taki sposób obwieścić, że jest rozbawiony i zachwycony.

- Zaiste, to coś zachwycającego i wspaniałego, Kapitanie mistrzulandocalrissian.

Lando w myślach wzruszył ramionami. Jeżeli najważniejsza ze wszystkich oddychających w próżni istot, zwracając się do niego, pragnęła używać tytułu jeszcze dłuższego niż własne imię, żeby dać mu do zrozumienia, że traktuje go z szacunkiem i uważa za kogoś ważniejszego od siebie, nie zamierzał się sprzeciwiać. Stawką było coś o wiele ważniejszego, co znacznie wykraczało poza zwykłą grę w sabaka.

- Coś fantastycznego - ciągnęła tymczasem ponad tysiącmetrowa istota. - Mimo iż nie widzisz kart, wygrywasz w każdym rozdaniu, a przecież gra toczy się w warunkach absolutnie obiektywnych i uczciwych. Korzę się więc przed twoją zręcznością i przenikliwością.

Lando także pogratulował sobie w duchu, ale głównie szczęścia, które przez cały czas nie przestawało go opuszczać. Gra toczyła się w samym środku Groty Starszych - o ile wiedział, jedynej znajdującej się w ThonBoce architektonicznej konstrukcji, którą zbudowali Oswaftowie. A ściślej zdecydowali się zbudować.

Usytuowana dokładnie pośrodku trójkątnej płaszczyzny przechodzącej przez trzy błękitnawobiałe słońca, które płonęły we wnętrzu mgławicy, Grota Starszych stanowiła



wierną kopię samej GwiazdoGroty. Z miejsca, w którym siedział hazardzista - chociaż może „unosił się” byłoby lepszym określeniem, ponieważ przebywał w miejscu o zerowej sile ciężenia - widział wyraźnie takie same warstwy chmur i pasma gazów, na które zwrócił uwagę, kiedy przebywał na zewnątrz budowli. Zostały odtworzone z najdrobniejszymi szczegółami w odległości zaledwie dziesięciu kilometrów. Konstruktorzy nie zapomnieli nawet o pozostawieniu okrągłego wlotu - podobnego do tego, przez który można było wlecieć do ThonBoki, ale na szczęście pozbawionego jednostek czyhającej na zewnątrz okupacyjnej floty. Lando nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego, ale był im za to bardzo wdzięczny. To, co widział przez otwór, dowodziło, że istoty umiały wyciągać właściwe wnioski. A przecież, jeżeli nie liczyć żadnego przygód Lehesu, Oswaftowie nigdy nie opuszczali wnętrza ThonBoki. Mimo to doskonale wiedzieli, jak wyglądają przestworza na zewnątrz mgławicy.

Jedyną wadę, jaką dałoby się zauważyć w monumentalnej budowli - w zamierzeniu konstruktorów mającej stanowić model reszty wszechświata — stanowiło coś, co sprawiało, że Grota Starszych była naprawdę ciekawa, przynajmniej z punktu widzenia Landa Calrissiana. Cała konstrukcja, mająca dwadzieścia kilometrów średnicy, została wzniesiona z drogocennych klejnotów.

Komputery unoszącego się na zewnątrz „Sokoła Millenium” wysłały sygnał, który zabrzmiał w słuchawkach próżniowego skafandra młodego hazardzisty jak ciche gwizdnięcie. Oznaczało to, że pozostali gracze, to znaczy Sen (Lando bezceremonialnie skrócił imię najstarszego Oswafta do pierwszych trzech liter, żeby nie przemęczać mięśni języka), wiszący po jego lewej stronie drugi Starszy o imieniu Feytiennasraof oraz Lehesu, który unosił się z przeciwnej strony, również otrzymali dwie karty.

- Masz trójkę klepek i Dowódcę szabel, mistrzu - poinformował hazardzistę Vuffi Raa, przebywający na pokładzie „Sokoła”. - Suma punktów twoich kart wynosi zatem piętnaście.

Pozostali gracze „oglądali” swoje karty ze pośrednictwem telewizyjnych sygnałów, także wytwarzanych i wysyłanych przez komputer „Sokoła Millenium”. Lando bardzo chciałby, żeby mały android pozwolił mu samemu liczyć punkty kart- płytek - niemal tak samo jak pragnąłby, żeby wreszcie przestał nazywać go mistrzem. Nie bardzo jednak wiedział, co może zrobić, by zabronić mu i jednego, i drugiego. Nie chcąc zdradzać się z tym, jakie ma karty, obaj rozmawiali po starotrammiańsku - w prastarym języku, jakiego używali zamieszkujący system Rify Tokowie/Sharowie.

Oswaftowie byli na tyle uprzejmi, że nie zdradzili, iż w ciągu pierwszych pięciu minut od rozpoczęcia gry „rozszyfrowali” słowa nieznanej mowy. Grali uczciwie i zachowywali się tak, jakby nie słyszeli sygnałów wysyłanych przez małego androida. A zresztą, nieujawnianie faktu, że znają treść rozmowy, podobnie jak niewykorzystywanie usłyszanych informacji, uważali za coś oczywistego. Czynili to odruchowo, nie wyobrażając sobie, że mogliby zachować się inaczej. Zawsze tak postępowali, ilekroć w grę wchodził honor albo rozwiązywanie najróżniejszych łamigłówek.

- Poproszę o jedną kartę - zaintonował Sen, po czym natychmiast podziękował, kiedy otrzymał ją od komputera „Sokoła”. Fey również zgłosił chęć wzięcia jednej karty, ale nad wiek rozwinięty Lehesu zrezygnował. Lando także postanowił wziąć jeszcze jedną kartę. Otrzymał liczony za minus czternaście punktów Umia, co zmniejszyło sumę punktów wszystkich jego kart do jednego.

- Mistrzu, właśnie w tej chwili komputer zmienił walor twojej ostatniej karty na ósemkę manierek! - wykrzyknął podniecony Vuffi Raa. - Masz zatem...

- Sabak! - odezwał się hazardzista, nie pozwalając dokończyć małemu przyjacielowi.

Oznaczało to, że - o ile nie popełnił błędu w obliczeniach - Oswaftowie są mu winni

dokładnie sto osiemdziesiąt milionów kredytów. Pomyślał, że kiedy to wszystko się zakończy, a on wydostanie się z ThonBoki cały i zdrowy, życie nabierze zupełnie innego sensu.

- Ta zabawa jest niezwykle podniecająca - odezwał się Fey. - Czy zagramy jeszcze raz, Paniekapitanie misrrzulandocalrissian?

Wspaniale - pomyślał hazardzista. - Awansowałem o dwie sylaby. Jeżeli dalej pójdzie w takim tempie, niedługo całego dnia nie starczy, żeby wypowiedzieć mój oficjalny tytuł. Kto wie, może powinienem przegrać w kilku następnych rozdaniach? Nie będzie to wcale łatwe, zważywszy na fakt, że karty rozdawał komputer, ale Lando czuł, że jakoś sobie z tym poradzi.

Podobnie jak poradził sobie wówczas, kiedy został wezwany przed oblicza Starszych Oswaftów.

Władza bywała opierana na wielu rzeczach, które mogły się różnić tak samo, jak zewnętrzne przejawy jej sprawowania. Imperialna władza opierała się na bezwzględnej, brutalnej i niczym nie maskowanej sile - nie liczącej się z żadnymi względami, osobami ani przeszkodami. W odróżnieniu od niej władza, sprawowana przez dostojników rządzących systemem Oseona, zależała wyłącznie od bogactw, jakie zgromadzili. W systemie Rafy okazywano niejake względy religijnym przywódcom, ale ponieważ właściwie wszystko zostało uwikłane w prastare wierzenia, czasami osoby wyglądające jak najwyżsi kapłani mogły okazać się wykwalifikowanymi technikami albo nawet inżynierami.

Pod tym względem Oswaftowie zaliczali się do istot konserwatywnych. Składali władzę w macki stworzeń najstarszych i najmądrzejszych. Lando próbował ocenić, ile standardowych lat musiał mieć jakiś Oswaft, żeby mógł zostać obdarzony władzą, lecz nie potrafił. Podobnie jak wiele innych istot stojących na niższym szczeblu rozwoju, Oswaftowie nie przestawali rosnąć, dopóki żyli. Lehesu był osobnikiem młodym, ale dorosłym, i gdyby pod tym względem można było porównywać go z istotami ludzkimi, mógłby liczyć od osiemnastu standardowych lat do dwudziestu kilku. Od końca jednego skrzydła do końca drugiego miał jakieś pięćset metrów, ale nieustannie rósł i powiększał rozmiary ciała.

Obaj strażnicy, którzy powitali hazardzistę i androida w okolicach wlotu ThonBoki, zaliczali się do istot w średnim wieku. Mogli ukończyć po trzydzieści kilka albo czterdzieści lat (a może stuleci czy nawet tysiącleci), mieli po siedemset lub siedemset pięćdziesiąt metrów średnicy i sprawiali wrażenie statecznych i dostojnych. Nie przepadali za zaczepianiem mikroskopijnych nieznajomych, podobnie jak nie znosili być przez nich zaczepiani. Jeszcze mniej podobało im się, kiedy taki młodziak jak Lehesu wyprawiał się poza ThonBokę i powracał, żeby zmienić ich dotychczasowy, dobrze znany, spokojny tryb życia.

Wszyscy trzej Oswaftowie zauważyli, że Lando i Vuffi Raa nie mogą po prostu popłynąć przez przestworza, żeby spotkać się ze Starszymi. Lehesu nie potrafił powiedzieć, co by się wydarzyło, gdyby spróbował przetransportować ich w taki sam sposób, jak przenióś cylinder wypełniony odżywczymi substancjami, gdy przeskakiwał przez pustynię. A zresztą, Lando również nie zamierzał ryzykować. Po dłuższym okresie targowania się i sprzecznania o to, jak znaleźć wyjście z trudnej sytuacji, strażnicy zgodzili się, żeby dwie obce istoty powróciły na pokład „Sokoła Millenium”, włączyły jednostki napędu nadświetlnego i przeskoczywszy spory kawałek ThonBoki, podażyły za nimi do opustoszałego środka mgławicy.

Oświetlona promieniami trzech płonących tam błękitnawobiałych słońc, Grota Starszych jarzyła się, lśniła i połyskiwała, powoli się obracając. Widok ten mógł pozostać w pamięci na całe życie. Posługując się pokładowymi czujnikami, Vuffi Raa poinformował hazardzistę, że w całej galaktyce nie ma takiego drogocennego klejnotu czy kryształu,

kórego by nie użyto - i to w ogromnych ilościach - do budowy ścian Groty. Co więcej, rozmiary owych kamieni przyprawiłyby o zawal serca każdego jubilera w całej znanej części galaktyki.

Senwannus'gourkahipaff i Feytihennasraof czekali już na ich przybycie we wnętrzu Groty. Lehesu, który do perfekcji opanował język, jakim posługiwał się Lando, porozumiewając się z małym androidem, powiedział i jednemu, i drugiemu, jak należy wymawiać imiona obu Starszych. Wyjaśnił też, że apostrof umieszczony mniej więcej pośrodku imienia Sena oznacza następne kilkanaście mniej istotnych sylab, których wypowiedzianiem starszy Oswaft nie zamierzał zawracać sobie głowy. Co więcej, nie miał nic przeciwko temu, żeby w taki sam sposób postępowali wszyscy, którzy się do niego zwracali. Lehesu powiedział również, że gdzieś w pobliżu przebywa trzeci Starszy Oswaft, który w tej chwili jest bardzo zajęty i przyłączy się do pozostałych trochę później.

- Najserdeczniej cię witamy, Kapitanie mistrzulando - wypowiedział Sen pierwsze słowa w nieznaną dotąd mowie, której nauczył go Lehesu w ciągu zaledwie kilku sekund.

- Proszę, zechciej wybaczyć to nieco nadgorliwe zaproszenie, jakie przekazali ci nasi młodszy ziomkowie.

Najstarszy Oswaft przesłał obu młodszy towarzyszom myślowe szturchnięcie - będące niewątpliwie naganą. Miało postać maserowej błyskawicy, która prześwidrowałaby na wylot „Sokoła” nawet z włączonymi ochronnymi polami.

- Nic takiego się nie stało, Senwannus'gourkahipaffie, wasza Starszamość - odparł beztrzęsco hazardzista. - Nie są jedynymi sługusami, którym władza uderza do głowy niczym woda sodowa. Co możemy dla ciebie zrobić?

- O ile dobrze rozumiemy - odezwał się Fey - przylecieliście do nas z transportem odżywczych substancji. Pragniecie, aby zastąpiły te, które zostały zniszczone przez inne istoty waszej rasy, przebywające w tej chwili na zewnątrz Gwiazdogroty. Czy to prawda?

Lando kiwnął głową, aczkolwiek nie był pewien, czy ów gest zostanie przez Starszych Oswaftów zauważony, a tym bardziej zrozumiany. Pozostawił „Sokoła Millenium” na zewnątrz Groty, ale teraz dochodził do wniosku, że uczynił to zupełnie niepotrzebnie; we wnętrzu Groty Starszych było dość miejsca dla wielu setek, a nawet tysięcy takich małych frachtowców. Później posłużył się silniczkami próżniowego skafandra, aby przelecieć te dziesięć kilometrów dzielących go od obu Starszych Oswaftów.

- To prawda - przyznał po chwili. - Niewiele tego, ale to dopiero początek. A poza tym, chyba wymyśliłem sposób, żeby odciągnąć okręty Marynarki z okolic wlotu ThonBoki.

- Dlaczego miałbyś zadawać sobie tyle trudu? - zainteresował się Fey. — I dlaczego miałbyś robić coś, co stoi w jaskrawej sprzeczności z postępowaniem innych inteligentnych istot twojej rasy? Obawiam się, Kapitanie mistrzu, że nie rozumiemy motywów twojego postępowania, a dopóki cię nie zrozumiemy, nie możemy przyjąć ofiarowanego podarunku.

Obaj Starsi mieli co najmniej kilometr od końca jednego skrzydła do końca drugiego, ale Fey sprawiał wrażenie odrobinę mniejszego niż Sen. Dyskutując z nimi, Lando czuł się trochę głupio. Miał wrażenie, że porozumiewa się z parą wielopiętrowych bloków mieszkaniowych. Rozmawiał jednak nieco wcześniej na podobny temat z Lehesu i dlatego wiedział, jakich pytań i jakiego nastawienia może się spodziewać.

- No cóż, jeżeli nie liczyć faktu, że Vuffi Raa i ja polubiliśmy młodego Lehesu - odparł - uważamy nasze postępowanie za coś w rodzaju gry albo zabawy.

Lando żałował, że unosząc się w przestworzach naprzeciwko dwóch gigantycznych, podobnych do płaszczyk stworzeń, jest zamknięty we wnętrzu próżniowego skafandra, wskutek czego nie może zaciągnąć się dymem z dobrego cygara. Rozmawiając o

interesach, czuł się o wiele lepiej, kiedy mógł zapalić.

- Grę albo zabawę? - powtórzył młodszy z dwójki Starszych. W jego myślach zabrzmiało zdumienie. - Proszę, zechciej wyjaśnić nam, co chcesz przez to powiedzieć.

- Jasne, Senie - odpowiedział hazardzista. - Mówiono mi, że wy, chłopaki, przepadacie za rozrywkami umysłowymi. Cóż, moi ziomkowie także się nimi zachwycają. Różnica polega tylko na tym, że moi pobratymcy wymyślili sposób, żeby uczynić je ciekawszymi i bardziej emocjonującymi. Prawdę mówiąc, przekształciliśmy je w coś, co nazywamy grami. Gry polegają na tym, że ktoś stara się rozwiązać umysłową łamigłówkę szybciej albo lepiej niż wszyscy pozostali. Czasami też sprzeciwia się twojemu rozwiązaniu, przez cały czas nie przestając zastanawiać się nad znalezieniem własnego.

- To fascynujące! - odezwał się Sen, ale sprawiał wrażenie pogrążonego w zadumie, jakby utworzył tę myśl dla siebie. Obrócił się w kierunku Feyy. - Czy kiedykolwiek pomyślałbyś o czymś takim?

Zapytany Starszy nie odpowiedział. Widocznie u istoty tak prastarej jak on, sama myśl o czymś nowym wywołała coś w rodzaju wstrząsu.

- To prawda - rzekł Calrissian, posługując się silniczkami, aby podpłynąć bliżej obu Oswaftów. - A pragnąc uczynić grę jeszcze bardziej fascynującą, toczymy ją o coś więcej niż tylko samą satysfakcję z rozwiązania łamigłówki.

- Na przykład o co? - zapytali równocześnie obaj Oswaftowie.

- No cóż, pozwólcie, że wam to pokażę, przyjaciele - odparł hazardzista. - Weźmy na przykład grę w sabaka...

- Czy przypadkiem nie przeoczyłem w tym wszystkim czegoś oczywistego? - zapytał Lando tonem grzecznościowej konwersacji. Wziął następną „kartę” i przez chwilę obserwował, jak pozostali gracze zastanawiają się, czy nie powinni uczynić tego samego. - Czy też może, koledzy, pogodziliście się z perspektywą śmierci?

Przezroczyste ciało Lehesu zabarwiło się bladoróżowym rumieńcem, ale była to jedyna reakcja na bezpośredniość i śmiałość, okazywaną przez hazardzistę podczas rozmowy z dostojnymi Starszymi. Przypuszczając, że Lando wie, co robi, młody Oswaft nie odezwał się ani słowem. Tymczasem Sen i Fey poruszyli się w taki sposób, jakby odrywali spojrzenia od swoich „kart” i przenosili je na Calrissiana. Usytuowane w hełmie hazardzisty czujniki powiedziały mu, że został trafiony przez dwie niezbyt silne wiązki sygnałów radarowych.

Kapitan „Sokoła Millenium” doskonale wiedział, że istoty nie są głupie. Prawdą było coś wręcz przeciwnego. Przezroczyste ciała Oswaftów umożliwiały zapoznanie się z ich budową, ale zarazem utrudniały dostrzeżenie szczegółów. Mimo to hazardzista - sądząc po tym, co widział i co mógł wywnioskować - domyślał się, że mniej więcej dwie trzecie masy ciał istot stanowią gigantyczne mózgi. Niezwykle skomplikowane, wrażliwe i doświadczone.

- Ach, tak - odezwał się w końcu Sen. - Przecież właśnie taki był powód demonstrowania nam, czym jest sabak. Tak bardzo zafascynowała mnie sama gra, że zapomniałem, iż wyjaśniasz nam jej zasady tylko dlatego, abyśmy zrozumieli, dlaczego pragnąłeś nam pomóc. A zatem toczysz tę fantastyczną grę ze swoimi ziomkami przebywającymi na zewnątrz ThonBoki, a my jesteśmy w niej jedynie biernymi obserwatorami. Nie, mój przyjacielu, nie chcemy umierać, ale wszystko wskazuje na to, że właściwie nie mamy wielkiego wyboru. Poproszę o kartę, Gwiazdnystatkusokolemillenium, o ile nie masz nic przeciwko temu.

Zmodyfikowany frachtowiec, zapewne niewzruszony faktem, że awansował nie tylko na inteligentną istotę, ale nawet na jednego ze Starszych Oswaftów, ponownie zapiszczał. Wysłał w ten sposób sygnał, że „wręczył” jeszcze jedną „kartę” spośród siedemdziesięciu

ośmiu, po czym umilkł, jakby czekał na dalszy rozwój sytuacji.

- Istnieją różne wyjścia, drodzy przyjaciele - odparł Calrissian. - Zawsze tak się dzieje. Oczywiście, jedno z nich polega na tym, że możecie się poddać i umrzeć. Cieszę się, że je odrzucacie. To już coś, przynajmniej na początek. Sabak! To oznacza, że jesteście mi winni dwieście trzydzieści milionów. Czy moglibyśmy zrobić sobie teraz krótką przerwę? Powinienem odwiedzić pewne pomieszczenie na pokładzie swojego statku, ale to nie oznacza, że będę musiał przerwać tę rozmowę.

Posługując się silniczkami próżniowego skafandra, pozostawił Oswaftów i przeleciał przez pół Groty Starszych. Później wspiął się po kadłubie „Sokoła Millenium” i znalazł w śluzie, gdzie powitał go Vuffi Raa.

- Przełącz interkom w taki sposób, żeby działał jak komunikator, dobrze? - powiedział Laudo kiedy pozbył się hełmu. - Muszę zapalić cygaro, żeby skupić myśli, tym bardziej że nasza rozmowa zbliża się do punktu krytycznego.

- Tak, mistrzu - odparł mały android. - Przysłuchiwałem się jej od samego początku. Co zrobimy z drogocennymi klejnotami i kryształami, wartymi dwieście trzydzieści milionów kredytów? Nie sądzę, żebyśmy mieli na pokładzie frachtowca tyle miejsca...

- Będziemy się o to martwili, kiedy zmuszą nas okoliczności - przerwał mu hazardzista. - W tej chwili najważniejszym problemem jest przeżycie.

Położył hełm na półce, a potem zdjął próżniowy skafander i umieścił w szafce. Następnie udał się do świetlicy, w której wciąż jeszcze panowało sztuczne ciążenie. Zadowolony, że znów czuje chociaż część ciężaru ciała, opadł na jakiś fotel.

- Drugą możliwością jest walka - ciągnął, kiedy łączność ponownie została nawiązana.

- Jeżeli chodzi o to, wykazujecie kilka zadziwiających talentów. Najważniejszym z nich i budzącym największe przerażenie - przynajmniej z punktu widzenia istot mojej rasy - są wasze rozmiary. Mimo to wydaje mi się, że...

- Kapitaniemistrzulandocalrissian - wpadł mu w słowo najstarszy Oswaft. - Nie należymy do istot umiających toczyć walkę. Prawdę mówiąc, sam pomysł, że moglibyśmy do niej stanąć, jest dla nas prawie taki samym zaskoczeniem jak udział w grach hazardowych - aczkolwiek, jak sądzę, ma z tym ostatnim coś wspólnego. Tak czy owak, istnieje jeszcze jedno rozwiązanie...

- Co właściwie masz na myśli? - zapytał Lando, zajęty ceremonią zapalania właściwego końca cygara i upewnianiem się, że płomień nawet go nie muśnie.

- Negocjowanie - odparł Sen. - Czy przypominasz sobie, że wspominaliśmy o ci trzecim Starszym? To istota płci żeńskiej, nazywająca się Bhoggihahalsahonues. Właśnie w tej chwili ona i grupa innych Oswaftów znajdują się w pobliżu wylotu ThonBoki i zamierzają wysłać sygnały do kapitanów okrętów floty, by przylecieli na pokojowe rozmowy. Chcemy poznać warunki, na jakich zgodziliby się, żebyśmy...

- Możesz założyć się o apostrof w swoim imieniu - przerwał hazardzista - że dokładnie znam ich warunki. Marynarka pragnie, stary worku fasoli, żebyście wszyscy zginęli z głodu, i nie zgodzi się na żadne inne rozwiązanie. Widziałem, jak sobie poczynali w kilku innych analogicznych sytuacjach, i możesz mi wierzyć, kiedy mówię...

- Mniej więcej czegoś takiego się spodziewałem - przyłączył się do rozmowy drugi ze Starszych Oswaftów - i dlatego nie wyrażałem zgody na takie rozwiązanie. Mimo to Oswaftowie są istotami wolnymi i rozumnymi i nie mogłem zrobić niczego, żeby uniemożliwić naszej koleżance realizację planów. Pamiętam jednak, że wspomniałeś jeszcze o czymś innym niż śmierć, walka albo negocjacje.

- Miałem na myśli ucieczkę.

- Co takiego? Mielibyśmy opuścić ThonBokę?

W myśli kryło się tyle emocji, że Lando nie umiałby określić, który Oswaft mu odpowiedział.

Zapewne uczynili to wszyscy naraz. Nalał do szklanki trochę pomarańczowego soku (przebywanie w próżniowym skafandrze odwadniało organizm) i usiadł wygodniej, po czym zaciągnął się dymem z cygara. Vuffi Raa przebywał w sterowni, a jego wielkie rubinowe oko spoglądało na wszystkie przyrządy kontrolne i czujniki. Mimo iż sprawiało to niejake trudności, nie mogli zapominać, że statek unosi się w niemal idealnej próżni. Dopiero teraz Lando zrozumiał, dlaczego Oswaftowie traktowali ThonBokę jak zacisną przystań.

- Nie wiem - przyznał w końcu. - Wynioskowałem jednak z tego, czego dowiedziałem się od Lehesu, że warunki biologiczne nie zmuszają was do pozostawania w tej mgławicy. A przecież ucieczka jest lepszym wyjściem niż umieranie, prawda?

Zapadła długa, bardzo długa cisza, w trakcie której gigantyczne umysły oswajały się z usłyszaną herezją. W końcu jeden ze Starszych odpowiedział:

- My także tego nie wiemy, Lando. Nie mamy pewności, czy to dobre rozwiązanie. My to ThonBoka, a ThonBoka to Oswaftowie. A jak postąpiłbyś ty, gdybyś znalazł się naszym miejscu? Czy dobrowolnie pogodziłbyś się z tym, że ktoś skazuje cię na wygnanie z domu i spędzenie całej wieczności na błakaniu się i tułaniu po całej...

Hazardzista wybuchnął gromkim śmiechem. Zorientował się, że odpowiedział mu starszy z dwóch Oswaftów.

- Posłuchaj mnie, Senie - odparł, wciąż jeszcze się uśmiechając. - Już dawno i całkiem dobrowolnie zgodziłem się wieść żywot wędrowca i tułacza. Na galaktyczne Jądro, to o wiele lepsze niż gnuśnienie w jednym miejscu i mozolne zarabianie na utrzymanie!

Mimo to Lando zaczął się zastanawiać nad tym, czego dowiedział się od Starszych. Galaktyką zamieszkiwało całe mnóstwo najdziwniejszych i najróżniejszych istot. Jeżeli chodziło o rozmiary, mogły wyglądać jak te giganty - największe stworzenia, o jakich kiedykolwiek słyszał - albo jak mikroskopijni Krokowie z systemu... no cóż, jakiegoś odległego. W tej chwili nie potrafił przypomnieć sobie jego nazwy. Najciekawsze jednak, że w trakcie wielu podróży zaobserwował, iż największe stworzenia były zawsze najłagodniejsze i najbardziej bojaźliwe. To nawet miało sporo sensu. Jeżeli ktoś był bardzo mały i chciał przeżyć, musiał nauczyć się, jak być agresywnym i zadziornym. Nie miało to większego znaczenia, jeżeli ktoś był silny i ogromny. Hazardzista doszedł do przekonania, że pod tym względem zawsze uważał siebie za istotę obdarzoną średnim wzrostem.

- No, dobrze, niech będzie - odezwał się po długiej ciszy. - A co powiedziałbyś na to, gdybyście uczynili coś innego - jedną z tych rzeczy, którą opisywałem, kiedy uczyłem was blefowania podczas gry w sabaka? Na przykład coś takiego, aby tamtym wydawało się, że zamierzacie zniszczyć wszystkie okręty ich floty? Albo żeby doszli do wniosku, że popełniliście zbiorowe samobójstwo? Nie znoszę mówić o tak drażliwych i nieprzyjemnych sprawach, ale młody Lehesu wspominał, że kiedy umieracie, wasze ciała ulegają dezintegracji i zamieniają się w obłoki pyłu. Czy to prawda?

Zapadła kolejna długa, kłopotliwa cisza. Przerwał ją odważny Lehesu, który widocznie postanowił przemówić zamiast Starszych.

- To prawda, Lando. Przemieniamy się znów w cząsteczki, z których są zbudowane nasze ciała. To nic przyjemnego, nad czym chcielibyśmy się zastanawiać. Dlaczego pytasz? Czy to ważne?

Lando skończył palić cygaro, po czym wstał i podszedł do drabinki. Wspiął się po metalowych szczeblach wiodących do śluzy i włożył skafander i hełm. Następnie upewnił się, że strój jest prawidłowo uszczelniony, i wyszedł na zewnątrz. Grota Starszych unosiła się przed nim niczym fantastycznie ozdobione jajo, pomalowane na miliony jaskrawych kolorów i mieniające się milionami rozjarzonych płaszczyzn. Hazardzista podziwiał widok

przez kilka chwil, a potem włączył silniczki próżniowego stroju. Pokonał odległość dzielącą go od środka Groty i znieruchomiał przed trójką gigantycznych stworzeń.

- Tak, to może być bardzo ważne - odpowiedział. - To oznacza, że kiedy umieracie, nie pozostawiacie doczesnych szczątków, które dałoby się odróżnić od innych cząsteczek dryfujących w tutejszych przestworzach. Oznacza, że tamci nie będą szukali waszych trupów.

- Trupów? - zapytali wszyscy trzej Oswaftowie naraz.

- Martwych ciał, zwłok, nieboszczyków, umarłaków, denatów, dowodów rzeczowych... Powiedzcie mi, jak wyglądają warunki panujące w okolicach ścian GwiazdoGroty?

Gdyby Oswaftowie, zdumieni niespodziewaną zmianą tematu rozmowy, potrafili mrugać, uczyniliby coś, co zrobił Sen.

- No cóż, właściwie niewiele różnią się od tych, jakie panują w naszej Grocie. Może jest trochę chłodniej, ale nie na tyle, by nie dało się tam przebywać.

- Vuffi Raa - odezwał się Lando, zwróciwszy usta w stronę mikrofonu komunikatora. - Skieruj czujniki na ścianę mgławicy i prześlij mi wyniki badań, dobrze? Właśnie wpadłem na pewien pomysł i muszę dowiedzieć się tego i owego, zanim zajmę się szczegółami. Senie, Feyu, Lehesu, czy wasi pobratymcy potrafiliby przelecieć przez tę ścianę?

Z odpowiedzią pospieszył najmłodszy z trzech Oswaftów, który jako jedyny mógł pochwalić się pewnym doświadczeniem w tej dziedzinie.

- Ściany mgławicy są prawie nieprzepuszczalne. Nie da się przez nie... jak to wy nazywacie... „gwiazdoprzeskoczyć”, ponieważ nie można się zorientować, gdzie się wylądjuje. Niektórzy uważają, że jeżeli pomimo to znajdzie się śmieć, który chciałby dokonać tej sztuki, niechybnie eksploduje, spłonie i przestanie istnieć.

Lando zastanowił się nad usłyszczanymi informacjami.

- To ma sens - mruknął w końcu, zapewne bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

- Chociaż cząsteczki gazów znajdują się w bardzo dużych odległościach od siebie, podróżowanie z prędkościami nadświatłymi spowoduje właśnie takie skutki. No, dobrze. Powiedzcie mi w takim razie, jak głęboko potraficie... jak to wy mówicie... „wpłynąć” w głąb ściany, jeżeli zostaniecie zmuszeni? Czy na tyle głęboko, że czujniki nie wykryją waszej obecności?

Tym razem Lehesu pogrążył się w zadumie. Kiedy zastanawiał się nad tym, co odpowiedzieć, do wnętrza Groty Starszych przeniknęła silna wiązka fal elektromagnetycznych. Wywołała spore zamieszanie. Calrissian nie rozumiał, o co chodzi ani jaka może być treść rozmowy, ale ponieważ żaden z Oswaftów nie przerywał jej, by mu to powiedzieć, postanowił spokojnie poczekać na wytłumaczenie.

W końcu usłyszał odpowiedź na swoje pytanie.

- Tak, chyba coś takiego byłoby możliwe. O ile dobrze śledzą tok twojego rozumowania, chciałbyś, abyśmy ukryli się w ścianie mgławicy i polecili zrobić to samo wszystkim innym Oswaftom. Mielibyśmy pozostać tam, ukryci pośród kłębow chmur i obłoków gazów, aż dowódcy okrętów obłączniej floty, kierując się potępienia godną żądzą mordy, dojdą do przekonania, że zagłodziliśmy się na śmierć i nie żyjemy. Powinniśmy zaczekać, aż zrezygnują z szukania żywych istot i odleć, aby gdzie indziej szerzyć śmierć i zniszczenie. Tylko jak mielibyśmy rozwiązać problem szczątkowych ilości cząsteczek, które powinny pozostać po tym, jak nasi...

Ciemnoscóry hazardzista wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- O wszystkim pomyślałem, drodzy przerośnięci przyjaciele. Nie powinno pozostać tego bardzo dużo, nieprawdaż? Co sądzisz o tym, żebym w wielu rozsądnie wybranych miejscach przestworzy rozpylił niewielką część ładunku, z którym przyleciałem do waszej GwiazdoGroty?

- Lando! - wykrzyknął zachwycony Lehesu. - Uważam, że twój pomysł jest doskonały! Przypuszczam, że da się go zrealizować bez trudu! Szanowni Starsi, czy mógłbym zapytać...

- Bądź cicho, niecierpliwy młodziku! Zachowaj spokój! W tej chwili zastanawiamy się nad rozwiązaniem innego problemu... czegoś, co nas niezwykle zaniepokoiło.

- O co chodzi, Senie? - zainteresował się hazardzista. - Czy stało się coś złego?

- Starania Bhoggihalsahonues, mające na celu zakończenie tego nieprawdopodobnego konfliktu na drodze pokojowych negocjacji, zakończyły się katastrofą- przemówił najstarszy spośród gigantów. - Ona i wszyscy inni członkowie jej delegacji - tysiąc naszych sióstr i braci - zostali zamordowani za pomocą straszliwej energetycznej broni. Ponieśli śmierć w tej samej chwili, kiedy wyłonili się z wlotu ThonBoki i wysłali sygnał, zamierzając pozdrowić załogę najbliższego...

- Przykro mi z tego powodu, Senie - odezwał się hazardzista. - Naprawdę bardzo wam współczuję. Jednakże to niewiele zmienia naszą sytuację, prawda?

- Obawiam się, Paniekapitanemistrzulandocalrissian, że jednak zmienia- powiedział najstarszy Oswaft. - Widzisz, na całe nieszczęście wszyscy członkowie delegacji, działając zapewne w pośpiechu, a może nie mogąc otrząsnąć się z zaskoczenia - nie znamy szczegółów i prawdopodobnie już nigdy ich nie poznamy - zamiast odezwać się do... krążownika cicho i uprzejmie, przemówili tak głośno, jak umieli. Zachowali się mniej więcej tak samo jak ja, kiedy bez zastanowienia, nakrzyczałem na dwójkę strażników, którzy mieli zaprosić was na spotkanie z nami.

- Rozumiem... - odparł Lando. - Nawet ja wówczas to poczułem, a przecież nie krzyczałeś bardzo głośno. Tak czy owak, nie włożyłeś w to całego serca. A „Szarmanski”? Co stało się z krążownikiem?

Przeczuwał, że nic dobrego.

Sen wysłał myśl, która zapewne była odpowiednikiem żalosego westchnięcia.

- On... „Szarmanski”, nie był dobrze chroniony, a w każdym razie nie tak dobrze jak twój „Sokół Millenium”. Załoga nie włączyła ochronnych pól, ponieważ nie przypuszczała, aby moi ziomkowie mogli wyrządzić jej jakąkolwiek krzywdę.

Wskutek tego „Szarmanski” został doszczętnie zniszczony.

- Wspaniale - mruknął Calrissian, ponownie bardziej do siebie niż do Starszych Oswaftów.

- Nic tak nie cieszy jak wojna, wybuchająca w niewłaściwej chwili.

- Dowódcy pozostałych okrętów floty natychmiast włączyli ochronne pola i skierowali się w stronę wlotu ThonBoki - ciągnął Sen, jakby nie usłyszał uwagi hazardzisty. - Lecą teraz, żeby wyrzucić zemstę i wymordować wszystkich pozostałych przy życiu Oswaftów.

## ROZDZIAŁ XI

Klyn Shanga wyszczerzył zęby w uśmiechu, w którym nie kryła się ani odrobina rozbawienia.

- No cóż, Bernie, wierny druhu - powiedział. - Tym razem naprawdę wdepnąłeś w coś paskudnego.

Siedzący na składanej pryczy szczupły, żyłasty i niski mężczyzna rozłożył ręce na boki i wrzucił ramionami. Odwzajemnił ponury uśmiech, jaki zagościł na twarzy przełożonego. Mężczyzna miał na sobie ciemnozielony lotniczy kombinezon z wyraźnie widocznym na biodrach ciemniejszym pasmem w miejscu, gdzie zazwyczaj wisiał pas z blasterem. Kabura zawieszona nisko na biodrze Klyna Shangi była także pusta; żadna osoba wchodząca do pomieszczeń bloku więziennego na pokładzie „Wennisa” nie mogła nosić broni.



- Sam wiesz, co oni tutaj gadają, szefie - odparł mężczyzna, jakby pragnął się usprawiedliwić. - Różnie bywa, kiedy ktoś zadziera z czarownikiem. Raz na wozie, a raz pod wozem.

Wydał wargi i wyciągnął język tak daleko, jak potrafił, a później wciągnął z obrzydliwym głośnym mlaśnięciem.

Na krótką chwilę na szerokiej, pooranej siecią głębokich zmarszczek twarzy Klyna Shangi odmalowało się przerażenie. Renatazjanin rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu, jakby szukał miejsc, w których mogły zostać ukryte urządzenia podsłuchowe.

Jego podwładny wybuchnął śmiechem.

- Co mogą mi zrobić, zamknąć w pudle za niesubordynację? To byłoby jak uwięzienie mordercy za zaśmiecanie ulicy.

Ostre światło, padające z zawieszzonej pod sufitem nie osłoniętej żarówki, odbijało się od błyszczącej łysiny mężczyzny. Włosy - tak krótko przystryżone, że sprawiały wrażenie pokrytej kurzem szczeciny - było widać jedynie po bokach i z tyłu głowy.

Shanga usiadł na pryczy obok przyjaciela i wyciągnął z kieszeni dwa cygara. Zapadła krótka cisza, w trakcie której obaj mężczyźni zajęli się zapalaniem.

- No cóż - odezwał się w końcu Shanga. - Muszę przyznać, że kiedy podjąłeś próbę porwania tej awaryjnej kapsuły, awansowałeś bardzo wysoko na liście osób poszukiwanych przez czarownika. Na Jądro, dlaczego przedtem nie porozumiałeś się ze mną i nie powiedziałeś, że zamierzasz...

- Co takiego? - przerwał mu podwładny. - Żebyś teraz tkwił tu zamiast mnie? Sam wiesz dobrze, szefie, że spróbowałbyś zrobić to samo. Na pokładzie tej starej balii jest aż pięć takich łupin, mogących przekraczać prędkość światła, podczas gdy nasi chłopcy nie mają ani jednej. Jeżeli tamta flota wleci do mgławicy, zanim my się tam znajdziemy, może już nigdy nie dopadniemy Kata Renatazji!

W wyniku czego dalsze życie straci dla nas wszelki sens - pomyślał Shanga. Popatrzył na przyjaciela i przekonał się, że na jego twarzy maluje się odbicie takiej samej myśli. Bern Nuladeg był jedynym członkiem eskadry, który latał u jego boku, zanim Shangę przeniesiono w stan spoczynku. Obaj służyli swojej krainie-państwu jako piloci i obaj walczyli skrzydło w skrzydło w krótkim, ale bardzo krwawym konflikcie z którąś z sąsiednich krain. Obaj nabierali doświadczenia, obaj stracali maszyny znienawidzonych wrogów i obaj stali się asami sztuki pilotażu. Po zakończeniu wojny, kiedy Shanga został przeniesiony w stan spoczynku, Nuladeg rozstał się z nim i podjął pracę jako instruktor lotnictwa. Później objął funkcję naczelnika akademii lotniczej, w której kształcili się piloci sił powietrznych krainy- państwa. Sytuacja obu przyjaciół uległa jednak radykalnej zmianie, kiedy na ich rodzimy świat dokonano inwazji z międzygwiazdnych przestworzy. Teraz znów latali razem jako członkowie eskadry składającej się nie tylko z obywateli ich krainy, ale także pilotów sąsiedniego państwa, z którymi toczyli kiedyś zażarte powietrzne pojedynki, a nawet mieszkańców innych planet. Łączyło ich jedno: wszyscy byli Renatazjanami. Przyłączyli się do Shangi, kierowani tym samym uczuciem. Żądzą zemsty.

- Wiem, Bernie, wiem. To właśnie dlatego postanowiłeś działać na własną rękę i nie powiedziałeś o tym nikomu spośród pozostałych. Zamierzałeś porwać tę kapsułę... i co dalej?

Szczupły, zasuszony i niemal całkowicie łysy mężczyzna cicho zachichotał.

- Aż tak daleko nie wybiegałem myślami w przyszłość, szefie. Widzisz, lecąc nadal z tą samą prędkością, dotarlibyśmy do mgławicy za kilka dni. Kilka dni, Klynie! Co, na galaktyczne Jądro, chciał osiągnąć Gepta, wydając rozkaz dowódcom okrętów floty, aby zaczynali inwazję, zanim my się tam znajdziemy? Słyszałem pogłoski - noszące wszelkie

znamiona prawdy - i postanowiłem przystąpić do działania. Może, gdybym miał okazję, zatoczyłbym obszerny łuk i zaproponowałbym kilku chłopakom, że ich podrzucę. Nie wiem. Jak myślisz, co mogą teraz zrobić ze mną?

Shanga pokręcił głową.

- Za jakąś godzinę czy dwie mam się udać na spotkanie z naszym odzianym w ciemnoszary płaszcz kolegą - który woli nazywać to audiencją. Tak czy owak, dopiero wówczas będziemy mogli porozmawiać na twój temat. Ale nie mam zamiaru cię okłamywać. Twoje położenie nie wygląda najlepiej. Powinieneś zobaczyć, w jaki sposób ten gość traktuje swoich ludzi!

Tym razem śmiech Nuladega zabrzmiał jak prawdziwy chichot.

- Wiem, wiem! Właśnie dlatego porwanie tej kapsuły okazało się tak dziecinnie łatwe! Wszyscy obawiali się, że jeżeli ktoś ruszy choćby palcem, zostanie ukarany nagana... ostatnią w życiu! Kto powiedział, że dyktatury mogą być skuteczne, szefie? To mogłoby być nawet zabawne, gdyby nie było tak bezdennie głupie!

Zaciągnął się cygarem, a potem uniósł głowę i wydmuchnął dym w kierunku świecącej pod sufitem żarówki. Później opuścił głowę i spowaźniał.

- Klynie, obiecaj mi jedno - powiedział. - Przrzeknij, że nie będziecie przejmowali się moim losem i nie zaniechacie wyprawy. Bez względu na to, co się ze mną stanie. Przrzeknij. Potrafię wytrzymać wszystko, co mi zgotują, ale nie mógłbym znieść myśli...

Wszyscy członkowie rodziny Berna Nuladega zostali zamordowani przez korzystających z kilkugodzinnej przepustki imperialnych szturmowców. Napastnicy traktowali to jak rozrywkę... coś w rodzaju doskonałego żartu. Zabawiali się tak, dopóki nie pozbawili życia ostatniej osoby. Za nieszkodliwy wybrzyk uznał to także ich bezpośredni dowódca... ten sam, którego następnego ranka znaleziono w łóżku z bagnetem, wbitym w dolną szczękę tak głęboko, że szpic dosięgnął mózgu. Nikt nigdy nie rozwiązał zagadki, jakim cudem coś takiego mogło wydarzyć się w strzeżonym przez oddziały uzbrojonych ludzi budynku - znajdującym się na terenie dawnej lotniczej akademii. Nikt nigdy się nie dowiedział, kto i dlaczego dopuścił się takiego czynu.

- No cóż, wierny druhu - westchnął w końcu Klyn Shanga. Zawsze uważał, że to Nuladeg, a nie on, cieszył się opinią lepszego pilota i miał większe doświadczenie w wydawaniu rozkazów. Tymczasem szczupły, niski mężczyzna nie zgodził się nawet pełnić obowiązków zastępcy. Wymówił się, uzasadniając to popędliwością, w którą nie wierzył nikt... aż do tej pory. - Zobaczę, co się da zrobić. Obawiam się jednak, że masz rację. Kiedy dowiedziałem się, że został wydany rozkaz szturm na ThonBokę, przez pewien czas sam zastanawiałem się, czy nie porwać tej łupiny. Postaram się zrobić, co będę mógł, i wrócę do ciebie tak szybko, jak zdołam.

Grzmotnął kilka razy pięścią w metalową ścianę celi. Świadomie zignorował przycisk umieszczony obok drzwi, strzeżonych przez siłowe pole.

- Straż! Chcę stąd wyjść! Mam spotkanie z gadem, który wygląda zupełnie jak człowiek!

Ćwierć galaktyki dalej Pierwszy, Drugi i Pozostali spieszyli, pragnąc zdążyć na umówione spotkanie. Niektórzy mieli do pokonania nawet jeszcze większe odległości i lecieli z takimi prędkościami, że Lando i jego przyjaciele nigdy by nie uwierzyli, iż tak szybko mogą latać jakiegokolwiek inteligentne istoty.

- Przemieszczamy się tak powoli! - poskarżył się w pierwszej chwili Drugi, szybujący tuż obok Pierwszego. - Obawiam się, że nie zdążymy w porę!

Pierwszy oderwał uwagę od pokonywania nadprzestrzeni. Poświęcił krótką chwilę, żeby obdarzyć Drugiego czymś, co mogło uchodzić za uśmiech.

- Po tylu latach spędzonych razem ty, mój przyjaciel, okazujesz zniecierpliwienie? -

zapytał, jakby nie mógł uwierzyć czemuś, co pełniło funkcję narządu słuchu. - Zaiste, nastąpiła era niezwykłych zmian i przeobrażeń! Ale nie obawiaj się, i tak nauczymy się tego, czego mamy się nauczyć. Ja także wolałbym, żebyśmy...

Drugi nie pozwolił mu dokończyć zdania.

- Sprawy wymykają się spod kontroli! - wykrzyknął. - Wszystko zaczyna toczyć się zbyt szybko! Nie potrafimy przewidzieć tego, co może się wydarzyć! Znosi się na to, że zapanuje całkowity chaos! Wspomnisz jeszcze moje słowa. Całkowity chaos.

- Czy uważasz, że nadal powinien panować ład i porządek? - zapytał Pierwszy. - Pamiętaj o tym, mój drogi, że niemal wszystkie rasy inteligentnych istot spotykają się z takimi trudnymi do przewidzenia sytuacjami przez całe życie. Narodziliśmy się w wyniku jednej z takich sytuacji, ale doszliśmy do przekonania, że nie przeżylibyśmy, gdyby miała wydarzyć się następna. Pamiętasz? Niemal konaliśmy z nudów. Czy sądzisz, że to było dla nas bardziej pożądane i korzystniejsze?

- Przestań prawić mi kazania! - wybuchnął Drugi z rzadko spotykaną u niego gwałtownością i szorstkością. - Wiem, równie dobrze, jak ty, jakie niebezpieczeństwa zagrażają istotom naszej rasy. Czy nie pamiętasz, że pierwszy zgodziłem się na realizację twojego planu? Nie odmawiaj rai teraz prawa do narzekania na niektóre jego konsekwencje. Czy naprawdę nie rozumiesz, że zrządzając, lepiej przystosowuję się do tego, co nieuniknione?

W otaczającej ich zniekształconej nadprzestrzeni poniosło się coś podobnego do śmiechu.

- W tej chwili jeszcze wszystkiego można uniknąć, mój drogi przyjacielu! Wszystkiego! Właśnie na tym polega sedno naszego eksperymentu!

- No cóż, a zatem pozostaje mi żywić nadzieję, że twój eksperyment pozwoli nam znaleźć lekarstwo na samozadowolenie - odciął się Drugi. - Jeżeli chodzi o mnie, z ogromną przyjemnością skrepuję cię i ograniczę swobodę ruchów, a potem będę przyglądał się, jak inni zmuszają cię do jego zażywania!

Jeszcze raz odkształconą nadprzestrzeń zakłóciło coś bardzo podobnego do śmiechu. Pierwszy, a także bardzo niezadowolony Drugi i wszyscy Pozostali lecieli dalej, pogrążeni we własnych myślach.

- Nonsens! - zasyczał Rokur Gepta, nie ruszając się z kąta pomieszczenia usytuowanego pod mostkiem „Wennisa”. - Jego los spoczywa teraz w moich rękach, a ja uczynię z nim, co zechcę! Poćwiartuję go żywcem na oczach wszystkich członków załogi mojego krążownika... i twoich ludzi także, admirale Shango! Jako przykład dla innych i ostrzeżenie!

Po raz pierwszy dowódca eskadry renatazjańskich pilotów widział, żeby czarownik był zdenerwowany. Czasami nawet spacerował po pomieszczeniu. Zbliżał się czas ostatecznego rozwiązania kilku ważnych problemów i Shanga podejrzewał, że i Gepta się niepokoił. Zapewne się obawiał, że niezdiscyplinowany i rwący się do walki sprzymierzeniec zechce pozbawić go owoców zwycięstwa.

Okazując jeszcze większą niesubordynację - ponieważ uważał, że wymaga tego sytuacja - Klyn Shanga opadł na ogromny obrotowy fotel dowódcy, na którym siadywał jedynie sam czarownik Tundów.

- Posłuchaj, Gepto, stary szarlatan - zaczął. - Wiesz dobrze, że niczego takiego nie uczynisz. A jeżeli nie masz pojęcia, dlaczego, za chwilę ci to wytłumaczę. Możesz trzymać Berna Nuladega w pudle na pokładzie tej balii jak długo zechcesz - ale nie dłużej, aż znajdziemy się u wlotu ThonBoki. Przyda mu się trochę odpoczynku, a poza tym nie będzie ci przeszkadzał. Nie mówiąc o tym, że taka decyzja pozwoli ci zachować wiecznie zasłoniętą twarz. Ale oświadczam ci, że jeżeli choć włos spadnie mu głowy, koniec z naszą współpracą! Zabiorę swoją eskadrę i...

- Będziesz robił to, co ci rozkażę! - syknął doprowadzony do wściekłości Gepta, po czym wykonał złowieszczy czarnoksięski gest.

Ujrawszy go, Klyn Shanga wybuchnął głośnym śmiechem.

- Zachowaj swoje teatralne gesty dla kogoś innego, staruszkule! - oznajmił, kiedy trochę spowaźniał. - Przestaliśmy wykonywać czyjekolwiek rozkazy, kiedy twoja drogocenna Marynarka unicestwiła wszystko, co mogliśmy stracić, odmawiając ich wykonywania! Pomyśl, Gepto! Mam dwudziestu trzech zawodowych, doskonale wyszkolonych pilotów, nad którymi nie masz i nie będziesz miał żadnej władzy. Dwudziestu trzech gotowych na wszystko wojowników, którzy zaprzysięgną ci zemstę, jeżeli nie...

- Zamilknij! - ryknął czarownik. - Przestałeś być mi potrzebny, Klynie Shango, kiedy nie zastanawiając się nad tym, ujawniłeś kryjówkę Landa Calrissiana. Już niedługo tam dolecimy. Ten wędrowny hochsztapler, uwięziony jak w potrzasku przez okręty floty, nie uniknie straszliwej kary, jaką zechcę mu wymierzyć. Spełniłeś swoje zadanie, Klynie Shango. Potrafię się obejść bez ciebie i bez twoich ludzi!

Renatażanin wyciągnął z kieszeni lotniczego kombinezonu jeszcze jedno cygaro. Zapalił je, a później pragnąc pozbyć się listka tytoniu, który przykleił się do języka, splunął na pokrytą kosztownym dywanem podłogę.

- Ach, tak? - zadrwił. - No cóż, niedawno spędziłem trochę czasu w towarzystwie twojego ulubieńca, profesora. Czy jeszcze pamiętasz, jak oznajmiłeś mu, że powinien dzielić się ze mną wszystkimi informacjami, jakie mogą przyczynić się do naszego zwycięstwa we wnętrzu tej parszywej mgławicy? Szczególnie zaciekało mnie, co powiedział na temat rzekomych bzdur, przesłanych tego ranka przez dowódców floty. Doprawdy, to było coś interesującego.

Nie odwracając się w stronę rozmówcy, Gepta odezwał się, jakby przemawiał do ściany. - Cóż takiego było w tym interesującego?

- Jeżeli mi nie wierzysz, możesz zapytać swoich podwładnych - odparł Shanga. - Siedzimy w tym bagnie po same uszy. Zamknęliście w tym worku coś około miliarda Oswaftów, a każdy z nich jest niebezpieczny niczym gwiazdny myśliwiec. Organizmy tych wielkich zwierzaków mają w sobie coś elektrochemicznego - a przynajmniej coś, co dotyczy ich układu nerwowego. Tak czy owak, twój chłoptaş powiedział mi, że Oswaftowie są istotami „organoelektronicznymi”. Nie wiem dokładnie, co to może oznaczać, ale stworzenia te potrafią myśleć, działać i poruszać się o całe niebo szybciej niż my. Co więcej, niedawno cała zgraja Oswaftów zniszczyła „Szarmackiego”. Nikt nie ma pojęcia, w jaki sposób.

- A cóż to może mieć wspólnego z posłuszeństwem twoich ludzi, admirale?

Sarkazm, z jakim czarownik wypuścił ostatnie słowo, nie miał sobie równych. Klyn Shanga, choć z pewnym trudem, wzruszył ramionami. Zademonstrował w ten sposób, że lekceważy ukrytą groźbę i nie zamierza zrezygnować z przemyślanego zniwag.

- A zatem naprawdę uważasz, że zdołasz coś osiągnąć, jeżeli będziesz nadal polegał na niezdarach i maminsynkach, których nazywasz członkami załogi tej archaicznej balii? Mówię ci, Gepto, że to amatorzy. Są tak przerażeni, żeby czegoś nie spaprąć, że wcześniej czy później i tak wszystko spaprzą. Przypuszczasz, że tę smutną prawdę najlepiej powinna uświadomić ci łatwość, z jaką Bern Nuladeg omal nie porwał twojej łupiny! Już samo to powinno ci uzmysłwić, że wszyscy podwładni tak się ciebie boją, że są jak sparaliżowani z przerażenia! Jesteśmy ci potrzebni, ty pretensjonalny idioto, a jeżeli tego nie zrozumiesz i nie przyjmiesz naszej pomocy, nie powiesz ci się to, co zrodziło się w twoim ptasim mózdzku. Możliwe, że już teraz jest za późno, by cokolwiek uratować. Czy ostatnio otrzymałeś jakieś meldunki od dowódców floty?

Zapadła długa, bardzo długa cisza, w trakcie której Rokur Gepta usiłował odzyskać panowanie nad nerwami. W ciągu ostatnich mniej więcej dwudziestu tysięcy lat nie

zdarzyło się, by ktokolwiek odezwał się do niego w taki sposób - i przeżył. Nikt nawet nie zginął szybką i bezbolesną śmiercią. Prawdę mówiąc, niektórzy śmiałkowie przeżyli całe stulecia, dręczeni za pomocą takich czy innych narzędzi tortur, uśmierceni i na nowo ożywiani. Kiedy to wszystko się zakończy, z pewnością do ich grona dołączy Klyn Shanga.

No cóż - pomyślał czarownik. - W takim razie nie ma żadnego znaczenia, czy pozbędę się niesubordynowanego sprzymierzeńca już w tej chwili, czy dopiero wówczas, kiedy moje plany zakończą się powodzeniem. Doświadczony wojownik z pewnością pomoże mi w przyszłej walce, a ci, którzy ją przeżyją... Uświadomił sobie jednak, że wcześniej powinien skorzystać z innego źródła informacji. Podszedł szybko do fotela, wciąż jeszcze zajmowanego przez Renatazjanina. Ignorując fakt jego istnienia, przycisnął guzik interkomu.

- Natychmiast przyslijcie do mnie ottdę Osuna Whetta - warknął do mikrofonu.

Niespełna trzy minuty później dwuskrzydłowe drzwi zasyczały i rozsunęły się na boki i do pomieszczenia wkroczył siwowłosy antropolog. Nieprawdopodobnie wysoki, chudy mężczyzna powiódł spojrzeniem po niewielkim pomieszczeniu. Natychmiast wyczuł panującą w nim atmosferę napięcia i wrogości. Zapewne został wezwany, by zażegnać jakąś kłótnię. Poprzysiągł sobie, że uczyni wszystko, co w jego mocy, aby nie dać się w nią wciągnąć i opuścić pomieszczenie tak szybko, jak się tylko da.

- Sledziłeś na bieżąco meldunki, jakie napływały od dowódców okrętów floty? - zapytał go czarownik bez jakiegokolwiek wstępu.

- Oczywiście, wasza ekscelencjo. Ja...

- Co z nich wynika, jeżeli chodzi o możliwości Oswaftów? Shanga wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, ale powstrzymał się od wypowiedzania uwag.

- No cóż, wasza ekscelencjo, potwierdzają rezultaty moich wcześniejszych obserwacji. Struktura komórek ich organizmów przypomina trochę strukturę kryształów półprzewodników używanych do budowy prymitywnych przyrządów elektronicznych. Tym właśnie należałoby tłumaczyć umiejętność istot porozumiewania się między sobą, jak również...

- Skąd to wiesz? - przerwał Gepta. - Czy to jedynie przypuszczenia, czy też może istnieją dane, które by to potwierdzały?

Za każdym razem, kiedy groźny czarownik piorunował spojrzeniem nieszczęsnego antropologa, naukowiec wpadał w coraz większe zdumienie. A także przerażenie.

- Wasza ekscelencjo, w tej samej chwili, kiedy wszystkie stworzenia zostały unicestwione, kapitanowie kilku okrętów zarządzili zebranie szczegółowych danych. Kiedy „Szarmanski” eksplodował, większość istot po prostu wyparowała. Prawdę mówiąc, istnieje całkiem duże prawdopodobieństwo, że ani jedna nie zginęła, trafiona strzałem oddanym przez artylerzystów floty. Wygląda na to, że stworzenia niewłaściwie oceniły zasięg fali uderzeniowej, jaka powstała w wyniku wybuchu krążownika. Załoga „Szarmanskiego” zaczęła strzelać, ale nie było dość czasu, żeby...

Czarownik uniósł rękę i naukowiec natychmiast umilkł.

- W jaki sposób Oswaftowie zniszczyli „Szarmanskiego”, ottdę? - zapytał Gepta. - Jaką bronią się posłużyli? I jak myślisz, jakiej broni może użyć Marynarka, żeby ich unicestwić?

Whett zawahał się, zanim odpowiedział.

- Wasza ekscelencjo, być może moje słowa, zabrzmiały mało wiarygodnie, ale wszystko wskazuje na to, że Oswaftowie posłużyli się najzwyklejszymi mikrofalami, tyle że niosącymi nieprawdopodobne ilości energii. Fakt ten wyjaśniałby także ich umiejętność przemieszczania się w nadprzestrzeni, ponieważ i to wiąże się z wykorzystywaniem

olbrzymich energii. Trzeba wziąć również pod uwagę fakt, że „Szarmancki” nie był chroniony przez siłowe pola. Zapewne należy złożyć to na karb czegoś, co wojskowi określają mianem „garnizonowej dyscypliny”. Moim zdaniem, jeżeli kadłub okrętu zostanie otoczony przez ochronne energetyczne pole, kapitan i załoga nie mają się czego obawiać. A teraz, jeżeli chodzi o drugie pytanie waszej ekscelencji. Nie istnieją przesłanki, aby przypuszczać, że Oswaftowie mogą być bardziej niż inne żywe organizmy odporni na promienie dezintegrujące, przyciągające, rozrywające czy też inną broń, jaką dysponują okręty floty.

Czarownik umieścił jedną dłoń w miejscu, gdzie pod zwojami ciemnoszarej tkaniny powinien znajdować się podbródek, po czym pogrążył się w zadumie. Klyn Shanga siedział na fotelu, palił cygaro i sprawiał wrażenie odprężonego. Stojący obok niego na baczność Whett wyglądał na zdenerwowanego.

- Jeszcze jedno, ostatnie pytanie, ottdeto - przemówił w końcu Gepta. - Jak sądzisz, ilu Oswaftów kryje się w tej mgławicy?

- Wasza ekscelencjo, nie można dowiedzieć się tego w bezpośredni sposób. Szacujemy, że od kilkuset milionów do kilku miliardów.

Renatazjanin wybuchnął śmiechem.

- Odkąd słowa „kilka” i „miliardów” mają prawo pojawiać się w jednym zdaniu, Gepto? - zakpił. - Zobaczysz, przygniotą okręty floty samym swoim ciężarem, a wówczas...

- Milczeć - odezwał się czarownik nadspodziewanie cicho i łagodnie. - Muszę chwilę się zastanowić. Ottdeto, porozmawiam z tobą trochę później, a na razie dziękuję ci za wszystkie informacje.

Drzwi zasyczały i rozsunęły się na boki, aby przepuścić uszczęśliwionego antropologa.

Gepta odwrócił się w stronę Shangi.

- Admirale, nie jesteś moim przyjacielem i kiedy ta akcja dobiegnie końca, już nigdy nie zostaniesz moim sojusznikiem. Doceniam jednak to, że powiedziałeś mi prawdę. No cóż, w takim razie postąpimy, jak proponowałeś. Twój podwładny - jak on się nazywa?

- pozostanie w więzieniu, dopóki nie znajdziemy się u wlotu mgławicy. Dopiero wówczas przekażę go pod twoją opiekę. Wierzę, że jak obiecywałeś, twoja eskadra pomoże mi w osiągnięciu zamierzonego celu.

Renatazjanin z wysiłkiem wstał i zdusił niedopałek cygara. Sięgnął po blaster, który mu wręczono, a potem umieścił go w kaburze i upewnił się, że daje się wyciągać bez żadnych przeszkód. Później ruszył do drzwi, ale w ostatniej chwili, zanim wyszedł, odwrócił się w stronę czarownika.

- Ja także nie czuję się w obowiązku wręczania ci bukietu kwiatów, staruszku, ale walczyliśmy przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi. A zatem, pozostaniemy z tobą i będziemy ci pomagali, dopóki go nie pokonamy. Będę chciał trochę później pogadać z tobą na ten temat.

Przeszedł przez próg i zniknął.

Nie okazując żadnym gestem, że zauważył zniknięcie dowódcy pilotów, Rokur Gepta jeszcze jakiś czas nie przestawał spacerować po pomieszczeniu. W pewnej chwili jednak, jakby podjął jakąś decyzję, wyraźnie przyspieszył kroku. Podeszedł do obrotowego fotela, usiadł i włączył kilka kamer. Następnie przycisnął jakiś guzik.

- Do nagrania i natychmiastowego przesłania dowódcom okrętów floty - rzucił oschle, zwracając się do niewidocznych techników. - Na mocy przyznanych mi uprawnień, wydaję rozkaz wstrzymania wszelkich działań zaczepnych z chwilą otrzymania niniejszego sygnału. Rozkazuję, żeby wszystkie okręty powróciły na poprzednie pozycje, jakie zajmowały, zanim wyruszyły do szturm na ThonBokę.

Odmowa albo próba uchylenia się od wykonania tego rozkazu, podjęta przez

jakiegokolwiek dowódcę, oficera czy przełożonego, zostanie ukarana odebraniem stopnia wojskowego i związanych z nim przywilejów, pozbawieniem czci i posiadanych dóbr, a także sprzedaniem w niewolę wszystkich członków rodziny do piątego stopnia pokrewieństwa włącznie. Sam sprawca zostanie okaleczony i zamęczony na śmierć, a jego zwłoki wystawi się na widok publiczny.

Tak rozkazuję ja, czarownik Tundów, Rokur Gepta.

Zwolnił przycisk i światelka kamer zgasły.

Później usiadł wygodnie na fotelu i stwierdził, że czuje się o wiele lepiej. Pomyślał, że owo posunięcie pozwoli mu zyskać trochę czasu - koniecznego na zastanowienie się, w jaki sposób rozwiązać konflikt istniejący między nim a Klynem Shangą. Może to dziwne, ale od tysięcy lat nie musiał się zmierzyć z żadnym godnym siebie przeciwnikiem. Nikt nie ośmielił się krzyżować jego planów ani stawać na drodze do nieograniczonej władzy. Dokądkolwiek się udawał, zawsze ludzie - czy to pojedyncze osoby, czy masy - nienawidzili go, bali się go, ale nie przestawali służyć mu, jak umieli.

Z wyjątkiem Landa Calrissiana.

A teraz także kogoś jeszcze niebezpieczniejszego niż wędrowny hazardzista, kogoś, kto nie wahał się uciekać do świadomych zniewag - Klyna Shang.

Najdziwniejszym aspektem tego konfliktu był jednak fakt, że on, Rokur Gepta, dziwnym trafem czuł się chyba lepiej niż kiedykolwiek.

## ROZDZIAŁ XII

Ottdefa Osuna Whett pograżył się w zadumie.

Mimo iż przebywał w stosunkowo bezpiecznej oficerskiej kajucie, którą mu przydzielono, nadal nie potrafił otrząsnąć się ze wstrząsu. Mógł uważać się za szczęściarza, że w ogóle przeżył. Zdarzało mu się widzieć innych ludzi, którzy ze spotkania z Geptą wracali złamani pod względem fizycznym albo psychicznym... zależnie od kaprysu przewrotnego czarownika. A przecież ich wina polegała jedynie na zameldowaniu o drobnej usterce mechanicznej jakiegoś urządzenia albo przekazaniu informacji, z którą Gepta nie chciał się pogodzić. Tymczasem on, Osuna Whett, znalazł się w samym środku kłótni, jaką zdradliwy staruch prowadził z niesubordynowanym sojusznikiem, barbarzyńskim Klynem Shangą, który z całą pewnością już niedługo przestanie być sprzymierzeńcem...

Antropolog ruszył przez ciasną kajutę w stronę pryczy i dopiero wówczas uświadomił sobie, że kiedy spiesząc na spotkanie z czarownikiem, opuszczał pomieszczenie, zapomniał schować ją w ścianie. A więc tak... Wciąż jeszcze, pomimo upływu tak długiego czasu, nie odzwyczaił się od korzystania z usług służącego. Pomyślał, że musi jak najszybciej pozbyć się tej słabości.

Szara wojskowa farba, którą pomalowano ściany kajuty, nie przestawała wprawiać go w przynębenie i to pomimo różnych ozdób - ceremonialnych masek, jaskrawych tarcz i egzemplarzy prymitywnej ręcznej broni - jakie powiesił w rozmaitych miejscach. Doszedł do wniosku, że musi się przekonać, jakie jeszcze inne przedmioty ma w bagażu, spoczywającym na dole, w jednej z ładowni. Zawieszenie ich na ścianach powinno nie tylko upiększyć małe pomieszczenie, ale również umocnić wiarygodność historii, jakie opowiadał.

Ściągnął cywilny kombinezon. Miał go na sobie, kiedy otrzymał rozkaz stawienia się przed obliczem groźnego czarownika. Wymięty teraz i przesiąknięty potem, po prostu cuchnął. Antropolog nie planował brać natrysku o tej porze, a nie miał czasu tego zrobić, kiedy ogólnie dostępne prysznice zaopatrywano w wodę. Dziękował teraz Jądru za to,

że przebywał pośród zbierający inteligentnych istot o tak różnych osobistych zwyczajach i fizjologicznych potrzebach. Dzięki temu wyposażenie oficerskich kajut w indywidualne urządzenia higieniczne i sanitarne - nawet na pokładzie tak po spartańsku urządzonego okrętu - uważano za coś niezbędnego, a nie luksusowego. Osuno Whett pomyślał, że mógłby trafić o wiele gorzej, na przykład gdyby został zakwaterowany w pomieszczeniu dla prostych marynarzy albo nawet rekrutów. Nie przydarzyłyby mu się to po raz pierwszy, jako że w ciągu długiej zawodowej kariery musiał udawać wiele różnych osób. Teraz jednak nade wszystko pragnął wziąć ożywczy natrysk. Udał się do mikroskopijnej łazienki i uczynił to w małym brodziku (umieszczonym tuż obok sedesu), mimo iż z prysznica ciurkała tylko odzyskiwana letnia woda. Kiedy uniósł głowę i popatrzył w lustro, ujrzał w odbiciu swoją twarz, skrzywioną ironicznym uśmiechem.

No cóż, udało mu się przeżyć i tym razem. Zawsze mu się udawało. Przeżycie wymagało jedynie umiejętności skrywania prawdziwej osobowości pod wieloma warstwami starannie przygotowywanych oszustw. Właśnie to stanowiło jedyny talent, z którego mógł być naprawdę dumny. Dzięki niemu mógł się spodziewać, że i z tej opresji wyjdzie cały i zdrowy.

Ten przeklęty android! To on był odpowiedzialny za wszystkie tarapaty, w jakie w ciągu ostatnich lat wpadał antropolog. Gepta i Shanga lecieli do Gwiazdogroty, nie kierując się niczym poza żądzą zemsty. Podjęli wyprawę z systemu Tundu - usytuowanego z jednej strony na obrzeżach cywilizowanej części galaktyki - do mgławicy znajdującej się na obrzeżach po przeciwnej stronie. Może zatem i on, soidisant ottdafa Osuno Whett, także mógłby zaspokoić własną żądzę zemsty, kiedy „Wennis” w końcu doleci do planowanego celu?

Rozchlapał letnią wodę po szczupłej, pociągłej twarzy, długiej szyi i kościstym torsie, a potem przejechał laserowym ostrzem po zarostie, myśląc o dawnych czasach.

Rzecz jasna, był wtedy młodszy i wyglądał zupełnie inaczej niż w tej chwili. Kiedy tamta historia dobiegła końca, zapragnął zmienić wygląd i kazał wszczepić po cztery centymetry kościomeru w każdą pieszczel, kość strzałkową i udową. Dążąc do tego, aby ciało wyglądało proporcjonalnie, pozwolił, aby o trochę mniej wydłużono także kości rąk. Nie zapomniał również o dodaniu jednego kręgu do stosu pacierzowego. Operacja sprawiła mu wiele bólu i zmusiła go do poświęcenia kilku miesięcy na przyzwyczajenie się do zmienionego sposobu chodzenia, siedzenia i leżenia. Prawdę mówiąc, nadal musiał oswajać się ze zmianami, jakie w jego ciele dokonała owa operacja. Wyglądał i poruszał się tak dziwnie jak osoba chodząca na szcudłach, ale cieszył się, ponieważ mógł być pewien, że w ten sposób nikt go nie rozpozna. Warto byłoby także wspomnieć, że schudł o czterdzieści kilogramów... zadziwiające, jak sam ten fakt przyczynił się do zmiany jego wyglądu zewnętrznego. Włosy na głowie posiwały same... a zresztą, któż by nie posiwał, gdyby wiedział, że naglej i męczeńskiej śmierci życzy mu jakiś miliard istot, nie ograniczających się do samych życzeń, ale starających się ze wszelką siłą ich spełnienie. A zatem, Osuno Whett pozostawił włosy w spokoju; zmienił tylko styl uczesania. To także miało służyć określonej roli, jakim było przeżycie w środowisku istot pragnących jego śmierci. I tak żył jakieś trzydzieści lat dłużej niż wynosiła średnia długość życia ludzi jego zawodu.

Woda z prysznica przestała ciurkać. Osuno Whett energicznie wytarł się jedynym ręcznikiem, jaki pozwolono mu zabrać w drogę. Później podniósł z podłogi przepocony kombinezon i przeszedł przez ciasną kajutę do niewielkiej, podzielonej na kilka części szafy, w której spoczywał jego podróżny neseser. Rzucił wymięte ubranie na dno szafy i wyjął czyste. Włożył je i wygładził zmarszczki, a potem wyciągnął z nesesera niewielkie elektroniczne urządzenie. Nie wypuszczając go z kurczowo, niemal rozpaczliwie



zaciśniętych sękatych palców, wrócił do rozłożonej prycky.

Położył się i umieścił urządzenie na poduszce, a następnie wyciągnął z niego cienki giętki przewód, za pomocą którego dołączył zakrywającą oczy wąską maskę. Później zbliżył dłoń do wielkiego zielonego guzika umieszczonego na boku plastikowej obudowy.

Ponownie pogrążył się we wspomnieniach.

Renatazja była takim uroczym systemem!

Pamiętał wszystko doskonale. System tworzyło osiem jędrnych planet radośnie okrążających żółte słońce. Owa średniej wielkości gwiazda znajdowała się w odległości zdumiewająco wielu parseków od granic liczącego milion gwiazdnych systemów potężnego galaktycznego Imperium. Wszystko wskazywało na to, że system został skolonizowany w zamierzczłych czasach, kiedy ludzkość dopiero poznawała tajniki międzygwiazdnych lotów. Stało się to tak dawno, że po tamtej wyprawie nie pozostały żadne ślady - czy to na planetach systemu, czy gdziekolwiek indziej w „cywilizowanej” części galaktyki. Rzecz jasna, ośrodek imperialnej władzy nie mógł zadowolić się panowaniem nad milionem systemów. Zapewne nie wystarczyłoby mu, gdyby administrował miliardem. Oznaczało to, że system Renatazji musiał zostać objęty zasięgiem centralnej władzy.

Renatazja Trzy i Renatazja Cztery mogły zostać przyrównane do drogocennych klejnotów, płonących w spokojnym i zagubionym na obrzeżach galaktyki diademie. Widziane z przestworzy, sprawiały wrażenie bogatych, żyznych i zielonych światów, zamieszkałych przez ludzi, którzy posługiwali się przedmiotami wykonanymi ze stali, tytanu i niektórych prostych polimerów. Mieszkańcy potrafili uzyskiwać z jąder atomów wystarczające ilości energii, aby zaspokoić potrzeby, i nie tylko dotarli do pozostałych sześciu światów, ale nawet skolonizowali je i zagospodarowali. Stwierdzenie to dotyczyło zarówno zamarzniętych i wyschniętych planet krążących w największych odległościach od słońca, jak i spieczonych i zwęglonych dwóch, okrążających je po najciaśniej- szych orbitach. Należy jednak przyznać, że mieszkali na jednych i na drugih, korzystając z pomocy uszczelnianych kopuł albo kryjąc się głęboko pod powierzchnią gruntu. Nie zdecydowali się na całkowite przeobrażenie klimatów, zapewne uważając - podobnie jak na wielu innych należących do Imperium światach - że takie rozwiązanie okazałoby się zbyt kosztowne.

Co prawda, nie wynaleźli na nowo jednostek napędowych umożliwiających latanie z prędkościami nadświatłymi, ale znali podstawy teoretyczne i prowadzili bardzo zaawansowane próby i badania. Nie rozwiązali po raz drugi problemów, dzięki czemu z pewnością udałooby się im skonstruować generatory ochronnych pól siłowych, a także promieni przyciągających, zgniatających, rozrywających i dezintegrujących. Fakt ten stwierdzili później - zakłopotani, ale i zachwyceni - dowódcy okrętów floty imperialnej Marynarki, którzy przekonali się na własnej skórze, że mieszkańcy Renatazji potrafią walczyć jak prawdziwe diabły. Prawdę mówiąc, nie czynili niczego innego przez całe tysiąclecia.

Stolicą krainy- państwa o nazwie Mathilda okazało się miasto noszące taką samą nazwę. Państwo zajmowało część drugiego co do wielkości kontynentu Renatazji Trzy. Przechwycenie prymitywnych, dwuwymiarowych elektronicznych sygnałów dźwiękowych i wizyjnych pozwoliło na ujawnienie faktu, że mieszkańcy posługują się bardzo zniekształconą wersją najpopularniejszego języka, jakim porozumiewano się w całej galaktyce. Fakt ten wykorzystano zresztą jako usprawiedliwienie późniejszej inwazji. Obywatele Mathildy zaliczali się do najzamożniejszych i najbardziej zaawansowanych pod względem rozwoju technicznego ludzi spośród wszystkich zamieszkujących inne rejony planety, a założone na pozostałych światach mathildańskie kolonie uchodziły za najliczniejsze i najlepiej rozwinięte.

Mieszkańcy krainy-państwa Mathildy - zresztą jak obywatele wielu innych krain- państw usytuowanych w północnej strefie umiarkowanego klimatu - rozwijali mniej więcej w równym stopniu przemysł i rolnictwo. Podobnie jak mieszkańcy wszystkich pozostałych krain- państw całego systemu, dawno zapomnieli, z jakiego rejonu galaktyki wywodzili się ich praprapraprzodkowie. Pisarze i naukowcy snuli przypuszczenia, co i kogo mogą spotkać przyszli gwiazdni badacze i podróżnicy, kiedy wyruszą na wyprawę w międzygwiazdne przestworza. Zastanawiali się także, czy na innych światach mogły rozwinąć się i żyć inteligentne istoty.

Pewnego razu, najzupełniej przypadkowo, przez system Renatazji przeleciał uszkodzony cywilny frachtowiec. Kiedy kapitan w końcu dotarł do macierzystego portu, żeby poddać swój statek niezbędnym naprawom, posłusznie zameldował władzom o odkryciu nowego zamieszkanego systemu. Fakt, że kapitan frachtowca nie zdecydował się pozostać długo na żadnej z planet, bardzo ułatwił zadanie pracownikom komórki wywiadu centralnego rządu. Postanowiono, że nawiązaniem oficjalnych kontaktów zajmie się najbardziej doświadczony wywiadowca. To znaczy otdefa Osuno Whett.

Jego stopień naukowy zawsze stanowił doskonałe uzasadnienie. Lepszym nie mógł się poszczycić żaden szpieg Imperium. Któż zaprzeczyłby, że nie istniało miejsce, do którego nie mogłby polecieć doświadczony antropolog, aby wtykać nos w najintymniejsze i najbardziej osobiste sprawy istot cywilizowanej rasy?

Zanim jednak wyruszył w drogę, przełożeni przydzielili mu, aczkolwiek wcale tego nie potrzebował, pomocnika. Okazał się nim dziwacznie wyglądający niewielki robot - z pewnością skonstruowany przez istoty obcej rasy - który stwierdził, że nazywa się Vuffi Raa. Oznajmił także, że leciał, transportowany w zamkniętym pudle, kiedy na jego frachtowiec napadła banda międzygwiazdnych piratów. Wskutek tego nie potrafił przypomnieć sobie, ani skąd pochodzi, ani kim są jego konstruktorzy. Whett był na tyle dobrym naukowcem - a do tego prawdziwym antropologem - że nieznajomość tak podstawowych informacji doprowadzała go do rozpacz. Nie uzyskał pomocy nawet ze strony funkcjonariuszy komórki wywiadu centralnego rządu. Jego zwierzchnicy oświadczyli, żeby nie zadawał głupich pytań i pomyślał o wykonywaniu rozkazów. Przystąpił zatem do ich wykonywania.

Przekonał się wkrótce, że pod wieloma względami Vuffi Raa jest idealnym pomocnikiem. Mały robot okazał się doskonałym osobistym lokajem, dysponował niezwykle pojemną pamięcią i był tak inteligentny, że w lot chwycił wszystkie niuansy i zawiłości kontaktów z obcymi cywilizacjami. Okazywał również całkowite posłuszeństwo - chociaż z jednym wyjątkiem. Osuno Whett nigdy nie zdołał przekonać współpracownika, żeby ten przestał nazywać go mistrzem.

Prawdę mówiąc, cała wyprawa zakończyła się niewiarygodnym powodzeniem. Ich niewielki, nie uzbrojony ładownik osiadł na frontowym trawniku oficjalnej rezydencji szefa rządu Mathildy. Powitano ich entuzjastycznie fanfarami, wygrywanymi przez wojskowe orkiestry, i honorowymi salwami, oddawanymi co kilka chwil przez doborowe oddziały żołnierzy. Wcześniej jednak antropolog przykazał Vuffiemu Raa, żeby android pokrył metalowe ciało warstwą przypominającej skórę wymyślnej substancji i wyglądał jak dziwaczna, ale niewątpliwie organiczna inteligentna istota.

Wydając takie polecenie, pomyślał, że może wówczas android będzie przypominał swoich konstruktorów. Jak galaktyka długa i szeroka, uważano, że roboty i androidy są zazwyczaj konstruowane na wzór i podobieństwo twórców. Wkrótce jednak antropolog musiał zaniechać wszelkich domysłów i przypuszczeń. I on, i robot musieli zająć się bieżącymi problemami.

Vuffiemu Raa przypadło w udziale udawanie przywódcy dyplomatycznej wyprawy. Mały

robot grał rolę posła - wysłannika bardzo, bardzo odległej gwiazdnej konfederacji, pragnącej przyjąć Renatażę w poczet członków. Ottdefa miał być jego posłusznym sekretarzem i pomocnikiem. Uważał, że w taki sposób odwróci od siebie uwagę - co narazi go na mniejsze nieprzyjemności. Dobrze wiedział, że władze zechcą się uciec do standardowej procedury, stosowanej w przypadku zamieszkanym, ale bezbronnych światów.

Ottdefa Osuno Whett, który leżał na rozkładanej pryczy w ciasnej oficerskiej kajucie wycofanego z czynnej służby krążownika „Wennis” - w tej chwili zdążającego do ThonBoki - na chwilę wyrwał się z zamyślenia i w końcu przycisnął zielony guzik urządzenia spoczywającego obok głowy. W tej samej chwili do mózgu napłynęła fala rozkosznego odprężenia, przesłana za pośrednictwem kości oczodołów. Po pierwszej pojawiła się druga, a po niej następna i następna... każda coraz słabsza, ale nie mniej kojąca. Antropolog wiedział, że gdyby korzystał z urządzenia dłuższy czas bez przerwy, zapadłby w głęboką drzemkę. Nie mógł sobie na to pozwolić, gdyż w każdej chwili mógł zostać ponownie wezwany przed oblicze straszliwego czarownika. Mimo to stwierdził, że fale odprężenia przynoszą prawie taką samą ulgę.

Przycisnął guzik po raz drugi.

Chociaż nie spodziewał się tego ani nie chciał, do mózgu napłynęła fala następnych wspomnień.

Po pierwszym okresie, nacechowanym niedowierzaniem i zakłopotaniem, jakich chyba nie sposób uniknąć w takich sytuacjach, obywatele Mathildy - podobnie jak mieszkańcy wszystkich planet systemu - polubili małego androida. Możliwe nawet, że jeszcze później go pokochali. Pozwalali mu przemawiać na posiedzeniach między-planetarnych konferencji. Zapraszali do przewodniczenia na oficjalnych bankietach. Fotografowali w towarzystwie bardzo skąpo odzianych osobistości telewizyjnych i filmowych. Nieszczęsny android musiał odrzucać propozycje przedstawicieli firm, którzy pragnęli, aby reklamował ich towary albo usługi. Mimo to od pierwszych dni zaczęły się pojawiać w sklepach miniaturowe podobizny pięciomackiego robota, a ich przedsiębiorczy producenci zbijali fortuny.

Tymczasem niski, pulchny ciemnowłosy ottdefa Osuno Whett dokonywał obserwacji i ukradkiem rejestrował wszystko, co możliwe. Oceniał i korygował oceny wad i zalet renatażańskiej gospodarki. Badał skuteczność sił obronnych systemu, ponieważ właściwie od samego początku przyjęto jako pewnik, że inwazja zjednoczy podzielone i skłócone społeczeństwo Renatażi. Whett wołałby wykorzystać te różnice i pozwolić, żeby doprowadziły do samounicestwienia systemu, ale dowódcy floty nie zamierzali zawracać sobie głowy takimi drobnostkami. Prawdę mówiąc, szefowie renatażańskich sztabów czynili pewne starania, aby ograniczyć dostęp obu przybyszów do najważniejszych wojskowych baz i instytucji. Nie wzięli jednak pod uwagę faktu, że technika urządzeń szpiegowskich Whetta wyprzedzała o setki lat technikę, jaką mieli do dyspozycji funkcjonariusze renatażańskiego kontrwywiadu.

Mimo iż ciało Whetta spoczywało na pryczy w oficerskiej kajucie „Wennisa”, umysł przenosił antropologa w inny czas i miejsce. Dłoń nie oddalała się od guzika elektronicznego urządzenia uspokajającego... podobnie jak wówczas, kiedy przebywał w małej kabinie lądownika, nie oddalała się od guzika na pulpicie panelu komunikatora. Naukowiec wiedział, że naciśnięcie tamtego guzika spowoduje przesłanie wszystkich zebranych informacji i da sygnał Marynarce do rozpoczęcia inwazji.

- No cóż, robocie - odezwał się wtedy do mechanicznego towarzysza. - Nadeszła wielka chwila! Chwila, która na zawsze zmieni historię Renatażi...

- Zakończy historię tego systemu, proszę pana, a nie zmieni - poprawił go android.

Whett siedział na fotelu przeznaczonym dla pasażera, a lądownik spoczywał w pobliżu hotelu, w którym zostali zakwaterowani. Częste przebywanie we wnętrzu kapsuły uzasadniali obaj tym, że Vuffi Raa, pragnąc przeżyć w obcym (dla niego) środowisku Renatazji Trzy, musi przyswajać określone substancje odżywcze i mieszaniny gazów. Co prawda, renatazjańscy wojskowi myśleli o zarekwirowaniu i zbadaniu kapsuły - myśli wojskowych chyba całego wszechświata podążają niezmiennie takimi samymi torami - ale sprzeciwił się temu szef mathildańskiego rządu. Zapewne doskonale zdawał sobie sprawę z ogromu popularności, jaką cieszyli się niezwykle goście.

- Masz pietra? - zapytał antropolog. - Ty, android? Dlaczego wcześniej tego nie powiedziałeś?

Whett był zirytowany. Automat nie pozwalał mu napawać się odniesionym triumfem. Mimo to mógł go za to winić. Przecież robot powiedział prawdę... a zresztą, nie potrafiłby powiedzieć niczego innego. Po upływie zaledwie kilku dni od naciśnięcia guzika, historia Renatazji naprawdę miała dobiec końca.

- Jestem androidem, proszę pana, i moim obowiązkiem jest wykonywanie rozkazów. Doszedłem do wniosku, że pana wypowiedź wymaga komentarza, i to wszystko.

Vuffi Raa spoczywał na fotelu pilota. Wszystkie macki sprawiały wrażenie odprężonych, a wielkie oko płonęło słabym blaskiem, widoczne nawet mimo wpadającego do kapsuły przyćmionego oświetlenia betonowej płyty hotelowego parkingu.

- Proponuję, żebyś nadal nazywał mnie mistrzem, robocie.

- Przykro mi, proszę pana. Moje oprogramowanie nie przewiduje stosowania się do takich poleceń.

Nie potrafiąc się opanować, Whett przycisnął kciukiem guzik komunikatora. Na pulpicie panelu zapłonęła pojedyncza bursztynowa lampka, ale nie pojawił się żaden inny znak, który mógłby zaświadczyć, co się stało. A wydarzyło się coś, od czego nie było odwrotu.

Rubinowe oko Vuffi Raa ściemniało tak bardzo, że niemal zgasło - zupełnie jakby energia konieczna do przesłania zdradzieckich informacji została pobrana z wewnętrznych zasobników androida.

Dokładnie jak przewidywał Osuno Whett, kilka następnych dni przypominało prawdziwe piekło. Na obrzeżach systemu pojawiły się okręty floty - na tyle blisko, aby mogły zostać wykryte przez czujniki systemów obronnych. Dowódcy okrętów pozwolili nawet, żeby renatazjańscy wojskowi wystrzelili w ich stronę kilka prymitywnych rakiet z głowicami termonuklearnymi. Pragnęli w taki sposób udowodnić, że wszelki opór jest bezcelowy. Osłony okrętów na krótko rozjarzyły się i zamigotały, a potem pochłonęły energię strzałów, co uzupełniło zapasy uszczuplone w wyniku podróży do systemu. I to właściwie byłoby wszystko. Prawie.

Na nieszczęście dla Marynarki i dysponujących nowoczesnym uzbrojeniem agresorów wszystkich innych miejsc i czasów, inwazja nie zawsze udaje się w pełni, nawet gdy używa się broni niszczących całe kontynenty czy atakuje spoza osłony potężnych pól siłowych. A przynajmniej nie wówczas, jeżeli celem ma być unicestwienie przeciwników. Ani wtedy, gdy zamierza się zawładnąć tym, czym dysponują: surowcami, produktami żywnościowymi, niektórymi wyrobami przemysłu, a także tanią siłą roboczą zniewolonych obywateli. Tak więc, kiedy dowódcy i załogi okrętów imperialnej floty, chronieni przez siłowe pola, pozostawali na obrzeżach Renatazji, dziewięćdziesiąt trzy procent żołnierzy wchodzących w skład pierwszej grupy szturmowej poległo, bezlitośnie zmasakrowanych przez rozjuszonych obrońców. Jak przewidywano, mieszkańcy systemu zjednoczyli się i odparli atak, dysponując jedynie toporną chemiczną bronią palną, stacjonarnymi laserami, trującymi gazami, pałkami i maczugami, rzeźniczymi toporami i tasakami,

a także gołymi pięściami. W taki sam sposób zginęło osiemdziesiąt siedem procent żołnierzy należących do drugiej grupy, która przecież wiedziała, czego może oczekiwać. Trzecia grupa szturmowa straciła siedemdziesiąt jeden procent składu osobowego, podobnie jak czwarta i wszystkie następne. Wyglądało na to, że Marynarka odniesie chlubne zwycięstwo, ale zapłaci za nie strasliwą, nieprawdopodobnie wysoką cenę. Po jakimś czasie od chwili rozpoczęcia inwazji, na niebie zaczęły się pojawiać przylatujące w odstępach godzinowych wojskowe transportowce z posiłkami.

Osuno Whett i Vuffi Raa ukryli się wkrótce po tym, kiedy dali sygnał do rozpoczęcia inwazji. Mimo to, ścigani i poszukiwani po całej powierzchni planety, musieli przenosić się z miejsca na miejsce, bowiem nieustępliwi tubylcy raz po raz uniemożliwiali im dołączenie do uzbrojonych i umundurowanych ziomków.

W końcu i naukowiec, i mały robot zostali odnalezieni przez mocno przetrzebiony oddział imperialnych żołnierzy, stanowiący smętne resztki trzeciej grupy desantowej. Dopiero wtedy mogli schronić się w zacisznym wnętrzu jakiegoś wahadłowca, którym odlecieli na pokład szturmowego krążownika. Przedtem jednak przyglądali się bezlitosnej rzezi dwóch trzecich ludności Renatazji. Przeżyli, ale widzieli koszmarnie sceny, które odąd miały prześladować ich - w dzień i w nocy - przez resztę życia.

Leżący w kajucie „Wennisa” Osuno Whett ponownie przycisnął guzik elektronicznego urządzenia uspokajającego.

Fale odprężenia - ale niestety, nie zapomnienia - jeszcze raz przeniknęły napięte i udręczone ciało antropologa. Mimo to z oczu mężczyzny popłynęły łzy. Naukowiec pomyślał, że rzadko odczuwał coś takiego. Na ogół darzył wszystkich pozostałych przy życiu mieszkańców Renatazji niechęcią, a czasami prawdziwą nienawiścią. Nie potrafił ukryć przed samym sobą, że się ich obawia. Już dawno przestał odczuwać wstyd, żal czy coś, co mógłby określić mianem wyrzutów sumienia. Od dawna, bardzo dawna nie widział żadnego Renatazjanina. Poczuł się uszczęśliwiony, kiedy w końcu zwierzchnicy rozkazali mu, żeby „pozbył się” robota - który nie tylko nieustannie przypominał mu o tamtych czasach, ale stanowił wyraźny ślad, na który w każdej chwili mogli wpaść żądni zemsty prześladowcy. Otrzymał polecenie, żeby przyszłym właścicielem Vuffiego Raa został pewien wędrowny hazardzista, niejaki Lando Calrissian. Aby nowy właściciel nie powziął jakichkolwiek podejrzeń, miał go otrzymać podczas zawczasu ukartowanej gry w sabaka.

Udało się to zrealizować dopiero w systemie Oseona, ale mimo to sprawy nie przybrały pomyślnego obrotu. Nie spełniły się nadzieje ani zwierzchników antropologa, ani czarownika Rokura Gepty, który osobiście dowodził oddziałami dokonującymi inwazji na Renatację.

Teraz, przebywając sam na sam ze swoimi myślami i wspomnieniami, Whett uświadomił sobie, że leci do ThonBoki, kierując się czymś więcej niż tylko żądzą zemsty. Podążał do mgławicy, ponieważ musiał się upewnić, że mały robot zostanie wreszcie doszczętnie zniszczony. Pod wieloma względami stanowił niebezpieczne ogniwo wiążące antropologa z niechlubną przeszłością. Naukowiec musiał także być pewnym, że zginie również Lando Calrissian, który bez trudu mógłby skojarzyć jego zmieniony wygląd zewnętrzny z małym androidem.

Ponieważ widział Whetta już po dokonaniu operacji, zasiadł z nim do sabaka i wygrał od niego małego androida.

No cóż, a zatem Gepta pragnął śmierci wędrownego hazardzisty. Shanga dążył do unicestwienia Vuffiego Raa, ponieważ nie wiedział, że prawdziwym sprawcą wszelkich nieszczęść jest rzekomo nieszkodliwy naukowiec, z którym spotykał się niemal codziennie, zanim doszło do inwazji. Ów naukowiec musiał zatem doprowadzić i do śmierci Landa

Calrissiana, i do zniszczenia robota.

A jednak, mimo iż od tamtych wydarzeń upłynęło tyle czasu, Whett nie przestawał dziwić się i zastanawiać. Bardzo pragnąłby się dowiedzieć, skąd właściwie pochodził ten przeklęty android.

## ROZDZIAŁ XIII

Ten przeklęty android podrapał się po czubku głowy.

- Zawdzięczamy życie polityce, mistrzu? - zapytał. - Nie jestem pewien, czy cię dobrze zrozumiałem.

Prawdę mówiąc, podrapanie się po czubku głowy polegało na muśnięciu czubkiem macki wierzchołka pięciobocznego lśniącego torsu. Vuffi Raa nie miał przecież niczego, co dałoby się określić mianem głowy. Mimo to znaczenie owego gestu, który musiał podpatrzeć u jakiejś istoty ludzkiej, nie mogło być bardziej zrozumiałe. Jak zwykle, mały robot zastanawiał się, czy obcowanie z istotami ludzkimi wyjdzie mu na korzyść, czy nie.

- No cóż, rozumiesz chyba, że to tylko przypuszczenia - odrzekł młody hazardzista. - Wygląda jednak na to, że zakrojona na tak wielką operacja wojskowa jak ta przeklęta przez Obrzeża blokada mgławicy - zwłaszcza zarządzona w absolutnej tajemnicy - stwarza ogromne możliwości wszystkim, którzy mają coś przeciwko kierującym nią chłopakom. Lando wyłuskał cygaro z miejsca, gdzie je przytwierdził do blatu warsztatowego stołu. Głęboko się zaciągnął i wypuścił kłęb dymu, a potem - obawiając się, by w pomieszczeniu o zerowym ciśnieniu nie uniosło się w powietrze - znów wcisnął boki w grudkę gumy do żucia.

- Czy chcesz, żebym podał ci ten klucz płaski, Vuffi Raa, czy może wolisz tamten nastawny?

Robot skierował na swojego właściciela wielkie oko. Przycupnął na pokładzie, ale nie zapomniał o wsunięciu końca jednej macki pod blat stołu - ze względu na bezpieczeństwo i konieczność zachowania równowagi w pozbawionym ciężarzenia pomieszczeniu. Lando, oparty o skrzynkę z narzędziami, pomagał mu w pracy. Obaj zdjęli pokrywę technicznego szybu i mały robot zaglądał teraz w głąb mrocznej czeluści, wypełnionej całkowicie i częściowo sprawnymi mechanizmami i podzespołami.

- Wolę tamten nastawny, mistrzu - odparł. - Dokonałem prowizorycznej naprawy tych urządzeń zaraz po tym, jak wzmocniłeś ochronne pola, kiedy przebywaliśmy w systemie Oseona. Dysponujemy jednak tylko częściami zapasowymi, które udało się nam kupić na Ringneldzie, a przecież wszystkie tamtejsze podzespoły wykonano w standardzie będącym wielokrotnością średnicy jakiegoś miejscowego ziarnka grochu albo fasoli.

Vuffiego Raa martwiło nie samo nieoczekiwane wycofanie się okrętów obłężniczej floty ani nawet nie fakt uśmiercenia przy tej okazji kilku tysięcy Oswaftów. Mimo iż naprawdę nie wiedział, a raczej zapomniął, skąd pochodzi i kim byli jego konstruktorzy, na podstawie obserwacji potrafił wyciągać logiczne wnioski. Prawdziwy kłopot w tym, że czasami niektóre stały w jaskrawej sprzeczności z pozostałymi. Bieg obecnych wydarzeń wiódł go coraz szybciej do osobistego kryzysu wynikającego z owych sprzeczności. Nie była to sytuacja, w której chciałaby się znaleźć jakakolwiek inteligentna istota - a tym bardziej wieloczynnościowy robot drugiej klasy.

Vuffi Raa odłączył jedną mackę i nakazał, aby podażyła do ukrytych gdzieś głęboko w trzewiach „Sokoła Millenium” sterburtowych pomp obiegu reagenta. Urządzenia nie przestawały funkcjonować prawidłowo, ale gdyby spóźniły się choć ułamek sekundy,

frachtowiec - zamiast zniknąć w bezpiecznej nadprzestrzeni - usmażyłby się, trafiony celnym strzałem „Szarmanckiego”. A w sytuacji, kiedy byli jedynym gwiazdnym statkiem w całej ThonBoce mogącym stawić czoło oblężniczej flocie, tolerowanie najdrobniejszych usterek po prostu się nie opłacało. Owe pompy współpracowały nie tylko z jednostkami napędowymi - co już samo w sobie świadczyło o ich znaczeniu - ale także z generatorami ochronnych pól siłowych. Jeżeli zaś ani Vuffi Raa, ani Lando nie chcieli tanio sprzedawać swojej skóry, musieli wykorzystywać wszystko, co mogło zapewnić im choćby najmniejszą przewagę.

Hazardzista pochylił się nad mrocznym otworem. Chciał przekonać się, jak radzi sobie samotna macka, która wpelzła pod płyty pokładu i zniknęła.

— Na przykład - ciągnął po chwili - z pewnością pojawi się grupa, której członkowie — niezwykle głośno i jak najbardziej zasadnie - będą utrzymywali, że nie wypowiedziana wojna z Os- waftami oznacza po prostu istotobójstwo. Będą się domagali jej przerwania, mimo iż sami nie mieliby nic przeciwko niej, gdyby to oni ją rozpoczęli. Inni natomiast, głoszący umiarkowane poglądy, oświadczają, że sami podjęliby się wykonania zadania i uczyniliby to o wiele lepiej i taniej. Znajdą się też i tacy, którzy uznają całą akcję za idącą nie dość daleko albo świadczącą o niezdecydowaniu i przesadnej wrażliwości. Żądają, aby dowódca floty, nie opuszczając bezpiecznych pokładów swoich okrętów, rzucił kilka rozrywaczy planet. Zapewne tym ostatnim ludziom zawdzięczamy owe kilka chwil wytchnienia przed prawdziwą burzą.

Mimo iż Vuffi Raa wiedział, że jego słowa zabrzmiały trochę cynicznie, nie potrafił powstrzymać się od odpowiedzi.

— Ależ, mistrzu, w całej ThonBoce nie uświadczysz ani jednej planety, którą dałoby się rozerwać, dzięki niech będą galaktycznemu Jądru.

— Podziękuj raczej tym trzem małym błękitnawobiałym słońcom za to, że żadnej nie potrafiły przyciągnąć - odparł hazardzista. - Masz rację, tym bardziej że rozrywanie planet mogłoby strasznie utrudnić życie naszym przyjaciółom, Oswaftom. Nie mówiąc już o mnie i o tobie. A poza tym, musisz wiedzieć, że w walce o międzygwiazdną władzę najbardziej liczą się nie osiągnięte rezultaty, ale gesty i pozory. Od dawna podejrzewałem, że właśnie to jest głównym powodem, dla którego cywilizacje rodzą się i upadają. A zwłaszcza upadają. Lepiej spróbuj wyregulować tamten silni- czek manewrowy, dobrze? Wydawało mi się, że słyszałem, jak łopatki wirnika trochę ocierają się po tym, jak ostatnio poprawiałeś ich położenie.

Odkleił cygaro i znów zaciągnął się aromatycznym dymem.

Następna macka ze szczękiem odłączyła się od pięcioboczne- go torsu Vuffiego Raa i wijąc się po płytach pokładu, popelzła do sterowni, żeby sprawdzić wskazania mierników i czujników. Widocznie android doszedł do przekonania, że problem może wynikać z usterki jednego z kontrolnych przyrządów, a nie samego podzespołu. Wówczas naprawianie czegoś, co działa absolutnie prawidłowo, nie miałoby sensu.

Koniec każdej z pięciu macek robota, zazwyczaj wyglądający jak łagodnie zaokrąglony szpikulec, w razie potrzeby mógł rozszczepiać się na pięć cienkich palców. Pośrodku takiej „dłoni” widniała miniaturowa podobizna ogromnego rubinowego oka, usytuowanego dokładnie pośrodku torsu. Dzięki temu android mógł oglądać to samo, co widzą jego macki. Umiejętność ta, podobnie jak zdolność odłączania macek i nakazywania im, aby zajmowały się indywidualnymi czynnościami, raz po raz zmuszała Vuffiego Raa do zastanawiania się, kim mogli być jego konstruktorzy.

Musieli być bardzo mądrzy, aczkolwiek istniały przesłanki, dzięki którym mały android mógł dojść do zupełnie innych wniosków. Oto przygotowywał gwiazdny statek swojego właściciela do walki, w której on sam nie odważyłby się wziąć udziału. Kiedyś, we wczesnym

okresie świadomego istnienia, zdecydował się na przeprowadzenie eksperymentu. Wbrew najbardziej podstawowym i najgłębiej zapisanym regułom oprogramowania, postanowił wziąć udział w pewnej walce. W wyniku tego zapadł w trwającą niemal cały miesiąc śpiączkę. Mały robot wiedział, że jest mądry. Potrafił ukrywać się i uciekać. Pod względem fizycznym był niezwykle wytrzymały. Mógł sprzymierzać się z osobnikami pokroju Landa Calrissiana — nie cofającymi się przed popełnianiem aktów przemocy, żeby chronić siebie i swojego mechanicznego partnera, to znaczy jego. Vuffi Raa wszakże nie potrafiłby skrzywdzić żadnej inteligentnej istoty - czy to organicznej, czy też elektromechanicznej. To wszystko po prostu nie miało sensu. Mały android był dumny z tego, że jest wyjątkowo cennym automatem. Prawdę mówiąc, cenniejszym nawet niż gwiazdny statek, którego naprawami właśnie się zajmował. A zatem, kierując się czysto rynkowymi przesłankami, miał obowiązek chronić własne życie. Każdy, usiłujący mu je odebrać, okazywał tym samym, że jest mniej cenny - a przynajmniej pod względem moralnym, ponieważ branie jakichkolwiek innych względów pod uwagę chyba nie miałoby żadnego sensu.

Vuffi Raa odłączył trzecią mackę od metalowego torsu i polecił jej, żeby sprawdziła stan pokładowych systemów uzbrojenia. Miała zwrócić szczególną uwagę na gotowość do walki czterolufowych działek, z których Lando był taki dumny. „Sokół Millenium” zawsze wyglądał jak kolczaste stworzenie, najeżone lufami najróżniejszych działek, ale dysponował jedynie dwuosobową załogą, przy czym jedna istota była pacyfistą. Oznaczało to, że należało w jakiś cybernetyczny sposób sprzęgnąć systemy uzbrojenia, aby było możliwe coś w rodzaju automatycznego sterowania.

Tymczasem w ciągu krótkiego okresu ciszy, jaki nastąpił po odwróceniu floty, mogli najwyżej zacząć zajmować się tym problemem.

Vuffi Raa zauważył jednak, że jego zasady moralne mogły być do pewnego stopnia naciągane. Na przykład, mógł zajmować się przygotowaniami frachtowca do walki, dobrze wiedząc, że walka oznacza uciekanie się do aktów przemocy. Co więcej, pilotując „Sokoła”, manewrował nim w taki sposób, żeby ułatwić hazardziście namierzanie i uśmiercanie wrogów.

Jakież to niesamowite - pomyślał mały robot. - Kto skonstruował mnie w taki sposób? I co właściwie chciał przez to osiągnąć?

- Na miłość Jądra, Obrzeży i wszystkiego, co pomiędzy nimi! - wykrzyknął Lando. - Na cóż oni czekają?

Siedział przy stoliku i nie zwracając uwagi na obserwującego go Vuffiego Raa, czyścił rozłożony na części pięciostrzałowy paralizator. Prawdopodobnie pragnął w taki sposób jeszcze lepiej przygotować się do walki, ale zapewne nie uświadamiał sobie, że miniaturowy pistolet w niczym mu nie pomoże. Obaj przebywali w świetlicy, w której siła ciężenia miała normalną, to znaczy dużą wartość. Robot uznał to za zły znak. Wiedział, że jego właścicielowi najlepiej myśli się przy wyłączonej grawitacji.

- Na kogoś innego, kto ma tu przylecieć - rozległ się nienaturalny, elektronicznie syntetyzowany głos. Słowa stanowiły tłumaczenie myśli Lehesu, widocznego na ekranie monitora, który zainstalował w świetlicy mały robot. W rzeczywistości młody Oswaft unosił się w przestworzach niedaleko „Sokoła Millenium”. Zważywszy na jego rozmiary, a także wymogi środowiska, w jakim mógł żyć Calrissian, taką sytuację należałoby uznać za najbliższą zwykłej rozmowie tej trójki.

- Co takiego?

Lando podskoczył jak użądłony i przerwał czyszczenie części pistoletu. Na chwilę znieruchomiał z uniesioną nad stołem ręką, z której nie wypuścił przesiąkniętej rozpuszczalnikami miękkiej szmatki. Skulił się, jakby ktoś wymierzył mu cios w brzuch. Później wstał. Poruszając się w zwolnionym tempie, odwrócił się i powoli stawiając



kroki, podszedł do monitora. Zamarł, kiedy niemal dotknął nosem powierzchni ekranu. Z nie do końca wyczyszczonej lufy broni ściekały na podłogę krople łatwopalnego rozpuszczalnika.

- Na kogo? - zapytał, kierując te słowa pod adresem podobnego do wielkiej płaszczki stworzenia. - I skąd, u diabła, możesz to wiedzieć?

W żrenicach hazardzisty płonęły dziwne ogniki. Mimo to nawet Vuffi Raa, od dawna doskonale znający usposobienie właściciela, nie odważyłby się zgadnąć, co mogą oznaczać w tej chwili.

- Ależ, Lando, to przecież bardzo proste - odrzekł Lehesu tonem skrzywdzonego niewiniątka. - Czekają na kogoś, kto nazywa się Wennis.

Włożył wiele wysiłku, żeby nauczyć się prawidłowej interpretacji wyrazów twarzy i tonów głosu istot ludzkich. I jedno, i drugie odbierał w mózgu, wychwytyjąc wysyłane przez pokładowy komunikator elektromagnetyczne fale, za pomocą których można było przekazywać dźwięki i obrazy. Zaniepokoił się, ponieważ wszystko wskazywało na to, że jego przyjaciel Lando rozgniewał się na niego.

- A teraz, skąd to wiem - ciągnął po chwili. - To praktycznie jedyna rzecz, o jakiej tamci teraz rozmawiają. Czyżbyś tego nie słyszał? Kiedy przyleci tu Wennis, ma wydarzyć się coś bardzo ważnego. Ktoś inny, nazywany Plotką, utrzymuje jednak, że...

- Och, moje uszkodzone kompensatory gęstości ochronnych pól siłowych!

Mały robot zauważył, że wyraz twarzy jego właściciela uległ metamorfozie. Zupełnie jak przy zmianie waloru karty- płytki do gry w sabaka, zaintrygowanie ustąpiło miejsca rozdrażnieniu, a potem zachwytowi. Hazardzista odwrócił się i w dwóch susach pokonał odległość dzielącą go od stolika, po czym opadł na wygodny fotel. Poszperał w kieszeniach kombinezonu i wyciągnął cygaro.

- Nie, Lehesu, nie słyszę tego - odparł niemal radośnie. - Już kiedyś ci to tłumaczyłem, nie pamiętasz? A nawet, gdybym słyszał, niczego bym nie zrozumiał. Vuffi Raa również potrafi „słyszeć” radiowe sygnały, ale tamci są wojskowymi i szyfrują je tak, żeby nie zrozumiał nikt, kto ośmieliłby się podsłuchiwać.

Zapalił cygaro, widocznie zapominając, że ma całe dłonie poplamione rozpuszczalnikami.

- O rety! - wykrzyknął nie na żarty zmartwiony Lehesu. - Czy to znaczy, że dopuściłem się czegoś nieetycznego? Jeżeli tak, zaraz przestanę...

Lando natychmiast wyprostował się na fotelu i wyciągnął rękę z cygarem. Skierował je ku ekranowi, zupełnie jakby mierzył z pistoletu.

- Niczego takiego nie zrobisz! Nie możesz uczynić niczego nieetycznego, jeżeli masz do czynienia z takimi łajdakami. Z filozoficznego punktu widzenia to po prostu niemożliwe! To ja przygotowuję się, żeby zginąć bohaterską śmiercią, a ty, jakby od niechcenia, oświadczasz, że jednak mamy szansę przeżyć! Na Jądro! Vuffi Raa, stary korkociąg, otwórzmy butelkę czegoś dobrego i... JAUC!

Ujrawszy, że z jego palców strzelają błękitnawe płomyki, hazardzista zerwał się z fotela i wymachując rękami w powietrzu, zaczął biegać po świetlicy. Nie wahając się ani chwili, Vuffi Raa wyprostował mackę w taki sposób, że krzyczący Lando rozciągnął się na płytach pokładu. Android zerwał jakąś wiszącą na ścianie świetlicy zapomnianą kurtkę, po czym narzucił ją na dłonie swojego właściciela i przytrzymał, by uniemożliwić dopływ powietrza. Płomienie zgasły.

- Co się stało? - napłynął zaniepokojony głos z wnętrza monitora. - Czy jesteś cały i zdrowy?

- Za chwilę będę, tylko nauczę się, żeby nie igrać z ogniem - odparł Lando, siadając

na płytach pokładu. Skrzywił się, gdy Vuffi Raa odwijął kurtkę. Stwierdził jednak, że dłonie, chociaż zaczerwienione, nie zostały poparzone. Android wyszedł ze świetlicy, ale po chwili wrócił, niosąc pojemnik z płynną plaskórą. Pokrył obie dłonie hazardzysty cienką warstwą, a potem zaczekali, aż wyschnie i przemieni się w elastyczną błyszczącą powłokę.

Zadowolony Calrissian kilka razy zgął i rozprostował palce.

- Niewiele brakowało, stara przeciwpożarowa gaśnica - westchnął. - Gdyby nie twoja przytomność umysłu, musiałbym rozglądać się za innym zawodem. A gdyby nie ten płyn...

Widząc, że palce są zupełnie suche, sięgnął po pojemnik z plaskórą. Uniósł go do oczu, zmarszczył brwi i jakiś czas mu się przyglądał. Później pomógł Vuffiemu Raa sprzątnąć bałagan, jakiego narobił w świetlicy, czyszcząc paralizator, ale nie przestał wyjaśniać młodemu Oswaftowi, co się stało. Ton jego głosu wskazywał jednak, że robi to machinalnie, jakby myślał o czymś zupełnie innym. Mały robot znał swojego pana na tyle dobrze, aby wiedzieć, że w głowie Calrissiana rodzi się jakiś nowy pomysł.

Kiedy sprzątanie świetlicy dobiegło końca, uparty hazardzista udał się w przeciwny kąt, dokąd poszybowało odrzucone cygaro. Podniósł je i zapalił na nowo, po czym opadł na wygodny fotel i przez pełną godzinę siedział, nie odzywając się ani słowem. W tym czasie Vuffi Raa rozegrał z Lehesu kilka partii sabaka - rzecz jasna, korzystając - jak poprzednio - z pomocy pokładowego komunikatora „Sokoła”. Dobrze wiedział, że w takich sytuacjach Lando nie lubił, by mu przeszkadzano. Mały android nie potrafił wymyślić niczego nowego i podobnie jak jego właściciel pogodził się z bliską śmiercią - pod warunkiem, że przy okazji zginie również jak najwięcej nieprzyjaciół.

Dziwna rzecz, te akty przemocy - pomyślał, obserwując, jak komputer zmienia walor „jego” karty- płytki z Dowódcy szabel na asa manierek. Pragnąc uchronić Landa Calrissiana przed bolesnym poparzeniem, dopuścił się względem niego właśnie takiego aktu. Mimo to oprogramowanie nie zaprotestowało - a przynajmniej nie wysłało sygnału, który musiałby uznać za wyrzuty sumienia. A jednak, gdyby jego właścicielowi usiłowała wyrządzić krzywdę jakaś obca istota, nie mógłby uczynić nic, by jej w tym przeszkodzić. Mały robot doszedł do przekonania, że z pewnością kryła się w tym jakaś tajemnica. Możliwe także, że jego oprogramowanie zawierało jakieś błędy.

Tak czy owak, zaczynał się tym coraz bardziej niepokoić.

- „Wennis” jest gwiazdowym okrętem, Lehesu, podobnie jak „Sokół” — odezwał się godzinę później Lando. Zerknął na talerz z parującym jedzeniem, przyrządzonym przez jeden z pokładowych automatów.

- To samo powiedział mi Vuffi Raa - napłynęła odpowiedź z głośnika monitora. - Muszę przyznać, że trudno mi to zrozumieć.

- No cóż, postaraj się zrozumieć - odparł młody hazardzista. - „Wennis” jest osobistym jachtem czarownika Tundów, niejakiemu Rokura Gepty. Spotykaliśmy się z tym gościem już dwa razy, ale nie mogę powiedzieć, żebym go polubił. Teraz wszakże, kiedy wiem, że ma z tym wszystkim coś wspólnego, cała historia z blokadą zaczyna nabierać sensu. Przekonasz się, że kiedy przyleci, bardzo szybko zawieszenie broni dobiegnie końca.

Calrissian uczynił wysiłek, by się nie wzdygnąć. Doskonale pamiętał wszystko, co wydarzyło się podczas poprzednich konfrontacji. Kiedy natknął się na czarownika na jednej z asteroid systemu Oseona, Gepta uwięził go i posługując się wyjątkowo paskudnym i skomplikowanym elektronicznym urządzeniem, wzmacniał wszystkie nie mile wspomnienia, jakie mógł znaleźć w jego mózgu. Potęgował je i przeciągał, zdawać by się mogło, w nieskończoność - a przynajmniej tak długo, że Lando omal nie oszalał. Uratowała go dopiero nieoczekiwana interwencja Klyna Shangiego, który pragnąc się

zemścić na Vuffim Raa, zaatakował asteroidę. Nieco później i hazardzista, i android ocalili Renatazjaninowi życie. Wyciągnęli go z wraka małego myśliwca, po czym przekazali w ręce władz innego systemu. Ileż to razy obaj zastanawiali się, co się z nim stało?

- No cóż, tak czy owak, wydaje mi się, że wpadłem na pewien pomysł - ciągnął hazardzista.

- Jeżeli ktoś chce wygrać wojnę, nie zawsze musi pokonywać swoich wrogów. Czasami wystarczy, jeżeli sprawi, że dalsze prowadzenie walki stanie się dla nich tak kosztowne, iż sami zrezygnują i odlecą.

- Nic nie wiem na ten temat - odparł młody Oswaft - ale to, co mówisz, ma sporo sensu.

- Jasne - przyznał zadowolony z siebie hazardzista. - Niedawno wyjaśniałem Vuffiemu Raa, że znajdzie się wiele osób, sprzeciwiających się kontynuowaniu tej blokady. Już teraz jest bardzo kosztownym przedsięwzięciem, a zatem musimy tylko sprawić, żeby stało się jeszcze kosztowniejszym.

- W jaki sposób możemy to osiągnąć? - zainteresował się Lehesu. - Nie mamy żadnej broni, a chronione przez siłowe pola okręty floty stały się niewrażliwe na nasze głosy. Nie zdołamy ich zniszczyć w taki sam sposób, jak doprowadziliśmy do eksplozji „Szarmackiego”. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że mieliście prawdziwe szczęście, iż byłem tak osłabiony, kiedy spotkałem was po raz pierwszy. W przeciwnym razie mógłbym i was zniszczyć swoim głosem.

Hazardzista lekceważąco machnął ręką, ale nie przestał wpatrywać się w ekran monitora.

- Byłeś wówczas sam, a z tego, co wiem, wynika, że grupa, która pozdrowiła „Szarmackiego”, liczyła blisko tysiąc Oswaftów. A zresztą, w tej chwili to nieważne. Postaramy się, żeby okręty floty same się unicestwiły.

- Jak?

Tym razem pytanie zadali i Vuffi Raa, i Lehesu.

- Muszę najpierw zadać ci kilka pytań - odrzekł Calrissian. - Czy to prawda, że rozumiesz znaczenie szyfrowanych sygnałów, jakie okręty przesyłają między sobą?

- Tak, Lando, podobnie jak rozumieją je moi ziomkowie - pod warunkiem, że poświęcą kilka chwil, aby poznać słowa waszej mowy.

- Hmmm... No, dobrze, przejdźmy zatem do umiejętności syntetyzowania. Czy potraficie syntetyzować każdą substancję, o jaką was poproszę?

- O ile nie jest zbyt skomplikowana i będziemy dysponowali odpowiednimi surowcami, tak jak do tej pory.

- A mgławica? Wasi Starsi powiedzieli mi, że w tej chwili nie możecie znaleźć tu żadnego pożywienia. Wszystko, co kiedyś było, dawno przyswoiliście. A jednak mówiłeś, że pozostały jakieś surowce...

- To prawda, Lando, ale do czego zmierzasz?

- Do określonego celu. Chcę wyprowadzić was z tego bagna, w jakim siedzicie. I jeszcze jedno. Ile czasu musicie odpoczywać między kolejnymi skokami w nadprzestrzeni i jak dokładnie potraficie przewidzieć, gdzie z niej wyskoczycie?

- Lando - odezwał się doprowadzony do rozpacz Lehesu. - Chyba wiem, do czego zmierzasz. Chcesz, żebyśmy wyprodukowali bomby albo podobne urządzenia i obrzucili nimi okręty oblężniczej floty. Po pierwsze jednak - wiem z tego, co mówił mi Vuffi Raa na temat broni - skonstruowanie bomb nie będzie takie proste. Po drugie...

- Nie, nie - przerwał mu rozbawiony Calrissian. - Nie chodziło mi o nic, co miałyby jakkolwiek związek z materiałami wybuchowymi. A poza tym, okręty floty są chronione przez tak silne pola, że wszelkie próby zrzućenia bomb byłyby skazane na niepowodzenie. Powiedziałem ci przecież, że postaramy się, aby sami się unicestwili, nie pamiętasz?

Jeżeli wszystko potoczy się zgodnie z moim planem, dalsza walka stanie się dla nich zbyt kosztowna. To wszystko.

Pochylił się nad monitorem, jakby nie chciał zdradzić wielkiej tajemnicy. Wyraźnie zaintrygowany Vuffi Raa także zbliżył się do ekranu. Lando sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. Mały android nie był pewien, czy powinien się z tego cieszyć.

- A teraz, powiem wam obu, co zrobimy...

## ROZDZIAŁ XIV

- Panowie, przygotować maszyny do startu!

Klyn Shanga rozejrzał się po przypominającym jaskinię i usytuowanym na jednym z najniższych poziomów „Wennisa” hangarze, w którym panował teraz harmider i trudny do opisanego rozgardiasz. Obserwował, jak jego podwładni wspinają się po drabinkach i wskakują do niewielkich kabin pilotów. Nie brakowało pośród nich nawet Berna Nuladega, który właśnie w tej chwili zwinnie jak wąż piął się po metalowych szczeblach i wślizgiwał pod uniesioną owiewkę. Cały ten czas spędził, zamknięty w cuchnącej celi. Jeżeli chodziło o niego, Rokur Gepta dotrzymał danego słowa.

Shanga musiał przyznać przed sobą, że trochę go to niepokoi. Nie miał pojęcia, co może knuć podstępny czarownik. Nie sądził, żeby Gepta miał zwyczaj wywiązywania się z obietnic, a fakt wywiązania się właśnie z tej uważał za złą wróżbę.

Jeden po drugim, wirniki gwiazdnych maszyn budziły się do życia. Grzmiały, osiągając coraz większe prędkości obrotowe. Wkrótce w hangarze zapanował ogłuszający hałas. Technicy pośpiesznie odłączali węże doprowadzające paliwo. Tu i ówdzie było widać - bo nie słysząc - jak wykrzykują coś jeden do drugiego. Do huków silników dołączyło się zawodzenie sprężarek i innych urządzeń pomocniczych. Klyn Shanga wiedział, że niedługo obsługa hangaru uporządkuje lądowisko, a potem zamknie i uszczelni wszystkie drzwi wiodące do wewnętrznych pomieszczeń krążownika. Dopiero wówczas zaczną się obracać zamki umieszczonych w ścianie hangaru ogromnych wrót i renatazjańscy piloci będą mogli znaleźć się w przestworzach.

- Czekaliśmy na tę chwilę całe dziesięciolecie - odezwał się Klyn Shanga do wszystkich dwudziestu trzech podwładnych, ustawionych w nierównym szeregu na płycie lądowiska. Wszyscy byli ubrani w połatane, a czasami nawet dziurawe albo wystrzępione lotnicze kombinezony. Niby stali na baczność, ale można było się zorientować, że nie przywiązują do tego większej wagi. Byli obywatelami co najmniej kilkunastu dawnych krain- państw, z których większość już nie istniała. Ich maszyny - kupione, ukradzione, wypożyczone albo wydzierżawione chyba w dwudziestu trzech gwiazdnych systemach - wyglądały mniej więcej tak samo, jak kombinezony pilotów. Mimo to wszystkich mężczyzn ożywiała jedna myśl: żądza zemsty.

- Kat Renatazji czeka na nas w tej mgławicy - ciągnął Shanga, niedbałym gestem pokazując wrota hangaru. Panujące w nim sztuczne ciśnienie zostało zmniejszone, by ułatwić technikom obsługę maszyn, a pilotom start w przestworza. - Śmieje się z nas; kpi ze sprawiedliwości. Naszym zadaniem jest uciszenie jego chichotu. Nasz cel to zapanowanie sprawiedliwości w całej galaktyce.

Nie usłyszał radosnych wiwatów. Niektórzy członkowie personelu hangaru, jeszcze niedawno przygotowujący do startu myśliwce Renatazjan, zdumieni teraz chyba bardziej bijącą ze słów dowódcy zapalczywością niż wątpliwą elokwencją, unieśli na sekundę głowy. Wykonywali polecenia i rozkazy wojskowych, tworzących zapewne jedną z najbardziej specyficznych hierarchii. Wiedzieli zatem, że gdyby pozwolili sobie na jawne

okazywanie tak silnych uczuć, mogliby narazić życie na poważne niebezpieczeństwa. Wojskowi powinni okazywać umiar i dążyć do osiągania kompromisów, ale przede wszystkim być ślepi i głusi na wszelkie przejawy krzywdy i niesprawiedliwości. Dwudziestu trzech pilotów wysłuchało przemówienia Shangi i potwierdziło ten fakt, ponuro kiwając głowami. Wszyscy spoglądali to na dowódcę, to na towarzyszy. Uświadamiali sobie, że może widzą ich ostatni raz w życiu.

- A później? - Bern Nuladeg, stojący na samym końcu szeregu, niedbale oparł się o wystające skrzydło myśliwca. Trzymał między zębami nie zapalone cygaro. - Co zrobimy, kiedy to się skończy?

- Później będziemy... - zaczął Shanga i umilkł.

Nie myślał o tym, że mogą mieć jakiegokolwiek „później”. We wnętrzu ThonBoki kryło się blisko miliard Oswaftów, ale nikt nie potrafił powiedzieć, jak mogą być groźni i do czego zdolni. Istniały niewielkie szanse, że którykolwiek Renatazjanin przeżyje najbliższe kilka godzin. Co więcej, ich los i bezpieczeństwo, spoczywające w rękach Gepty, były bardzo niepewne. Nie potrafili przewidzieć, co zrobi podstępny staruch, kiedy wreszcie odniesie upragnione zwycięstwo. Prawdę mówiąc, piloci nie mieli dokąd się udać. Z pewnością nie wrócą pod skrzydła dowodzonej z pokładu „Wennisa” oblężniczej floty.

Shanga potrząsnął głową, jakby chciał usunąć z niej bezsensowne myśli.

- Później każdy z was robi, na co będzie miał ochotę - powiedział. - Przyłączy się do pierwszego lepszego statku, którego kapitan zechce przyjąć go na pokład. Powróci do domu, jak zechce i kiedy zechce - o ile w ogóle zdecyduje się na powrót. A na razie, przyjaciele, żyjemy, opanowani jednym pragnieniem: chęcią wymierzenia dziejowej sprawiedliwości. Chęcią zemsty.

W odpowiedzi usłyszał tylko kilka pomruków, ale był pewien, że oznaczały ponurą rezygnację i pogodzenie się z tym, co powiedział. Doszedł do wniosku, że o ile mieli przed sobą jakąkolwiek przyszłość, stanie się lepiej, jeżeli warunki jej nadejścia pozostaną nieznanne.

Obserwował, jak jego podwładni ponownie wspinają się do kabin maszyn.

Shanga przypiął się do fotela pilota, a potem sprawdził, czy owiewka kabiny jest prawidłowo uszczelniona. Upewnił się również, że wszystkie ruchome urządzenia techniczne zostały usunięte na boki albo odłączone, a klapy i osłony gniazd w kadłubie zatrzaśnięte i umocowane. Przyglądał się, jak technicy pospiesznie, ale bez okazywania paniki, opuszczają hangar, wychodząc przez uszczelnione owalne otwory drzwiowe. Kiedy wszyscy zniknęli, zapaliła się mrugająca czerwona lampka - znak, że rozpoczęto odkręcanie zamka wrót hangaru. Shanga uświadomił sobie, że podobne do jaskini ogromne pomieszczenie właściwie stało się gigantyczną szluzą. Z doświadczenia wiedział, że na nic zda się wielogodzinne, staranne filtrowanie i regenerowanie powietrza wysanego teraz do wnętrza krążownika. I tak wkrótce cały okręt - począwszy od mostka ze stanowiskiem dowodzenia, przez pomieszczenia dla oficerów i marynarzy, a skończywszy na ładowniach, hangarach i magazynach - na wiele najbliższych godzin zostanie przesiąknięty charakterystyczną wonią gazów wydechowych.

Pomyślał, że bardzo lubi ową woń i chętnie zginałby, mając ją w płucach - jeżeli w chwili śmierci nie mógłby oddychać powietrzem przesyconym zapachem świeżo skoszonej trawy albo gałązek młodych drzew iglastych.

Pstryknął kilkoma przełącznikami i wycie silników myśliwca przybrało na intensywności. Przenikające całą kabinę drżenie na chwilę zmieniło rytm i jakby zamarło, by po sekundzie przerodzić się w inne, o zmienionej amplitudzie i częstotliwości. Do krwioobiegu mężczyzny przedostała się dodatkowa porcja adrenaliny. Na Jądro, był wojownikiem! Mówcie, co chcecie, cherlawe, pokojowo nastawione maminsynki - pomyślał z dumą - ale urodziłem

się i szkoliłem po to, aby walczyć!

Wrota hangaru stanęły przed nim otworem.

- Piątka i Osiemnastka, start! - odezwał się ktoś w głośniku jego hełmu.

Dwie spoczywające najbliżej otworu maszyny wypełniły hangar siwobłękitną mgiełką, a później wystrzeliły jak z procy w pustkę przestworzy. Gazy wydechowe niemal natychmiast się rozproszyły.

- Czternastka i Dziewiątka, start! - usłyszał po chwili. - Szóstka i Siedemnastka!

Para za parą, maszyny jego podopiecznych podrywały się do lotu i znikwały w mrocznym prostokącie. Podobnie jak on, jego ludzie rwali się do walki. Shanga zerknął na ekran monitora, na którym pokładowy komputer ukazywał trójwymiarową mapę ThonBoki z zaznaczonym prawdopodobnym miejscem ukrycia „Sokoła Millenium”. Wszyscy wiedzieli, że we wnętrzu mgławicy płoną trzy małe błękitnawobiałe słońca i że dokładnie pośrodku między nimi znajduje się jakaś sztuczna konstrukcja, o wiele większa niż pokiereszowany frachtowiec. Shanga pomyślał, że właśnie od niej należałoby rozpocząć poszukiwania.

A wkrótce potem przystąpić do niszczenia.

- Dwójka i Dwudziestka Jedyńka, start! - krzyknął nagle inny głos.

Renatazjański dowódca poczuł szarpnięcie i zorientował się, że zaczyna działać na niego zwiększona i inaczej skierowana siła ciążenia. Zrozumiał, że pazur hangarowej katapulty zaczepił jego myśliwiec i wyrzucił w przestworza, gdzie krążyły już maszyny jego ludzi. Oddalając się od krążownika zauważył, że przez wrota hangaru „Wennisa” wylatują następne gwiazdne jednostki. Zapewne o kolejności decydował komputer, kierując się rozmiarami, kształtami i typami maszyn.

— Dziewiętnastka i Czwórka!

Formując skomplikowany szyk, krążyli w przestworzach i nie przestali, dopóki z hangaru nie wystartowały wszystkie myśliwce. Mniej więcej pośrodku szyku unosiła się awaryjna kapsuła numer pięty - dokładnie ta sama łupina, którą niedawno usiłował porwać Bern Nuladeg. Jej rafowa część jarzyła się teraz i pulsowała, jakby nie mogła się doczekać, kiedy pozbędzie się zgromadzonej energii. Znajdowali się nadal w dość dużej odległości od Gwiazdogroty - a przynajmniej bardzo daleko, jeżeli brać pod uwagę możliwości małych maszyn. Nawet wówczas, kiedy przelecą przez wlot mgławicy, do środka pozostanie co najmniej sześć lat świetlnych, a zatem odległość prawie dwadzieścia pięć razy przewyższająca maksymalny zasięg ich myśliwców.

Zdolna latać z prędkościami nadświatelnymi kapsuła została wyposażona w generator promienia przyciągającego. Bezzałogowa, ale zdalnie sterowana przez Klyna Shangę, miała przyholować ich w miejsce najgorętszej bitwy, a później, kierując się programem zapisanym w pamięci pokładowego komputera, automatycznie powrócić na pokład „Wennisa”. Dowódca renatazjańskich pilotów, korzystając z pomocy wybranego spośród podwładnych najlepszego znawcy problemów automatycznego sterowania, starannie sprawdził wszystkie urządzenia i komputerowe programy kapsuły, od dziobu aż po rufę. Pragnął upewnić się, że przewrotny czarownik nie zainstalował żadnych niespodzianek w rodzaju ładunków wybuchowych o opóźnionym czasie eksplozji. Po prostu nie potrafił się przemóc, by uwierzyć, że Rokur Gepta mógł okazać się aż tak hojny.

Ów pocziwiec był nieosiągalny, kiedy startowali. Podobno oddawał się jakimś ćwiczeniom albo medytacjom. Może to i lepiej? Najważniejsze, że przedtem wydał rozkazy zezwalające na wystrzelenie eskadry w przestworza. Niech go Jądro pochłonie - pomyślał Renatazjanin. Jeżeli szczęście im dopisze, może już nigdy więcej go nie zobaczą.

Przebiegł palcami po klawiaturze pokładowego komputera, by przekonać się, czy wszyscy podwładni zajęli wyznaczone miejsca wokół kapsuły.

- Mówi Zero, Dowódca - oznajmił, włączynywszy nadajnik komunikatora. - Jedenasty,

dołącz do Dwunastego... o, właśnie tak. Dwudziesty Drugi, twój stos daje za małą moc, nawet jak na pracę w stanie jałowym. Jaką masz temperaturę toroidu?

Stosy atomowe, dostarczające energię do wszystkich urządzeń pokładowych, powinny funkcjonować w taki sposób, by oszczędzać ilość paliwa. Na razie czerpali energię ze stosu kapsuły krążownika, ale piloci musieli dbać o gotowość własnych źródeł energii, ponieważ w każdej chwili mogli włączyć się w wir walki. Co za asekuranctwo - pomyślał Renatazjanin. - Co za asekuranctwo. Stare powiedzenie nie odnosiło się do najstarszych, najbardziej doświadczonych i najodważniejszych pilotów, ale jeżeli pragnęli osiągnąć zamierzony cel, nie mogli postępować w inny sposób.

- Nominalną- usłyszał odpowiedź Dwudziestego Drugiego. Pilot był stosunkowo młodym mężczyzną i pochodził z kontynentu położonego na przeciwległej półkuli niż ta, na której mieściła się rodzinna kraina- państwo Shangi, Mathilda. Kiedyś, bardzo, bardzo dawno, powinien był nienawidzić ten akcent. - Przypuszczam, że wina leży po stronie telemetrii, panie admirałe.

- Nie tytułuj mnie admirałem, Dwudziesty Drugi, i uważaj na tę temperaturę. Pragnę śmierci kata Renatazji nie mniej niż ty, ale uda nam się, jeżeli wlecimy tam, a twój myśliwiec okaże się do niczego. Nie wierzę, aby ci technicy w hangarze wyczyścili paznokcie, zanim dotknęli naszych maszyn. Lepiej powiedz mi całą prawdę, synu.

- No cóż, panie admira... Kłynie, może trochę za bardzo go wystudziłem. Pomyślałem jednak, że mógłby się przegrzać w trakcie tego skoku.

- Teraz już lepiej - mruknął niechętnie Shanga. - Dwudziesty Trzeci, co, na Jądro, dzieje się z twoimi systemami alarmowymi? Mam czerwone światełka, a to znaczy, że wszystkie oszalały!

- Tylko zapaliłem cygaro, szefie. Widocznie analizatorom atmosfery nie bardzo to się spodobało. - Bern Nuladeg wybuchnął śmiechem. - Nie mogę ruszać do walki bez fajki w zębach. Bałbym się, że odgryzę swój parszywy język!

Shanga wyszczerzył zęby w bezgłośnym uśmiechu. Uczynił wysiłek, by nie zachichotać.

- Zrozumiałem, Dwudziesty Trzeci. To twój pogrzeb. No, dobrze, chłopaki, synchronizujemy nawigacyjne chronometry. Startujemy na mój sygnał. Uwaga! Cztery... trzy... dwa... jeden... ZERO!

Cała eskadra jak jedna napędzana przez centralną jednostkę kapsuły maszyna drgnęła i zaczęła lecieć w stronę ThonBoki. Nie zmieniając kierunku, stopniowo coraz bardziej zwiększała prędkość lotu. Dopiero teraz, na chwilę przed niezbędną orientacją w przestworzach - konieczną w celu dokonania skoku - renatazjański dowódca i jego podwładni mieli pierwszą okazję rozejrzenia się po okolicy.

Prosto na kursie ujrzeli GwiazdoGrote, wyglądającą jak widziana z profilu gigantyczna gałka oczna. Zbliżali się do wlotu, lecąc pod kątem ostrym, żeby do maksimum wykorzystać element zaskoczenia. Co prawda, Shanga uświadamiał sobie, że taki rytuał nie ma sensu. Wiedział, że i tak zostaną zauważeni, gdy będą się zbliżali. Mimo to nie zamierzał z niego rezygnować. Od czegoś musi zaczynać się każdy atak, a więc można było go zacząć nawet od czegoś, co nie miało znaczenia. Spoglądał na ogromną szarą, pozbawioną tęczówek gałkę oczną, w której wnętrzu migotały trzy mikroskopijne błękitnawobiałe punkciki. Gdzieś, tam, w środku, ukrywał się Nieprzyjaciół. Gdzieś, tam, może jeszcze głębiej, czaiła się posępna kostucha.

Wydając radosny wrzask, chyba zawsze towarzyszący gwałconemu prawu przyrody, dziwaczna eskadra dokonała skoku w nadprzestrzeń, jakby spieszyła na jej spotkanie.

„W325” - tak nazywała się bardzo mała i przypominająca wannę jednostka, której zasięg i moc silników nie całkiem usprawiedliwiała miano awaryjnej kapsuły. Dziwaczny przedmiot służył przede wszystkim do przeprowadzania inspekcji i dokonywania napraw

zewewnętrznej powierzchni kadłuba „Wennisa”, kiedy okręt unosił się w międzygwiazdnych przestworzach - i to bez ruchu.

W tej chwili „W325” także się nie poruszał, przytwierdzony za pomocą elektromagnesów do kadłuba krążownika, jakby przycumowany do przypominającej kanciasty sejf konstrukcji, którą zainstalowano właściwie za rufą i przymocowano do wsporników dysz wylotowych głównych jednostek napędowych. Mimo iż silniki „Wennisa” były unieruchomione, żeby umożliwić wystrzelenie w przestworza eskadry reatazjańskich myśliwców, osłony dysz wciąż jeszcze jarzyły się ciemnoczerwonym, coraz słabszym blaskiem. Na szczególną uwagę zasługiwał jednak fakt, iż spód kadłuba Trzystadwudziestkipiątki ozdabiała kalkomania mająca kształt istoty ludzkiej. A ściślej człowiek przyklejony niczym kalkomania.

Ottdefa Osuno Whett, antropolog i as imperialnego wywiadu, doskonale wiedział, że bardzo ryzykuje. Tak zresztą działał się zawsze, ilekroć wykonywał rozkazy dwóch przełożonych. Obiecał Rokurowi Gepcie, że będzie mu służył radą i pomocą - w zamian za pomoc w unicestwieniu własnych nieprzyjaciół. Innemu mocodawcy zawdzięczał wszystko, co osiągnął w życiu, i jeżeli miałoby to okazać się konieczne, był gotów oddać za niego życie. W tej chwili wykonywał jego polecenie obserwowania perfidnego czarownika. Ową mocodawca nie darzył go tak bezgranicznym zaufaniem, jak mógłby naiwnie sądzić Gepta - bez względu na to, czy obsypywał go, czy też nie, podarunkami w rodzaju wycofanego z czynnej służby przestarzałego gwiazdowego krążownika.

A zatem, chroniony przez bardzo długi, elastyczny próżniowy kombinezon barwy identycznej jak kolor lakieru na kadłubie kapsuły, antropolog wykonywał kolejne zadanie. Rozłożył ręce na boki i rozsunął nogi tak daleko, jak potrafił, i uczepiony dna lilipuciej jednostki niczym czteroramienna rozgwiazda, obserwował, co robi drugi mocodawca. W tej chwili, mimo iż trzymał się kurczowo, by się nie odkleić, interesował się także czymś innym. Coraz bardziej zdumiony i zaniepokojony, uważnie przyglądał się wskazaniom kontrolnych przyrządów umieszczonych na miniaturowym pulpicie wewnątrz helmu.

Czujniki ujawniły mu, że Rokur Gepta otworzył właz umieszczony w górnej części kadłuba kapsuły, a później poszybował w kierunku tylnej ściany wystającej poza rufę krążownika dziwnej nadbudówki. Posługując się innymi zestawem czujników i skanerów, Whett ustalił, że ściany owej niekonwencjonalnej konstrukcji sporządzono z niezwykle wytrzymałego materiału, z którego zazwyczaj wykonywano pancerze gwiazdowych okrętów, ale tak grubego, że promienie wykrywaczy Whetta nie potrafiły go przeniknąć.

Antropolog spodziewał się czegoś takiego i zanim wyruszył na wyprawę, odpowiednio się przygotował. Rozsypanie na drodze, którą miał pokonywać Gepta, kilkunastu zbierających informacje urządzeń o rozmiarach nie większych niż pyłki kurzu może nie było łatwe, ale naukowiec dokonał tej sztuki. Niektóre szpiegowskie odrobiny przesyłały dane na bieżąco, ale po krótkim okresie pracy miały przestać funkcjonować. Inne natomiast, wyposażone w indywidualne pamięci, gromadziły wszystko, co wykrywały, i miały wyrzucić z siebie w ciągu ułamka mikrosekundy, kiedy Whett ponownie znajdzie się w zasięgu.

Antropolog uzbroidł się w cierpliwość i czekał. Wiedział, że przebiegły czarownik unosi się gdzieś, nad jego głową, przyczepiony do tylnej ściany dziwacznej nadbudówki. Zdalnie sterowane szpiegowskie urządzenia ujawniły mu, że nie widać w niej żadnego zamka ani włazu. Whett zastanawiał się, jaką funkcję może pełnić masywna skrzynia. Nie wierzył, żeby czarownicy Tundów potrafili posługiwać się tajemnymi mocami. W ciągu wieloletniej zawodowej kariery poznał tyle prymitywnych wierzeń, guseł, zabobonów i przesądów - najczęściej popartych nie mniej prymitywnymi technicznymi sztuczkami - że sceptycznie traktował przechwałki czarownika. Żałował, że nie ma dość odwagi, by wychylić głowę spod kadłuba Trzystadwudziestkipiątki i samemu przekonać się, co robi Gepta.



Postanowił, że jeszcze przez jakiś czas zda się na wskazania czujników. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że z niektórych danych wynikało, iż Gepta nie zwracał sobie głowy wkładaniem kosmicznego kombinezonu. Whett uznał to za dziwne, ale niezupełnie wykluczone. Chociaż czarownik bardzo starał się sprawiać wrażenie, że jest człowiekiem, właściwie nikt nie był całkiem pewny, do jakiej rasy inteligentnych istot się zalicza. Antropolog słyszał o jednej czy dwóch rasach istot, które potrafiły przeżyć kilka minut, pozostawione w absolutnej próżni. Rzecz jasna, nie miał na myśli gigantycznych Oswaftów... Istniało także całkiem duże prawdopodobieństwo, że przebiegły staruch ukrył próżniowy kombinezon pod fałdami ciemnoszarego płaszcza. Czasami uciekał się do takich sztuczek, a zatem nie byłoby w tym niczego dziwnego. A poza tym, ukrycie takiego lekkiego, elastycznego próżniowego stroju, jaki miał w tej chwili na sobie Whett, nie stanowiłoby problemu.

Naukowiec pomyślał, że jeszcze jakiś czas poczeka.

Jak się spodziewał, lampki kontrolne na miniaturowym pulpicie wewnątrz hełmu zamrugały nagle i zgasty jak zdmuchnięte. Wszystkie niemal w tej samej chwili. Oznaczało to, że Gepta znalazł się w nadbudówce i przebywał tam, chroniony przez potężny pancerz. Z przekazanej przez szpiegowskie czujniki informacji wynikało, że ściany konstrukcji mają co najmniej metr grubości i są wykonane z najnowocześniejszego, superwytrzymałego stopu. Nie okazując pośpiechu, antropolog odkleił się od dna kapsuły. Kilka razy zgął i rozprostował zeszytywniałe ręce i nogi, a potem ostrożnie wychylił głowę spod podbrzusza Trzystadwudziestkipiątki.

Nie zobaczył Gepty ani nie ujrzał żadnego śladu, który pozwoliłby mu zorientować się, gdzie zniknął. Nic również nie wskazywało na to, w jaki sposób to uczynił. Płonąca wewnątrz hełmu naukowca samotna czerwona lampka dowodziła jedynie, że gdzieś nastąpił wyciek radioaktywnej substancji. Zapewne we wnętrzu opancerzonej nadbudówki zachodziła jakaś reakcja, ale antropolog miał zbyt mało danych, żeby stwierdzić, jaka. Wiedział jednak, że jeszcze nigdy w życiu nie spotkał się z niczym, co chociażby przypominało obecną sytuację.

Uruchomił miniaturowe silniczki manewrowe i podpłynął do tylnej ściany konstrukcji, by uważnie się jej przyjrzeć. Jak podejrzewał, nie ujrzał żadnej kłapy ani śluzy. Podobnym oględzinom poddał jedną boczną ścianę; zbadał drugą. Nie zapomniał także o poświęceniu takiej samej uwagi wierzchowi i spodowi. Nigdzie nie ujrzał niczego, co pozwoliłoby mu rozwiązać zagadkę zniknięcia czarownika. Posłużył się niezwykle skomplikowanymi przyrządami. Wykorzystał całą wiedzę i doświadczenie, jakie zdobył w ciągu tylu lat zawodowej pracy. Przekonał się jedynie, że ma do czynienia z wielką metalową, mniej więcej sześcienną skrzynią

o długości boku wynoszącej prawie dziesięć metrów. Pozbawioną jakichkolwiek charakterystycznych cech - z wyjątkiem...

Ale to przecież było niemożliwe. Dokładnie pośrodku tylnej ściany ujrzał coś w rodzaju wylotu odpowietrzającego zaworu. Niewielki otwór miał średnicę najwyżej czterech centymetrów i przypominał osłonięty wylot cienkościennej rurki. Antropolog nie odważył się odchylić kłapki. Nie bardzo wiedząc, co robić, tkwił nieruchomo w próżni przez niebezpiecznie długi czas i zastanawiał się, co to wszystko znaczy. Na próżno przypominał sobie i odrzucał w myślach techniczne rozwiązania, jakie poznał, badając urządzenia konstruowane przez istoty żyjące na innych cywilizowanych światach.

Czarownicy Tundów... Żaden badacz - bez względu na to, czy szpieg, czy też antropolog - nie zdołał dotąd przeniknąć tajemnic owych długowiecznych magów. Whett ubolewał nad tym, że Gepta, nie pytając go o zamierzenia, oświadczył, że zabiera go na wyprawę do ThonBoki. Tymczasem ottdę chciał być pierwszym naukowcem, który odkryje

tajemnicę Tundu. Jego pierwszemu mocodawcy także by się to spodobało. Podobno czarownicy Tundów potrafili rzucać potężne czary... tylko kto uwierzyłby w takie brednie? Tak czy owak, Osuno Whett nigdy nie słyszał, aby umieli rozpyływać się w próżni czy przeciskać przez otwory o czterocentymetrowych średnicach. Magia? A może jednak, mimo wszystko, dysponowali tak nieprawdopodobnymi... Nie, to przecież coś absurdalnego.

## ROZDZIAŁ XV

Czuwający na mostku „Wennisa” Rokur Gepta przygotowywał się do walki. Zamierzał poświęcić trochę czasu na medytację, jakim od tysiącleci oddawali się czarownicy Tundów. Musiał dokonać przeglądu systemów uzbrojenia krążownika i osobistej broni ręcznej oficerów i członków załogi. Planował wydać odpowiednie rozkazy i poprzeć je stosownymi groźbami. Raz po raz napływały składane przez kapitanów okrętów oblężniczej floty meldunki, z którymi trzeba było się zapoznawać. Nie opuszczając stanowiska dowodzenia, Gepta obserwował, słuchał, odpowiadał. Między nim a setkami punktów na pokładach krążownika nieustannie krążyli kurierzy i posłańcy.

- Nie - syknął w pewnej chwili, zwracając się w stronę stojącego przed nim monitora. — Nie zmienisz pozycji, którą nakazałem ci zajmować, drogi kapitanie. Nie puścisz się w pościg za umykającymi jednostkami... a już z całą pewnością nie uczynisz tego, by ratować własną skórę. Czy wyrażam się jasno, panie kapitanie? Czy na pewno mnie rozumiesz? Dowodzisz okrętem liniowym i masz obowiązek wykonywać wszystkie wydawane polecenia i rozkazy. Nigdy nie możesz podawać ich w wątpliwość ani zastanawiać się, w jaki sposób opóźnić ich wykonanie. Ty i twoi podwładni jesteście jedynie częściami wymiennymi i powinniście być gotowi poświęcić życie, jeżeli zażądają tego wasi przełożeni. Nasza rozmowa na ten temat trwała i tak dwie minuty za długo. Koniec. Bez odbioru.

Machnął ręką i rozzarowana twarz dowódcy „Niesfornego” zniknęła z ekranu, Gepta uświadomił sobie, że to już trzecia taka rozmowa, jaką odbył w ciągu ostatniej godziny. Zaczynał mieć tego dosyć. Spokój pozwalała mu zachować jedynie myśl o tym, co kryło się wewnątrz przytwierdzonej za rufą „Wennisa” nadbudówki...

o rozkosznej zielonej śmierci.

- Rozkaz do wszystkich!

U boku czarownika natychmiast pojawił się osobisty sekretarz, wyposażony w niezbędne elektroniczne urządzenia. W drżących palcach ścisnął miniaturowy rejestrator.

- Nie przypuszczam, żebym musiał uczyć oficerów liniowych, jak mają wypełniać swoje obowiązki - zaczął dyktować Gepta. - Mimo to niektórzy spośród was ośmielili się wydawać własne rozkazy, nie kierując się niczym innym oprócz chęci ocalenia swoich jednostek albo osobistą interpretacją powodów, dla których wykonujemy to zadanie.

Pragnąc rozproszyć wasze wątpliwości, a zarazem dać przykład innym, którzy chcieliby podążyć w ich ślady, rozkazuję, co następuje. Kapitanowie „Niesfornego”, „Sprawiedliwego” i „Zarozumiatego”, a także ich pierwsi oficerowie zostają zdegradowani

i pozbawieni dowództwa. Dowództwo okrętów obejmują drudzy oficerowie, którzy mają wykonać na wyżej wymienionych sześciu członkach załóg wyroki śmierci. Zdrajcy, pozbawieni próżniowych skafandrów albo kombinezonów, powinni zostać zamknięci w śluzach, a następnie wystrzeleni w przestworza.

Tak rozkazuje czarownik Tundów, Rokur Gepta. Czy zarejestrowałeś wszystko, młodzieńcze?

Blady jak śmierć stenograf gorliwie pokiwał głową.

- T... tak, wasza ekscelencjo.

- To dobrze. Natychmiast wyślij i upewnij się, że zainteresowane osoby rozumieją rozkaz i niezwłocznie go wykonają. Możesz odmaszerować.

Czarownik rozciągnął w szerokim uśmiechu usta, ukryte pod zwojami ciemnoszarej tkaniny. Jeżeli nie liczyć dwóch wizyt złożonych w opancerzonym sejfie na rufie krążownika, już dawno nie czuł się tak dobrze.

Vuffi Raa siedział w sterowni „Sokoła Millenium” na fotelu pilota ustawionym po lewej stronie. Posługując się nawigacyjną konsolą z komputerem, który wykorzystywał jego pan, kiedy grał w sabaka z młodym Oswaftem, dokonywał wciąż nowych symulacji i usiłował przekonać się, jakie uzyska rozwiązania. Musiał przyznać, że Lando miał rację. Jego plan zapewne nie pozwoli im zwyciężyć w wojnie i może pochłonać życie wielu inteligentnych istot biorących w niej udział po obu stronach, ale zniechęci dowódców floty do dalszej walki. Polityczni przeciwnicy Gepty podejmą zaś jeszcze energiczniejsze starania mające na celu zakończenie blokady. Gdyby potrafił pokręcić ironicznie głową, z pewnością nie umiałby się powstrzymać.

Popatrzył przez segmentowany dziobowy iluminator i ujrzał młodego Oswafta, unoszącego się nieruchomo w pustce przestworzy. Lehesu sprawiał wrażenie spokojnego, a przynajmniej nic nie wskazywało na to, aby miał być zdenerwowany. Vuffi Raa włączył nadajnik pokładowego komunikatora.

- Zakończyłem symulowanie wszystkich możliwych aspektów naszej sytuacji, Lehesu - oznajmił. - Wygląda na to, że mamy dużą szansę powodzenia. Czy nie przyłączysz się do swoich rodaków i nie weźmiesz udziału w przygotowaniach?

Gigantyczne stworzenie podpłynęło bliżej „Sokoła Millenium”. Znieruchomiło naprzeciwko sterowni i zerknęło na mikroskopijnego mechanicznego przyjaciela.

- Nie, Vuffi Raa. Uświadomiłem sobie, co muszę zrobić, i jestem gotów. Interesują mnie natomiast te wyniki symulacji, o których wspominałeś. Czy rzeczywiście flota popełni samobójstwo, jeżeli plan Landa się powiedzie?

- Tak, chociaż może to wydawać ci się trudne do uwierzenia. Jesteście zdumiewającą rasą i właśnie dzięki temu cały plan ma szansę powodzenia. „Sokół” jest także gotów, ale muszę ci wyznać, że jeżeli chodzi o mnie...

- Jesteś zaniepokojony, Vuffi Raa? - domyślił się Lehesu. Widocznie młody Oswaft wyczuwał różnice w tonie głosu inteligentnych istot nie tylko organicznych, ale również mechanicznych. - Proszę, powiedz mi coś więcej na ten temat. Może potrafię ci pomóc. Zerknąwszy w myślach na dokładny chronometr, stanowiący jeden z wewnętrznych mechanizmów, mały robot doszedł do wniosku, że chce wykonać gest będący odpowiednikiem wzruszenia ramionami.

- Chodzi o to, Lehesu, że...

Opowiedział Oswaftowi o konflikcie istniejącym w jego oprogramowaniu i zakończył stwierdzeniem, że zaczyna odczuwać coraz większy żal do nieznanych konstruktorów za to, że nie wyeliminowali owego błędu. Oznajmił, że uważa taką sytuację za niesprawiedliwą. Nie powinien pozostawać bezczynny - a przynajmniej w stanie, który (jego zdaniem) równał się bezczynności - i przyglądać się, jak Marynarka dokonuje masakry niewinnych, bezbronnych, zacnych i łagodnych stworzeń.

- Rozumiem - odezwał się Lehesu, kiedy opowiadanie androida dobiegło końca. - Wiesz, chyba odczuwam to samo. Ja również nie wiem, czy potrafiłbym targnąć się na czyjeś życie - nawet gdyby chodziło o ratowanie własnego. Jak słusznie zauważyłeś, nie zaliczamy się do rasy istot wojowniczych. Może najwyższy czas, żebyśmy wyginęli i ustąpili miejsca innej rasie inteligentnych istot, lepiej niż my przystosowanych do życia?

Nie wiedząc, co powiedzieć, mały android nie odezwał się ani słowem.

- Z drugiej strony, Vuffi Raa, powinniśmy ustąpić tylko wówczas, gdybyśmy nie potrafili się zmienić. Nie uważasz? A jeżeli potrafimy, tym samym jesteśmy rasą umiejącą przystosować się do zmiany. Prawda?

Przez chwilę Vuffi Raa żałował, że nie może - jak jego właściciel — zapalić cygara. Wyglądało na to, że owa czynność pozwala ludziom skupić myśli. Z pewnością przydałaby większego dostojenstwa każdej odpowiedzi, jaką miałby udzielić młodemu Oswaftowi.

- Nie wiem, przyjacielu - odrzekł w końcu. - Mam niejasne przeczucie, że osiągnięcie powodzenia w życiu nie powinno wymagać uciekania się do aktów przemocy. Z pewnością we wszechświecie istnieje wiele innych rzeczy mogących stanowić lepsze mierniki powodzenia.

Młody Oswaft, podobnie jak mały robot, także nie potrafił kiwnąć głową.

- Mimo to żadna z tych rzeczy nie przyda ci się na nic, jeżeli będziesz martwy, przyjacielu - zauważył.

Vuffi Raa zachichotał.

- Masz rację, Lehesu - przyznał, kiedy zdołał się opanować. - Jeżeli chodzi o to, masz rację.

- Spóźnimy się - nie przestawał narzekać Drugi. - Jestem pewien, że się spóźnimy.

- Uspokój się, wierny druhu - odpowiedział Pierwszy. - To wcale nie jest przesądzone.

W tej chwili nic nie jest z góry przesądzone. A nawet, gdyby było, przecież dokonujemy eksperymentu. Nie uzyskamy zadowalających rezultatów, jeżeli w jakiś sposób go zakłócimy. Każdy wynik jest pożądany, czy nie mam racji?

Przecinali ciemności bezkresnej nocy, lecąc z prędkością, która im samym wydawała się pełzaniem - aczkolwiek niejeden fizyk dostałby zawału serca, gdyby usłyszał, że przemieszczanie się z takimi prędkościami jest możliwe. Za nimi ciągnęła się nieskończoność długa linia Pozostałych, którzy także pragnęli zobaczyć, czym zakończy się zarządzane przez Pierwszego doświadczenie.

- Mimo to - upierał się Drugi, nie mogąc pozbyć się wątpliwości, ale nie zwalniając tempa lotu - wpadła mi do głowy całkiem nowa niepokojąca myśl, która...

- Właśnie na tym miał polegać eksperyment, nie pamiętasz? - przerwał Pierwszy.

- Tak, tak - zbył go Drugi. - Mimo to chyba nie będziesz uszczęśliwiony, kiedy dowiesz się, o co chodzi. Widzisz, doszedłem do przekonania, że pomimo niekonwencjonalnych metod, za pomocą których stworzyłeś obiekt naszego doświadczenia, jak również oczywistych różnic anatomicznej budowy...

Drugi poruszył mackami, by podkreślić, że ma na myśli krzywizny ogromnych ciał istot własnej rasy.

- Tak? - zainteresował się Pierwszy. - Proszę, zechciej kontynuować.

- Nie okazuj zniecierpliwienia - skarcił go rozmówca. - Wyrażenie tej myśli przychodzi mi z niejakim trudem. Wydaje mi się, że mamy względem tej istoty pewne obowiązki - a zwłaszcza ty - wykraczające poza zwykłe naukowe zainteresowanie.

Zapadła długa cisza, w trakcie której istoty pokonały kilka następnych parseków. Wyglądało na to, że Pierwszy zwleka z odpowiedzią. Widocznie jego przyjaciel poruszył zagadnienie, nad którym jego rozmówca nigdy dotąd się nie zastanawiał.

- Jesteś jego ojcem - oświadczył Drugi, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

- Co takiego?

- Przecież to ty dałeś mu życie. To ty wyeksponowałeś go na badania wszechświata. Nie możemy teraz - ty nie możesz - biernie się przyglądać, jak zostanie unicestwiony. To byłoby coś zasługującego jeżeli nie na karę, to z pewnością na potępienie.

Ponownie Pierwszy nie odpowiedział. Pogrążony w głębokiej zadumie, nie zwracał uwagi

na to, że pokonali kolejne lata świetlne, a może nawet dziesięciolecia. Zastanawiał się nad problemem odpowiedzialności i dochodził do przekonania, że najbardziej niepokoi go fakt, iż nigdy dotąd nie spoglądał na problem pod tym kątem. Stworzony przez niego doświadczalny obiekt był myślącą, wrażliwą istotą, a zatem nie mógł igrać z nim jak z zabawką czy nieczułym automatem. Wyglądało na to, że za pograżenie się w błogostanie przyjdzie zapłacić czymś więcej niż tylko osiągnięciem postępu i radości życia. Pierwszy pomyślał, że uświadomienie sobie tego faktu wprowadziło w jego zasadach etycznych nieprawdopodobny zamęt.

W końcu oznajmił:

- Obawiam się, że masz rację, wierny druhu. Pogratuluj mi. Jestem ojcem. W takim razie musimy się pospieszyć. Lećmy jak najszybciej, żebyśmy się nie spóźnili!

- To naprawdę bardzo proste - wyjaśnił po raz piąty Lando, nie mając większej nadziei na powodzenie planu niż wówczas, kiedy tłumaczył go poprzednie cztery razy. - Wskakujecie dokładnie pomiędzy dwa wybrane okręty, robicie to, o czym rozmawialiśmy, a potem znikacie. O całą resztę zatroszczy się Marynarka.

Hazardzista unosił się pośrodku Groty Starszych w pozycji przypominającej kwiat lotosu. Po jednej stronie pływał w przestworzach Sen, a po drugiej Fey. Obie gigantyczne istoty były co najmniej pięćset razy większe niż on, w związku z czym młodzieniec czuł się jak wirus zaproszony na herbatkę przez dwie bakterie.

- Ależ, Paniekapitanie! Lando Calrissian, to byłoby coś obrzydliwego! - obruszył się Fey. - To poniżające, niegodne jakiegokolwiek...

- Wolałbyś może utratę przezroczystości? - przerwał mu Calrissian.

- Co masz na myśli?

Lando zaciągnął się dymem z cygara - umieszczonego w specjalnym schowku, który na jego prośbę zainstalował Vuffi Raa wewnątrz hełmu. W dolnej części czołowej powierzchni widniało wybrzuszenie, a urządzenie filtrujące powietrze musiało zostać poddane gruntownej przeróbce, ale dzięki temu śniadolic hazardzista mógł skupić myśli, przebywając niemal w absolutnej próżni.

- Czy przypadkiem śmierć nie jest bardziej obrzydliwa, poniżająca i niegodna? - zapytał, kiedy wypuścił resztkę dymu.

Odniośł wrażenie, że młodszy z dwóch Starszych zamrugał, wyraźnie zdumiony.

- No cóż - usłyszał w końcu. - Nigdy przedtem nie spoglądałem na problem z takiej strony.

Sen, który dotychczas nie odzywał się ani słowem, postanowił przyłączyć się do rozmowy.

- Powiedz mi, Lando, a czy ty potrafiłbyś się zdobyć na dokonanie fizjologicznego odpowiednika takiego czynu? Czy zdołałbyś pozbyć się odchodów swojego organizmu, nawet wówczas, gdyby chodziło o...

- Możesz się założyć, o co zechcesz, że tak! - wpadł mu w słowo Calrissian. - Posłuchaj. Chodzi jedynie o to, żebyście postarali się zgromadzić we wnętrzach ciał określoną kombinację ciężkich pierwiastków, dokonali skoku w odpowiednie miejsce, otworzyli pory i napięli mięśnie, a potem zniknęli, jakby nigdy was nie było. Pozostanie jednak wykrywalny przez czujniki przedmiot o kształtach Oswafta, do którego chłopcy w szarych mundurach zaczną strzelać jak do tarczy. Jeżeli to dobrze rozegracie, a czas ludzkiej reakcji okaże się taki, jak zakładam, oba okręty ostrzelają się i zniszczą.

Sen i Fey pograżyli się w zadumie. Lando pomyślał, że trwa to stanowczo za długo.

- Posłuchajcie — rzekł, zapewne pragnąc przyspieszyć proces osvajania się z nowymi myślami. - Niedawno nie wahaliście się, aby zaproponować mi dowolne ilości wszystkich możliwych kosztownych klejnotów, jakie zna galaktyka. A przecież wytwarzacie je

dokładnie w taki sam...

- To wcale nie to samo! - jęknął Fey. - Czy naprawdę nie rozumiesz, że to coś innego, kiedy ktoś...

- Z punktu widzenia istot mojej rasy to żadna różnica - oznajmił nieco poirytowany hazardzista. - Z drugiej strony, służące w Marynarce ludzkie istoty, które poznałem, widzą wielką różnicę między zabijaniem zwierząt, których mięso mogą zjeść, a zabijaniem roślin. Co prawda, spotkałem kiedyś rasę żyjących dzięki procesowi fotosyntezy inteligentnych istot, które mogłyby nie zgodzić się z ich rozumowaniem, ale... Tak czy owak, różne rasy mają odmienne punkty widzenia na te same sprawy. Jedne widzą pewne problemy całkiem wyraźnie, podczas gdy inne w ogóle ich nie dostrzegają. Najważniejsze, czy zdołacie wykonać to, o co was proszę?

Przez przezroczyste ciała obu Starszych było widać łagodne migotanie tworzących ściany Groty Starszych klejnotów i kryształów.

- Ci spośród nas, którzy się zdobędą, spotkają się z tobą, gdy dasz sygnał, Młody hazardzista wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że na nic więcej się nie zdobędziecie? Wyczuł raczej, niż zobaczył, że Sen się uśmiecha.

- Nie, raczej nie - usłyszał. - O ile niektórzy spośród nas nie zechcą utworzyć wizerunków wrogów, z którymi zamierzają walczyć.

Kiedy dowodzona przez niego eskadra myśliwców wlatywała do ThonBoki, Klyn Shanga nie mógł się pozbyć natrętnej myśli. Podobnie jak ktoś nie potrafi przestać nucić cały dzień utrzymującej się w podświadomości melodyjki (ulubionej lub znienawidzonej, choć najczęściej tej drugiej), zastanawiał się, skąd może znać ottdefę Osuna Whetta. Dlaczego wygląd tego mynockosyna wydawał mu się taki znajomy? Czy możliwe, że już kiedyś w życiu spotkał nieprawdopodobnie wysokiego antropologa?

- Siedemnasty, wypadłeś z szyku — powiedział. - Dołącz do pozostałych, bo zwiększasz obciążenie jednostki napędowej kapsuły.

- Zrozumiałem, Zero - napłynęła odpowiedź. - Wykonuję.

Shanga rzucił okiem na inne generowane przez komputer świetliste plamki pozostałych myśliwców eskadry, a potem znów rozparł się wygodnie na fotelu pilota. Gdzie też mógł spotkać chudego jak tyczka, siwowłosego antropologa i dlaczego nie potrafił pogodzić się z tym, że mężczyzna jest naukowcem? A kim miałby być? Zapewne czymś pacholkiem. Whett sprawiał wrażenie urodzonego podwładnego.

Ale dlaczego? Klyn Shanga doszedł do przekonania, że to nie wygląd zewnętrzny Whetta najbardziej utkwiał w jego pamięci. A zatem, co? Ton głosu? Piskliwy, natrętny i zawodzący, ale znamionujący pewność siebie i przekonanie o własnej nieomyślności, nie pasował do niewyraźnych wspomnień kołających się w mózgu pilota. Wszystko przypominało majaki, jakie czasami śnią się śpiącemu człowiekowi. Budzisz się później i wiesz, że to tylko przywidzenia; że nic podobnego się nie wydarzyło. Whett jednak był istotą z krwi i kości.

- Dwudziesty Trzeci do Zera, odbiór.

- Coś cię gryzie, Bernie?

- Jasne, szefie. Jak to się dzieje, że podczas tej wyprawy nie zachowujemy ciszy w eterze? Myślałem, że mamy zaskoczyć te małe...

- Wiedzą, że nadlatujemy, Bernie, a nie możemy przylecieć z żadnej innej strony.

- Zupełnie jak podczas tamtego pierwszego nalotu, którego dokonaliśmy na południe od Mathildy zaraz po tym, jak doszło do Wielkiej Zdrady. Pamiętasz, szefie?

Nuladeg zachichotał, jakby napawał się ociekającymi krwią wspomnieniami. Wtedy również nie mogli zrobić niczego innego. Wspomnienia nie zaliczały się do najprzyjemniejszych,

choć tamtego ranka uśmiercili tysiące wrogów. Zaskoczyli ich, zanim tamci zdążyli poderwać maszyny do lotu albo zorganizować obronę. Klyn Shanga wciąż jeszcze pamiętał wstrząs, jaki przeżył, kiedy dowiedział się o inwazji. I to po tych wszystkich gestach, jakie okazywali Vuffiemu Raai i jego...

Tylko dlaczego teraz, wspominając tamte chwile, także pomyślał o siwowłosym naukowcu?

- Tu Zero do Dwudziestego Trzeciego. Bernie, czy widziałeś tamtego płaszcącego się i skamłającego antropologa Gepty, Osuna Whetta?

- Nie przypominam sobie, szefie. Dlaczego pytasz? Shanga widział myśliwiec Nuladega, lecący po przeciwległej

stronie szyku. Kabina była zasnuta błękitnosiwym dymem z cygara. Renatazjański dowódca zastanawiał się, jak niski przyjaciel może oddychać takim powietrzem.

- Sam nie wiem, Bernie, ale coś nie daje mi spokoju. Mam wrażenie, że to coś ważnego.

- Przestań zamartwiać się tym, szefie. Prześpij się trochę. Przypomnisz sobie, jeżeli to takie ważne. Na Jądro, wygląda na to, że i tak przyda ci się krótka drzemka. Wyciągnij się, a ja w tym czasie obejmę dowodzenie.

Serdeczne dzięki, Bernie. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

- Drobiazg. Tylko niech ci to nie wejdzie w nawyk.

- Zrozumiałem, Dwudziesty Trzeci. Bez odbioru.

Ottdefa Osuno Whett siedział, ukryty w mikroskopijnym pomieszczeniu, i zastanawiał się, co mogą oznaczać dziwaczne dane, które właśnie studiował. Widoczne przez iluminator gwiazdy sprawiały wrażenie nieruchomych. Antropolog wiedział jednak, że to złudzenie.

Analizował informacje przesłane przez niewiele większe od pyłków kurzu szpiegowskie urządzenia, spośród których tylko nieliczne przykleiły się do płaszcza Rokura Gepty. Jeżeli miały im wierzyć, czarownik rzeczywiście dostał się do wnętrza przytwierdzonej do rufowych wsporników „Wennisa” opancerzonej skrzyni rurką, przez którą nie przecisnęłoby dłoni niemowlę. Z przesłanych informacji wynikało, że gdzieś, tam, we wnętrzu, Gepta przestał istnieć, ponieważ pyłki kurzu, niczego nie rejestrując, pozostały w rurce, dopóki czarownik znów nie stał się sobą.

Kimkolwiek był.

Whett zaczął się niespokojnie kręcić na tapczanie, ale nie odważył się zapalić światła - w obawie, by rozproszony blask nie zdradził jego obecności. Nie wierzył wskazaniom przyrządów, zwłaszcza że ich sygnały coraz bardziej zamierały. Znał innych ludzi specjalizujących się w tym samym, co on - antropologii, a nie szpiegowaniu - którzy w końcu uwierzyli w badane prymitywne zabobony. Niektórzy znani, szanowani naukowcy dochodzili nagle do przekonania, że rytualne wygibasy - a szczególnie wykonywane przez pewnych ludzi - miały naprawdę moc sprawdzania opadów deszczu. Badania nad gusłami i przesadami nie pozostawały bez wpływu na umysły uczonych. Widocznie w grę wchodził proces jakiejś upiornej osmozy. Osuno Whett pomyślał, że zawsze starał się tego uniknąć. Uważałby to za klęskę naukowego obiektywizmu i sprzeniewierzenie się osobistej uczciwości. Teraz nie był tego taki pewien.

No, dobrze, byłby gotów przyznać, że czarownicy Tundów potrafili władać tajemnymi mocami. Nikt nigdy nie twierdził, że są ludźmi, ale też nikt naprawdę nie wiedział, do jakiej rasy istot się zaliczają. Co prawda, wszyscy uważali ich za ludzi, ale - jak to się często zdarzało - mogli być w błędzie. Niemniej jednak...

Jakież przedstawiciel innej rasy inteligentnych istot zdołałby dokonać tego, o czym świadczyły informacje przekazane przez czujniki? Kiedy Gepta z powrotem przeciskał się

przez wąską rurkę, szpiegowskie pyłki kurzu ponownie przykleiły się do ciemnoszarego płaszcza. Co to miało oznaczać? Czyżby przestał istnieć, a później znów się zmaterializował? I co mogło oznaczać owo wydobywające się z wnętrza skrzyni dziwaczne nieznanne promieniowanie? Jakim cudem mogło przeniknąć przez pancerne ściany, których grubość - jak Whett dopiero teraz sobie to uświadomił - wynosiła nie jeden, ale dwa metry? I jak czarownik mógł przeżyć we wnętrzu kilka minut, w trakcie których promieniowanie nie przestawało się wydobywać?

I najważniejsze: kim lub czym, na miłość Jądra, był ów Gepta?

## ROZDZIAŁ XVI

- Mistrzu, mamy towarzystwo!

- W porządku, Vuffi Raa! Już idę!

Lando zeskoczył z wygodnego fotela. Siedział w świetlicy, zajęty programowaniem technicznych szczegółów, które przekazywał Oswaftom. Spośród miliarda stworzeń tylko niespełna tysiąc zgodziło się zagrać w bardzo specyficzną odmianę sabaka, w której stawką była śmierć albo przetrwanie. Hazardzista przebiegł łagodnie zakręcającym korytarzem na dziób, a kiedy znalazł się w sterowni, opadł na fotel pilota ustawiony po prawej stronie.

- Jakże?

Mały robot pokazał końcem macki chmurę mikroskopijnych świetlistych punkcików, widocznych blisko siebie na ekranie dalekosiężnego skanera.

- Myśliwce, mistrzu - oznajmił. - Chyba takie same jak te, z którymi walczyliśmy w systemie Oseona. Dwadzieścia... nie, dwadzieścia pięć maszyn. Nie jestem pewien, co to za duża jednostka w środku szyku.

Młodzieniec kiwnął głową.

- Jestem ciekaw, czy to ci sami. Nie wyglądają jak taktyczna grupa i lecą w takim samym szyku, w jakim wówczas latali tamci piloci. Ostatnio, kiedy ich widzieliśmy, korzystali z pomocy jednostki napędowej gwiazdnego pancernika.

Zaczął przyciskać klawisze i zmieniać położenia dźwigni przełączników, żeby systemy obronne frachtowca mogły osiągnąć stany pełnej gotowości.

- O rety - odezwał się półgłosem Vuffi Raa. - To Renatazja- nie. Czasami wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdybym się im pod- dał. Jaka szkoda, że nie znają całej prawdy.

- Daj spokój, zębaty mózdzku! Oni przecież znają całą prawdę i tylko nie mogą wypuścić z rąk kozła ofiarnego, skoro pochwycili go za brodę. Spróbujemy zaskoczyć tych miłośników mynocków i wylećmy im na spotkanie. Co ty na to?

Macki robota zatańczyły po pulpitych kontrolnych i klawiaturach.

- O tym samym myślałem, mistrzu. Przecież po to przylecieliśmy, prawda?

Lando wstał z fotela, ale kiedy poczuł, że kadłub frachtowca zaczyna drzeć, musiał przytrzymać się oparcia, by nie stracić równowagi.

- Masz rację, aczkolwiek nie liczyłem na to, że ściągniemy tu także Renatazjan. Tymczasem Gepta się spóźnia. Jak może się tak guzdrać, skoro wie, że trzyma nas tu jak w potrzasku?

- Nie martw się, mistrzu. Jeszcze się pokaże.

- Wspaniale. — Hazardzista pospieszył na rufę, żeby wspiać się do wieżyczki czterolufowego działka. Opadł na obrotowy fotel i zapiał zatraski ochronnej sieci. - W takim razie, przyjacielu, zaczynamy!

- Tak jest, mistrzu - odezwał się Vuffi Raa z głośnika interkomu. - Przekazuję całą moc



do jednostek napędowych!

„Sokół” przyspieszył, jakby także chciał stawić czoło nieprzyjaciółom, a Lando rozmyślał, czy w swoich planach nie popełnił jakiegoś błędu. Oswaflowie nie mieli brać udziału w walce z renatazańskimi pilotami. Młody hazardzista wpisał wszystkie polecenia do pamięci komputera, skąd zostały przesłane bezpośrednio do umysłów gigantycznych stworzeń. Teraz istoty wiedziały tyle samo, co on, na temat taktyki prowadzenia walki. Skupiając się na tym, co miał zrobić, przygotował działko do strzału. Na próbę przemieścił kilka razy lufę w dół i w górę i z prawej w lewo. Rzecz jasna, i z powrotem. Ruchomy fotel wiernie powtarzał wszystkie ruchy, dzięki czemu ciemnoskóry hazardzista poczuł się, jakby siedział w siodle na grzbiecie szarżującej bestii. Ogarnęło go uniesienie. Pomyślał, że może właśnie dlatego tak lubi obsługiwać działko. Wcisnął guzik interkomu.

- Oddaję kilka próbnych strzałów, Vuffi Raa - powiedział. - I nie nazywaj mnie mistrzem!

- Dobrze, mis...

- Aha! Tym razem cię uprzedziłem!

Obrał jedną z gwiazd za cel, skierował ku niej lufę i przycisnął kciukami oba guziki spustowe. Z luf wyskoczyły strumienie śmiertelnej energii, a same lufy zaczęły sprawiać wrażenie, że wydłużają się i skracają jak w szaleńczym tańcu. Zapewne takie same ruchy wykonywały kiedyś lufy prastarych szybkostrzelnych działek przeciwlotniczych - pomyślał Calrissian. Tym razem chodziło jednak o to, żeby uniknąć wpływu rozproszonej energii, która mogłaby stopić lufy nie plujące ognistymi smugami. Lando wystrzelił jeszcze kilka razy, po czym zerknął na ekran wtórnego monitora, by przekonać się, co widzi Vuffi Raa przed dziobem frachtowca.

- Odległość tysiąc kilometrów, mistrzu, i maleje - poinformował go mały robot. - Ta jednostka pośrodku szyku to kapsuła jakiegoś okrętu. Przypuszczam, że pełni funkcję holownika. Zasięg ochronnych pól osiemdziesiąt pięć kilometrów. Wygląda na to, że nieprzyjacielskie myśliwce, jeden po drugim, odłączają się od kapsuły.

- Trzymaj statek na kursie, mały przyjacielu, i zczekaj, aż przeleć nad nami po raz pierwszy - polecił młody hazardzista.

Spoglądając na ekran wtórnego monitora, zauważył, że piloci myśliwców również włączyli generatory pól siłowych. Wiedział jednak, że osłony tak małych maszyn są na ogół słabe i dziurawe. Po prostu jednostki nie dysponowały dostatecznymi ilościami energii, aby je uszczelnić. Pod tym względem frachtowiec o rozmiarach „Sokoła Millenium” miał nad nimi zdecydowaną przewagę.

- Pięćset kilometrów, mistrzu.

Myśliwce były już widoczne. Przypominały rój mikroskopijnych świecących punkcików, niemal niczym nie różniących się od iskerek gwiazd widocznych poza wlotem Gwiazdogroty. Lando wymierzył lufy działek i usiłował cały czas powtarzać manewry przeciwnika. Starał się wyczuć intencje wrogów. Pomyślał, że to z całą pewnością piloci Klyna Shangi. Wyglądało na to, że sprzymierzili się i z Rokurem Septą, i z kapitanami okrętów floty.

Dwie pierwsze maszyny przeleciały nad kadłubem „Sokoła”. Lando puścił ku nim kilka błyskawic laserowych strzałów, ale myśliwce śmignęły tak szybko, że nikomu nie stała się żadna krzywda. Prawdopodobnie nieprzyjacielskim pilotom chodziło o upewnienie się, czy rzeczywiście mają do czynienia z „Sokołem Millenium” i Vuffim Raa, jego pierwszy oficerem, znanym jako Kat Renatażji.

Robot położył statek bardzo ostro na jedną burtę.

- Dwa następne nadlatują od strony rufy, mistrzu! - zameldował.

- Niech nadlatują! - odkrzyknął Calrissian.

Wiedział, że wzmocnione ochronne pola frachtowca będą dla renatazjańskich pilotów prawdziwym zaskoczeniem. Lando zaczął ze strzelaniem do ostatniej chwili, a później posłał strugi ognia ku większemu myśliwcowi. Jego ochronne pola przestały funkcjonować w drugiej milisekundzie i rozbłysnęły, a potem zanikły. Poważnie uszkodzona maszyna wpadła w korkociąg i odleciała.

Lando obrócił lufy działek, by wymierzyć je w drugą maszynę, ale ta przemknęła nad kadłubem frachtowca i zniknęła. Jeden cel trafiony - pomyślał hazardzista - a jeżeli wierzyć obliczeniom androida, jeszcze tylko dwadzieścia cztery do trafienia.

- Jakie uszkodzenia?

- Żadnych, mistrzu. Nasze pola siłowe spisywały się na medal.

- Ty także spisywałeś się na medal, Vuffi Raa. Dokąd odlecieli?

Odpowiedzi na to pytanie udzieliło mu aż sześć maszyn naraz, które zaatakowały frachtowiec od strony dziobu. Lando postanowił utrudnić zadanie pilotom i zasypał przestworza przed dziobami ich maszyn seriami laserowych błyskawic. Piloci złamali szyk i nie mogąc sprostać takiej nawałnicy ognia, rozproszyli się we wszystkie strony.

- Mistrzu! Następni bandyci prosto na kursie! Jedenastu!

- No cóż, w takim razie zatocz łuk! Nie dosięgnę wszystkich stąd, gdzie przebywam. Nie! Odwołuję polecenie! I bez tego mam dosyć kłopotów.

Czterech pilotów spośród poprzednich sześciu zatoczyło kręgi i zasypując frachtowiec seriami strzałów, ruszyło do drugiego ataku. Lando, który odpowiadał strzałem na każdy strzał, uszkodził jeden myśliwiec, a później trafił drugi w sam środek kadłuba. Maszyna zamieniła się w kulę oślepiającego ognia i płonących szczątków. Ogniste okruchy, nie przestając rozprzestrzeniać się we wszystkie strony, jarzyły się coraz słabiej, aż w końcu zgasły. Mimo to pozostali piloci wciąż jeszcze nie dawali za wygraną. Nawet pilot uszkodzonej maszyny zatoczył niezgrabny obszerny łuk i powrócił, by przyłączyć się do towarzyszy. Lando pochwycił w nitki krzyża celowniczego myśliwiec lecący na czele szyku, po czym przycisnął kciukiem guzik spustowy i coś mruknął.

Następna ognista kula. Kolejna trafiona i uszkodzona maszyna szarpnęła się, zboczyła z kursu i odleciała, ale po sekundzie eksplodowała nie mniej widowiskowo niż poprzednie. Pozostali piloci wykonywali uniki, aby ominąć gasnące szczątki. Zniknęły z widoku, ale hazardzista nie wątpił, że wkrótce ich znów zobaczy.

- Na razie czysto! - wykrzyknął. - Vuffi Raa, możesz zataczać ten łuk!

- Za późno, mistrzu - usłyszał odpowiedź małego androida. - Zniszczyłem dwie maszyny, a jedenaście innych zламаło szyk i odleciało.

Zapadła długa, pełna zdumienia cisza, której obaj omal nie przypłacili życiem. Frachtowiec został zaatakowany przez samotny myśliwiec, który nadleciał z największą możliwą prędkością. Pilot nieprzyjacielskiej maszyny dosłownie w ostatniej chwili włączył silniki ciągu wstecznego, po czym skierował ogień wszystkich działek ku rafowym osłonom dysz silników - czyli punktowi kadłuba chronionemu zazwyczaj przez najsłabsze pole siłowe. Lando podskoczył na fotelu, prawdopodobnie bardziej przerażony własną nieuwagą niż nieoczekiwanym pojawieniem się wroga. Obrócił lufy działek w stronę rufy „Sokoła” i nie przestawał strzelać, dopóki samotny myśliwiec nie zniknął w ognistej chmurze dymu.

Nieprzyjacielski pilot chyba nie mógł być bardziej zdumiony niż Calrissian.

- Czy dobrze słyszałem? - zapytał, zwracając się do małego androida. - Naprawdę powiedziałeś, że zestrzeliłeś dwie maszyny, stary pacyfisto?

Od strony technicznej nie byłoby to niemożliwe. „Sokoła Millenium” wyposażono także w dwa małe działka, zazwyczaj mało skuteczne w walce przeciwko czemukolwiek większemu niż kapsuła ratunkowa. Zostały zamontowane na górnej powierzchni kadłuba i umożliwiały strzelanie osobie przebywającej w sterowni. Lando polecił zsynchronizować

je z pozostałymi, żeby „Sokół” dysponował zwiększoną siłą ognia, ale widocznie Vuffi Raa usunął to sprzężenie - zapewne w ciągu ostatnich kilku dni, a może nawet godzin. Ze sterowni nie napłynęła jednak żadna odpowiedź.

- Vuffi Raa, czy nic ci się nie stało? Cisza.

Eskadra myśliwców, która poszła w rozsypką, prawdopodobnie formowała nowy szyk i przygotowywała się do kolejnego ataku. Zapewne piloci oceniali siłę ognia frachtowca. Jeżeli rzeczywiście byli nimi podwładni Klyna Shang, musieli być zaskoczeni powitaniem ich aż przez dwie kolumny nadlatujących błyskawic.

A może nie byli? Nie spodziewali się, żeby Vuffi Raa mógł brać czynny udział w walce, ale pod względem politycznym (psychologicznym? socjologicznym?) uważali go za najgorszego łotra i zbrodniarza, z jakim kiedykolwiek mieli do czynienia. Jak mogli pogodzić jedno z drugim?

- Vuffi Raa, odezwij się do mnie!

- Tak, mistrzu. Strasznie przepraszam, ale opowiem ci wszystko trochę później. Teraz nie ma na to czasu. Wracają nasi przyjaciele!

Tym razem nadlecieli całą grupą. Zanim Lando zajął się mierzeniem i strzelaniem, naliczył siedemnaście maszyn. Pomyślał, że mniej więcej to by się zgadzało - jeżeli wziąć pod uwagę pięć zestrzelonych i jedną poważnie uszkodzoną. Nie wiedział tego dokładnie, gdyż nie miał zwyczaju stawiania kresek czy krzyżyków, ilekroć zestrzelił jakiś nieprzyjacielski myśliwiec. Chciał tylko wiedzieć, kiedy może zakończyć się walka. Pragnął także zapalić cygaro.

Tymczasem napastnicy pokazywali, co potrafią. Lando starał się odpowiadać strzałami, a ponieważ od czasu do czasu wyczuwał, że generatory pracują pod zwiększonym obciążeniem, orientował się, że Vuffi Raa idzie w jego ślady. Także strzelał, ale nie przestawał pilotować frachtowca. Mimo to ochronne pola zaczynały być bliskie przeciążenia, a jeżeli sądzić po raportach, jakie mały android raz po raz składał ze sterowni, żółte światelka na kontrolnych pulpitych musiały wyglądać jak roje robaczków świętojańskich.

Nagle ognista kula wykwitła w miejscu przestworzy, w które hazardzista nie kierował, a Vuffi Raa nie mógł kierować luf działek. Nieopodal, obywając się bez ochronnych pól siłowych, unosił się Lehesu. Młody Oswaft obrócił się - powoli, majestatycznie i „krzyknął” na inną maszynę, która także zniknęła w kłębach ognistego dymu. W następnej sekundzie ogromne stworzenie zniknęło i niemal natychmiast pojawiło się w pewnej odległości od drugiej burty „Sokoła”.

Nieprzyjacielskie myśliwce odleciały i w przestworzach zapanował względny spokój.

- Lehesu, stary asie! - wykrzyknął Calrissian. - Myślałem, że przebywasz teraz pośród swoich pobratymców!

- Moi inteligentni ziomkowie są w tej chwili gdzieś indziej, Kapitanie mistrzu. Widziałem, że znaleźliście się w opałach, a zatem...

Hazardzista zmarszczył brwi.

- Nie powiedziałbym, że znaleźliśmy się w opałach. Nic podobnego.

Wyciągnął cygaro zza cholewki buta, gdzie umieścił je, zanim zajął się strzelaniem. Zapalił i zaciągnął się dymem, po czym rozparł się na fotelu.

- A ja tak - odezwał się Vuffi Raa ze sterowni. - Dziękuję ci, Lehesu - również za to, że zechciałeś ze mną porozmawiać. Wydaje mi się, że w końcu załagodziłem ten konflikt panujący w moim oprogramowaniu.

Nie spuszczać oka z kontrolnych tablic, żeby nie dać się zaskoczyć przez następnych napastników, Lando zapytał:

- Gdzie w tej chwili podziewają się twoi ziomkowie, Lehesu? Czy czekają, aż dam sygnał

do rozpoczęcia akcji?

- Nie, Kapitanie mistrzu. Postanowili kierować się twoim przykładem. Zamiast czekać, aż nieprzyjaciele wleczą do GwiazdoGroty, polecieli, żeby stawić czoło okrętom floty. Istota, którą Lando nazywał Sen, była zadowolona. W przestworzach za nią płynęło o wiele, wiele więcej niż tysiąc Oswaftów. O wiele więcej niż się spodziewał, przyłączyło się, zawstydzonych przykładem, danym przez Panakapitanamistrzalandacalrissiana, a najprawdopodobniej zachęconych powodzeniem w walce przeciwko pierwszej grupie nieprzyjaciół. Sen postanowił skierować myśl do Feya.

- Jak myślisz, wierny druhu? - zapytał. - Ilu nas polecało?

- Możliwe, że nawet milion. Pozostali postanowili postąpić zgodnie z zaleceniem człowieka i w tej chwili zagłębiają się w ścianach GwiazdoGroty.

Myśl będąca odpowiednikiem wzruszenia ramionami.

- No cóż, zapewne mają rację. Może to uchronić nas od zagłady pewniej niż stawianie do walki z tymi potworami. Lehesu zmusił nas do uwierzenia, że różne istoty mogą mieć odmienne zapatrywania. Możliwe, że owa koncepcja nie jest pozbawiona sensu. Odmienne opinie prowadzą do rozmaitych sposobów przetrwania, spośród których jeden może okazać się skuteczny. Może nawet więcej niż jeden.

W miarę jak zbliżali się do oblężniczej floty, widoczne na tle gwiazd sylwetki okrętów stawały się coraz większe i większe.

- Mam pewne wątpliwości - wyznał Fey. - Chyba wolałbym teraz grać w sabaka. Sama myśl, że możemy zostać uśmierceni...

- Odświeża i ożywia umysł - dokończył starszy z dwóch Oswaftów. - Lehesu ma rację. To lepsze niż tkwić w jednym miejscu i gnuśnieć.

- Każdy wybiera to, co lubi - odparł Fey, z przymusem się uśmiechając.

Pełniący służbę na jednym ze stanowisk ogniowych „Niechętneho” podoficer działonowy w końcu oderwał oczy od wizjera elektronicznego dalmierza.

- Co najmniej milion! - wykrzyknął. - Niech nas Jądro chroni, tam jest ich co najmniej milion!

Zdumiony i przerażony, spojrzał na przełożonego, który natychmiast zeskoczył z pomostu i podbiegł do urządzenia, żeby przekonać się, czy mat mówi prawdę.

- Pomyliłeś się, synu - oświadczył po chwili. - Właśnie komputer wyświetlił najnowsze przybliżenie. Są tam ich dwa miliony!

Sen zachichotał do samego siebie, a później wyskoczył ze sztucznej skóry, którą chwilę wcześniej wytworzył. Pozostawił ją, aby wywieść w pole przeciwników. Wrogowie powinni wykrywać w tej chwili trzy miliony Oswaftów i nawet jeżeli się zorientują, na czym polega sztuczka, nie będą wiedzieli, do kogo mają strzelać.

Jego ziomkowie i on mieli zatem jedną szansę na trzy, a nie jedną na jedną, jak wówczas, kiedy stawali do walki. Rzeczywiście, podczas gry w sabaka można było nauczyć się ciekawych rzeczy. Sen przeskoczył następne kilka kilometrów i zniерuchomił, żeby zmniejszyć szansę do jednej na cztery. Po każdym takim skoku on i jego ziomkowie zmniejszali szansę w postępie arytmetycznym. Wiedział jednak, że czas prawdziwej próby nadejdzie, kiedy zaczną dokonywać skoków i pozostawiać fantomy pomiędzy okrętami oblężniczej floty.

- Jesteś gotów, wierny druhu? - zapytał, zwracając się do Feya, który płynął w przestworzach obok niego.

- Nie jestem, ale przecież to i tak nie ma znaczenia. Zaczynamy.

Pierwszym skokiem pokonali niemal całą odległość dzielącą ich od najbliższego okrętu. Kiedy wyłoniли się z nicości, stwierdzili, że znajdują się w zasięgu ognia dział „Niechętneho”. Zniknęli jednak, zanim artylerzyści mieli czas wymierzyć ku nim lufy laserów. Przedtem

jednak Sen zorientował się, gdzie w przestworzach unosi się następny okręt. Wyłonił się dokładnie pośrodku między nimi i pozostawił fantom, a później znów zniknął - tym razem żeby móc przyglądać się wszystkiemu z bezpiecznej odległości.

Artylerzyści „Niechętneho” postanowili zadać kłam nazwie swojej jednostki. Nie zastanawiając się długo, wymierzili i dali ognia! Z lufy turbolaserowego dział - najnowszego wynalazku w dziedzinie uzbrojenia, jakiego dokonali imperialni konstruktorzy - wydostała się oślepiająco jasna błyskawica. Struga światła przecięła fałszywego Oswafta i trafiła w samo śródkręcie sąsiednią jednostkę, której artylerzyści wystrzelili ułamek sekundy później. Ta laserowa smuga chybiła rufę „Niechętneho”, ale poszybowała dalej i zamieniła w parę jakiś eskortowiec, który miał nieszczęście znaleźć się na jej drodze. Tymczasem fantom Sena rozpułnął się w przestworzach i zniknął, jakby nigdy nie istniał.

Sen postanowił wykonać następny skok, żeby pozostawić jeszcze jeden budzący grozę gigantyczny wizerunek. Osiągnął skutek taki sam, jak poprzednio. Nieprzyjacielscy artylerzyści przypuszczali, że cel pochłonie niemal całą energię strzału, dzięki czemu siłowe pola bliźniaczego okrętu bez trudu uporają się z tym, co może przejść na wylot. Pomylili się, ale mimo to niczego się nie nauczyli.

Milion innych Oswaftów, którzy podążali ze Senem i Feyem, także nie próżnowało. W przestworzach krzyżowały się tysiące, a może nawet dziesiątki tysięcy śmiercionośnych laserowych błyskawic. Zanim dowódcy okrętów floty zorientowali się, na czym polega sztuczka, życie straciło co najmniej kilka setek oficerów, podoficerów i prostych marynarzy.

Wówczas jednak było już za późno. Krzycząc, jak umiał najgłośniej, Sen unicestwił parę myśliwców, a potem skupił energię krzyku na najbliższym krążowniku. Przekonał się jednak, że Lando Calrissian miał rację. Energetyczne osłony okrętu były zbyt silne i skoncentrowane, aby jego starania mogły zostać uwieńczone powodzeniem. Oswaft przestał zatem krzyczeć na liniowce i postanowił witać się tylko z podobnymi do komarów myśliwcami. Raz po raz dokonywał skoku... za każdym razem upewniając się, że wyskoczy dokładnie pomiędzy dwoma liniowymi okrętami.

Trzeba przyznać, że nauczeni smutnym doświadczeniem kapitanowie zorientowali się, że trafiają jednostki własnej floty. Rozkazali, aby podczas każdego strzału artylerzyści zachowywali jak najdalej posuniętą ostrożność. W końcu zabronili strzelać, gdyby laserowa błyskawica mogła choćby tylko uszkodzić najbliższy okręt w szyku. Okazało się jednak, że ów zakaz spowodował przerwanie ognia. Artylerzyści nie widzieli żadnych celów, do których mogliby kierować śmiercionośne smugi światła, nie narażając na zniszczenie lub uszkodzenie jakiegoś krążownika albo pancernika.

Po kwadransie takiej zabawy okazało się, że liczba zdolnych do dalszej walki jednostek zmalała o mniej więcej jedenaście procent. Dopiero wówczas dowódcy floty postanowili wstrzymać ogień.

W ciągu tego kwadransa uszczuplona eskadra pilotów Klyna Shangi przeprowadziła na „Sokoła Millenium” dwa następne ataki, w wyniku których straciła tylko jedną maszynę. Nie przestając pilotować frachtowca, mały android kierował go w stronę wlotu GwiazdoGroty i pola o wiele poważniejszej walki, na którym dowódcy imperialnych liniowców niszczyli jednostki sąsiadów. Poprzez czeluść ciemnego otworu, wiodącego ku otwartym przestworzom, było widać raz po raz przelatujące błyskawice laserowych strzałów. Tu i ówdzie eksplodowały imperialne maszyny. Zasypywały pokłady macierzystych jednostek gradem ognistych okruchów i potęgowały zniszczenia odniesione w wyniku strzałów. W przestworzach śmigali Oswaftowie, ale ponieważ niektóre gigantyczne istoty pozwalały sobie na nieostrożność albo nieuwagę, ich liczba stopniowo się zmniejszała.

Tymczasem Lando Calrissian, który nie opuszczał wieżyczki czterolufowego działka, raz po raz kierował lufy ku nadlatującym przeciwnikom. W pewnej chwili zamienił następną maszynę w kupę płonącego bezużytecznego złomu.

- Hej, to nie był myśliwiec jednego z naszych bandytów! - wykrzyknął. - To maszyna imperialna. Posłuchaj, Vuffi Raa. Gdzie, na wielkie galaktyczne Jądro, jesteśmy?

Nie ruszając się ze sterowni, srebrzysty robot odpowiedział:

- Na skraju obszaru, gdzie toczy się walka Oswaftów z liniowcami floty. Staram się trzymać z daleka od największych jednostek, ponieważ... o rety, zrząbałem następnego!... ponieważ nie potrafimy tak szybko latać jak istoty oddychające w idealnej próżni.

Obok frachtowca przeleciała w zwartym szyku eskadra imperialnych maszyn. Ich piloci zapewne nie zwrócili uwagi na pokiereszowany lekki frachtowiec i skierowali się w stronę krążownika, który właśnie łamał się na połowy. Trzej Oswaftowie wykorzystali moment, kiedy jego kapitan, chcąc uniknąć kolizji z nadlatującym myśliwcem, na krótką chwilę wyłączył generatory ochronnego pola. Stworzenia połączyły siły i skupiły się, po czym dokonały dzieła zniszczenia.

Nagle „Sokół Millenium” został kolejny raz zaatakowany przez pilotów Klyna Shangi. Nie dając za wygraną, Renatazianie nadlatywali parami. Jedni ściągali na siebie ogień obrońców, a inni zasypywali frachtowiec seriami śmiertelnych błyskawic. Lando nie miał nikogo, kto mógłby zastąpić go przy obsłudze działka. Ciemnoskóry hazardzista czuł, że wkrótce ręce odmówią mu posłuszeństwa. Tymczasem pilotowany przez Vuffiego Raa statek zataczał pętle i wykonywał niewiarygodne zwroty. Raz po raz unikał trafienia, a obrońcy nie przestawali odpowiadać strzałami na strzały napastników. W przestworzach krzyżowały się smugi światła. Ginęli ludzie.

Nagle, bez jakiegokolwiek uprzedzenia, wszyscy kapitanowie okrętów oblężnicznej floty wydali rozkaz wstrzymania ognia. Oślepiające sztychy laserowych strzałów zniknęły w jednej chwili, jakby ktoś wyłączył zasilanie gigantycznego stroboskopu. Imperialne myśliwce skierowały się do hangarów macierzystych jednostek.

Lando i Vuffi Raa, a także nie oddalający się od nich Lehesu patrzyli, jak pomiędzy imperialnymi okrętami tworzy się szeroki korytarz. Kapitanowie okrętów nie wyłączyli generatorów ochronnych pól siłowych, a zatem nie musieli obawiać się ataku ze strony Oswaftów. A ponieważ walka ustała, zniknęło niebezpieczeństwo, że artylerzyści ostrzelają sąsiednie okręty.

- Mistrzu, coś pojawiło się na ekranie dalekosieżnego skanera - zameldował Vuffi Raa.

- Daj mi znać, co takiego - odparł hazardzista.

W przestrzeni, gdzie jeszcze kilka chwil wcześniej unosiły się liniowce floty, pojawiła się sylwetka przestarzałego krążownika. Z czarnych jak smoła pokładów sterczały we wszystkie strony jak kolce lufy jakiejś nieznannej broni. Na spodzie kadłuba widniał herb samego Rokura Gepty, a na burtach - gdyby ktoś mógł jeszcze żywić wątpliwości - wymalowano wielkimi literami tylko jedno słowo:

WENNIS

- ...To rozkaz! Macie natychmiast zaprzestać prowadzenia walki i poddać się kapitanowi najbliższego imperialnego krążownika!

Wszystko wskazywało na to, że Vuffi Raa przełączył komunikator na częstotliwość używaną przez kapitanów jednostek Marynarki - pomyślał Calrissian. Spoglądając na jeden z pomocniczych monitorów celowniczych, zauważył jednak, że ekran zamigotał, ściemniał i po chwili ponownie rozbłysnął, by ukazać wizerunek przerażająco znajomej osoby.

- Niniejszy rozkaz wydał i autoryzował czarownik Tundów, Rokur Gepta.

A po chwili:

- Prywatna wiadomość, adresowana do kapitana Landa Calrissiana, przebywającego w tej chwili na pokładzie „Sokoła Millenium”. - Czarownik zbliżył głowę do kamery nadajnika, wskutek czego jego głowa wypełniła niemal całe pole ekranu pomocniczego monitora. - Okazałeś się odważnym, pomysłowym i przedsiębiorczym przeciwnikiem, panie kapitanie, ale podjąłeś walkę, w której jesteś skazany na przegraną. Przede wszystkim dlatego, że gdyby miało okazać się konieczne, jestem gotów wykorzystać do walki z tobą zasoby połowy cywilizowanego wszechświata. Mógłbym pogrzebać cię pod stosami trupów i napełnić całą tę mgławicę wrakami myśliwców, krążowników i pancerników. I nie zawaham się, jeżeli zmusisz mnie, żebym przekonał cię właśnie w taki sposób.

Mimo to daję ci szansę uniknięcia zbędnego przelewu krwi i zmniejszenia strat, jakie z pewnością poniosłyby wówczas obie strony. Proponuję, żebyśmy rozstrzygnęli ten spór tylko między sobą. Staniemy do walki, która raz na zawsze udowodni, kto jest potężniejszy. A zresztą, nie muszę wykorzystywać zasobów połowy wszechświata, aby cię przekonać. Już w tej chwili dysponuję wystarczającą potęgą, żeby uśmiercić wszystkie inteligentne istoty zamieszkujące tę mgławicę. Mogę unicestwić nie tylko wszystko, co tam żyje - do najdrobniejszego mikroorganizmu - ale także sprawić, że już nigdy, przenigdy, nie odrodzi się tam życie.

Przekonaj się o tym na własne oczy!

Uniół rękę i wykonał palcami dziwny, tajemniczy gest. Na innym ekranie, na którym widniała niezgrabna konstrukcja przytwierdzona do rufy staroświeckiego krążownika, pojawił się krótki zielonkawy błysk, jakby ze środka trysnęło coś żywego. Cienka nitka zielonkawego światła pomknęła w przestworzach ku jednej z gromad gigantycznych Oswaftów, którzy od chwili przerwania walki skupili się i tylko obserwowali i nasłuchiwali. Pośród nich byli także Sen i Fey.

Kiedy dotarła do nich strużka światła, ciała gigantycznych stworzeń otoczyła zielonkawa, trupioblada poświata. Niemal natychmiast zniknęła - jeszcze zanim umilkły ostatnie jęki agonii. Bez względu na to, czym była upiorna broń, została pomyślana w taki sposób, że rozróżniała między żywymi istotami a wytworzonymi za namową Landa fantomami. Te ostatnie, nieruchome i niegroźne, pozostały na placu boju.

- To właśnie, drogi kapitanie Calrissian, była próbka moich umiejętności. Musisz wiedzieć, że do ich zademonstrowania wykorzystałem zaledwie dziesięć do potęgi minus siedemnastej ilości mocy, jaką w tej chwili dysponuję. Wystrzeliłem elektromagnetyczną torpedę, niewiele większą niż łatwo wykrywalny wirus. Co więcej, zaprogramowałem ją w taki sposób, żeby po wykonaniu zadania ulegała samozniszczeniu. Gdybym nie przewidział tego w oprogramowaniu, w tej chwili cała okolica przypominałaby pozbawioną śladów życia pustynię. Po tygodniu tak wyglądałaby cała mgławica.

Mimo to proponuję ci inne rozwiązanie: staniemy do pojedynku. Jeżeli zwyciężysz, cała flota utworzy zwarty szyk i opuści rejon ThonBoki. Jeżeli ja wygram, rozpyłę tysiące ton tej substancji po całej GwiazdoGrocie.

Rozumiesz zatem, drogi kapitanie Calrissian, że wyzywam cię na pojedynek, w którym ja albo ty oddamy życie.

## ROZDZIAŁ XVII

- Mamy nad nim jedną przewagę, mistrzu.

Vuffi Raa właśnie powrócił z pokładu „Wennisa”, dokąd udał się na polecenie Rokura Gepty. Miał pełnić obowiązki sekundanta Calrissiana i zapoznać się z warunkami pojedynku. Kryształki lodu, widoczne na pięciobocznym torsie małego androida,

zamieniały się w kropelki wody. Ściekały na płyty pokładu małej śluzy, usytuowanej pod włazem widniejącym w górnej powierzchni kadłuba „Sokoła”.

- To coś absolutnie fantastycznego, stary stręczycielu - odrzekł ponuro młody hazardzista.  
- Słyszałem kiedyś, że osoby tonące podobno miały zwyczaj chwytania się czegoś, co nazywały brzytwami. Nie mam pojęcia, czy to prawda, ale nie mogę przegapić żadnej nadarzającej się okazji.

Wyrżał przez iluminator. Po jednej stronie skupiły się gigantyczne liniowce floty, których liczba - pomimo strat poniesionych w wyniku bratobójczej walki — wynosiła nadal coś około pięciuset.

Ciemnoskóry hazardzista wiedział, że gdyby wyrżał przez inny iluminator, zobaczyłby unoszące się w równie zwartym szyku myśliwce pilotów Klyna Shangi - a przynajmniej te, które nie uległy zniszczeniu podczas walki z „Sokołem” - ponownie dołączone do jednostki napędowej kapsuły „Wennisa”, Przyciągający promień został wyłączony, a zresztą i tak byłby niewidoczny, ale utworzony szyk pozwalał Renatazjanom na wybór tylko jednego z dwóch manewrów.

Zrezygnowany Lando pokręcił głową, po czym rzucił okiem na długą listę czynności, które musiał wykonać, zanim przystąpi do walki. Później wyciągnął najlepszy kosmiczny skafander i zaczął się ubierać.

- To prawda, mistrzu - odezwał się Vuffi Raa. - Czy przypominasz sobie, że nie kto inny, tylko Rokur Gepta jest odpowiedzialny za to, iż wygrałeś mnie w sabaka? To właśnie on... no cóż, podsunął mnie ottdiefie Osunowi Whettowi. Czarownik przypuszcza, że mnie dobrze zna... i z pewnością nadal uważa, iż potrafi zaprogramować mnie w taki sposób, abym cię znów zdradził. Młody hazardzista uniósł głowę i odłożył na bok parę próżniowych rękawic, które właśnie zamierzał włożyć. Zamiast tego wyciągnął i zapalił cygaro. Miał przeczucie, że ostatnie w życiu.

- Mów dalej, to bardzo ciekawe- oznajmił ponuro. - A potrafi?

- Nie ma mowy. Co więcej, wciąż jeszcze jest przekonany, że jestem ograniczony przez zakazy mojego oprogramowania. Wyobraża sobie, że nie mogę brać czynnego udziału w walce. Lando wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Wiesz, co? - zapytał. - Chyba i ja nie do końca rozumiem, o co w tym chodzi. Rzecz jasna, właśnie dlatego zezwolił, a nawet nalegał, żebyś został moim sekundantem i pomagał mi w razie konieczności. Oświadczył, że się zgadza - jak powiedział - by wyrównać przewagę, jaką daje mu władanie tajemnymi mocami. Na znak potwierdzenia mały robot uniósł jedną chromowaną giętką mackę.

- A zatem, pozostaje nam tylko zastanowić się, co zrobimy, kiedy znajdziemy się w przestworzach. Czy masz może jakiś pomysł?

Lando zaciągnął się głęboko dymem z cygara, a potem powoli go wypuszczał, jakby chciał nacieszyć się każdą chwilą.

- Oczywiście, że mam, stary czarownidzu. Warunki są takie, że każdemu z nas wolno posługiwać się tylko jedną sztuką broni, tak?

- Niezupełnie, mistrzu. Ty możesz się posługiwać bronią. Ja nie mogę. Czarownik nie powiedział, jaką wybierze, a ja nie pytałem. A zresztą, i tak nie mielibyśmy na to żadnego wpływu.

- To prawda, ale powiedz mi, czy on wie, że możesz pozwalać swoim mackom, aby myślały same za siebie?

Wielkie fasetkowe oko Vuffiego Raa rozjarzyło się intensywniejszym blaskiem.

- Nie, mistrzu. Nie sądzę, by to wiedział. - Wspaniale. A więc zrobimy tak... I nie nazywaj mnie mistrzem.

Rokur Gepta stał w śluzie „Wennisa” i przez mały okrągły bulaj w klapie obserwował



kadłub „Sokoła Millenium”. Nie przerywając ubierania się w kosmiczny kombinezon, patrzył, jak kapitan frachtowca i jego sekundant wydostają się przez otwór włazu. Strój, jaki wkładał, sporządzono z matowej tkaniny ciemnoszarej barwy, do złudzenia przypominającej kolor ścian GwiazdoGroty. W pewnej chwili czarownik odwrócił się i spojrzał na towarzyszącego mu oficera, nominalnie pełniącego obowiązki kapitana „Wennisa”.

- Jesteś pewien, że dobrze zrozumiałeś moje rozkazy? - za-syczał z groźbą w głosie.

- T... tak, wasza wysokość - odparł oficer, nie zmieniając nieszczęśliwego wyrazu twarzy.

- Bez względu na to, jakim wynikiem zakończy się pojedynek, mam unicestwić wszystkie żywe istoty przebywające we wnętrzu GwiazdoGroty.

Z wysiłkiem przełknął ślinę na myśl o wykonaniu tak niegodnego oficera imperialnej Marynarki rozkazu. Mimo to nadal stał wyprostowany jak struna i przyglądał się, jak czarownik chowa głowę we wnętrzu hełmu.

- Dokładnie tak, kapitanie - syknął Gepta. - I pamiętaj, że jeżeli przyjdzie ci do głowy pomysł, iż mógłbyś nie wykonać polecenia w przypadku mojej śmierci, zabici zostaną wszyscy członkowie twojej rodziny. Ich życie zależy od tego, czy okażesz się człowiekiem godnym zaufania. Może nie wiesz, ale właśnie dlatego wysłałem przed kilkoma minutami kuriera do twojego rodzinnego systemu. Sam zadecydujesz o tym, co stanie się z najbliższymi.

- Rozumiem, wasza ekscelencjo.

- To bardzo dobrze. A zatem, wyjdź ze służby, tak bym mógł opróżnić ją z powietrza. A może wolisz mi towarzyszyć i wyskoczyć w próżnię na mały spacer?

Klyn Shanga obserwował, jak Vuffi Raa, zniechęcony Kat Renatazji, wyłania się z włazu „Sokoła Millenium”. Mały potwór miał na sobie taki sam maskujący kosmiczny strój, który nadawał mu - jak wówczas, w systemie Oseona - wygląd nieszkodliwego automatu. Renatazjański wojownik wyciągnął rękę i pstryknął kilkoma przełącznikami. Silniki myśliwca zawyły, kiedy generatory dostarczyły im zwiększoną dawkę mocy. Później mężczyzna skierował dłoń w stronę mechanizmu spustowego, ale przekonał się, że jego palce lekko drżą. Spokojnie, żołnierzu - powiedział sobie. - Zaciśnij zęby i wytrzymaj. To jeszcze tylko kilka minut.

Nagle jeden z myśliwców jego eskadry wyłamał się z szyku i kierując się ku frachtowcowi, śmignął w przestworzach. Shanga otworzył usta, aby krzyknąć: „Bemie, nie rób tego”, ale przekonał się, że i tak by nie zdążył. Z zainstalowanego na pokładzie „Wennisa” działa wystrzelił kilkudziesięciocentymetrowy słup światła i w tym samym ułamku sekundy Dwudziesty Trzeci przemienił się w ognistą kulę.

- Przykro mi, panie admirale - zatrzeszczał głośnik komunikatora myśliwca Shang. - Wykonywałem rozkaz wydany przez czarownika Tundów. Nikt i nic nie może zakłócić przebiegu tego pojedynku.

A zatem, nie będzie zemsty, nie będzie wymierzenia dziejowej sprawiedliwości - oświadczył sobie Renatazjanin - o ile czegoś nie wymyśli. I to szybko. Wysiłki dziesięciu lat życia jego i podwładnych miały pójść na marne. Chyba że...

Nagle uwagę Klyna Shang. przykuło coś, co poruszało się w pobliżu burty „Wennisa”. Z otworu włazu wyłonił się Rokur Gepta. Renatazjanin obserwował, jak przewrotny czarownik, posługując się niewielkimi silniczkami, bardzo szybko pokonał połowę odległości dzielącej krążownik od frachtowca i równie zręcznie znieruchomiał, kiedy dotarł na miejsce walki. Zaplótł na torsie ręce ukryte wewnątrz próżniowego kombinezonu i unosił się nieruchomo, czekając na przybycie przeciwników. Klyn Shanga przeniósł spojrzenie na młodego hazardzistę. Ubrany w jaskrawożółty próżniowy skafander, właśnie leciał w kierunku czarownika. Znieruchomiał, kiedy do pokonania zostało kilkanaście metrów.

Vuffi Raa, który podążał kilka metrów za nim, uczynił to samo.

Chyba miliardy oczu - a także pełniących taką samą funkcję fotoreceptorów - przyglądało się, jak czarownik kiwnął głową. Uczynił ledwo zauważalny gest, zapewne mający oznaczać coś w rodzaju podziwu albo uznania. Chwilę później, nie uprzedzając o zamiarze ruszenia do ataku, uniósł szybko prawą rękę. Świetlista smuga przecięła miejsce, w którym Lando...

...znajdował się zaledwie przed chwilą. Hazardzista zawirował w przestworzach, ale bardzo szybko znów odzyskał panowanie nad ruchami. W jego dłoni błysnęło coś małego, lecz młody mężczyzna nie zdecydował się na oddanie strzału. Zamiast tego wykonał w próżni zawiły piruet, aby uniknąć trafienia przez którąkolwiek z dwóch następnych błyskawic, jakie wystrzeliły z lufy broni podstępnego czarownika. Korzystając z tego, że Gepta poświęcał całą uwagę mierzeniu i strzelaniu, Vuffi Raa także zmienił położenie. Przemieszczając się ostrożnie i powoli, starał się zejść od tyłu odzianą w ciemnoszary strój istotę. Jeszcze dwa strzały... i nagle Gepta uświadomił sobie, na co się zanosi. Odwrócił się jak użądłony, ale uczynił to ułamek sekundy za późno. Mały robot odłączył od torsu wszystkie pięć macek, ale nie przestał przemieszczać się z miejsca na miejsce. Czarownik uzmysłowił sobie, że zaczyna poddawać się hysterii. Raz po raz strzelał, usiłując trafić macki, lecz lśniące metalowe węże wiły się w przestworzach jak żywe. Mimo to każdy ruch przybliżał je do celu. Strzał, unik, strzał, następny unik... jak zaczarowane, macki znikwały z miejsca, w które mierzył Gepta. Mimo to zbliżały się; coraz bardziej się zbliżały...

Nagle Lando wystrzelił! Cienka nitka światła trafiła Geptę dokładnie w środek pleców. Niewiarygodne, ale niosąca niewielką energię wiązka, która wydostała się z lufy paralizatora, przeniknęła przez kombinezon i ciało istoty i poszybowała w przestworza, jakby nie wyrządziła żadnej krzywdy. Przeleciała o metr od pięciobocznego torsu Vuffi Raa, który nieporadnie przemieszczał się coraz dalej od pola walki. Zapewne pragnął trzymać się w bezpiecznej odległości i pozwalał, żeby do ataku ruszały macki.

Gepta ponownie zawirował. Odwrócił się ku hazardziście i trzy razy wystrzelił. Ostatnia smuga światła trafiła młodzieńca w stopę. W przestworzach pojawiła się chmurka gazu i zapewne rozległ się jęk bólu - ale nawet, jeżeli tak się stało, nie usłyszał go nikt z wyjątkiem Calrissiana. W następnej sekundzie skafander został automatycznie uszczelniony, a ukryta we wnętrzu aparatura medyczna zajęła się uśmierzaniem bólu, jaki mógł odczuwać właściciel. Lando nie potrafiłby powiedzieć, czy został ciężko ranny, ale upewnił się, że nadal może walczyć. Wiedząc, że pozostaną mu już tylko trzy strzały, wymierzył do czarownika i strzelił po raz drugi. Tym razem trafił w środek torsu. Ponownie jednak promień przeleciał na wylot i chyba nie wyrządził istocie najmniejszej krzywdy. Nagle wokół szyi Gepty owinęła się macka.

Klyn Shanga obserwował, jak odziana w ciemnoszary strój postać wykonuje dziwaczne ruchy. Zapewne pragnęła uwolnić się z uścisku chromowanego węża. Nie zmieniając swojego punktu obserwacyjnego, siwiejący mężczyzna przyglądał się, jak macka nie tylko się nie odrywa, ale chyba nawet jeszcze mocniej zaciska się wokół szyi. Wtem zamarł, rażony nagłą myślą niczym gromem.

Vuffi Raa, nazywany przez nich Katem Renatazji, był rzeczywiście tylko automatem!

Żadne inne wyjaśnienie nie mogło tłumaczyć umiejętności odłączania macek od reszty ciała. Jeżeli jednak miałyby to okazać się prawdą, co stanie się z ich zadaniem? Na kim teraz wywrą zemstę? Co pozostanie z jedyne go celu, jaki sobie postawili; z jedyne go sensu życia, jaki mieli od chwili unicestwienia ich cywilizacji?

Nagle Klyn Shanga poczuł, że kadłub jego myśliwca przeniknęło dziwne drżenie. Uświadomił sobie, że właśnie zaniknęła więź nastawione go na jedną setną mocy

promienia przyciągającego, który jeszcze przed chwilą łączył wszystkie myśliwce eskadry z awaryjną kapsułą. Ta zaś, jak gdyby uwolniona od ciężaru renatacjańskich maszyn, skoczyła, pozostawiając je za sobą. Wiele wskazywało na to, że nikt z członków załóg okrętów ani pomocniczych jednostek floty nie zwrócił na ten fakt uwagi. Widocznie tak bardzo wszyscy byli pochłonięci toczącym się pojedynkiem. Shanga jednak to zauważył.

- Hej, tam, kapsuła! - krzyknął, zbliżywszy usta do mikrofonu komunikatora. - Co się dzieje? Kto się bawi urządzeniami sterowniczymi?

- To ja, ottdeda Osuno Whett- usłyszał skrzeczącą, zniekształconą odpowiedź. - Mam zamiar zakończyć tę farsę. Chcę zniszczyć robota i uśmiercić hazardzistę. I uczynię to, nawet gdybym przy tej okazji miał zabić czarownika! Nikt z nich nie zasługuje na to, żeby...

Kolejna myśl, która eksplodowała w mózgu Shangi niczym pocisk. Ten głos! Rozpoznawał ten głos - może właśnie dlatego, że nie towarzyszył mu widok wydającej go istoty. To Whett był wówczas pomocnikiem Kata Renatacji. Whett pełnił obowiązki jego sługi i pomocnika. A zatem, to Whett był...

... Katem Renatacji! To on musiał nim być! Nie mogło istnieć żadne inne wytłumaczenie...

Zatoczywszy ciasny łuk, Klyn Shanga wymierzył lufy pokładowych działek w kapsułę. Zauważył jednak, że nieco większą jednostkę otoczyła mgiełka energetycznego ochronnego pola siłowego. Prawdopodobnie zaprojektowane je z myślą o zapewnieniu bezpieczeństwa admirałowi podczas podróży z pokładu jednej jednostki na pokład innej albo lądowania na powierzchni planety. Smugi strzałów Shangi rozprysnęły się na kulistej czaszy niewidocznej osłony i w postaci ognistych bryzgów poszybowały w przestworza.

- Tu mówi Zero, Dowódca! - krzyknął do mikrofonu, nie zapomniawszy o przełączeniu komunikatora na częstotliwość używaną podczas rozmów z pozostałymi pilotami. - Strzelajcie do kapsuły! Nasz cel znajduje się na jej pokładzie! Wyjaśnię wam wszystko, jeżeli przeżyjemy!

Ogarnięty rozpaczą, przycisnął kilka guzików usytuowanych na pulpicie zdalnego sterownika. Wiedział, że tylko w taki sposób zdoła przejąć kontrolę nad sterami łupiny. Nie mógł przekonać Whetta, aby zrezygnował z planów, ani też zmusić go do wyłączenia generatora ochronnego pola. Potrafił jednak zapobiec dokonaniu skoku w nadprzestrzeń, a także na nowo włączyć promień przyciągający.

Wybrał to drugie. Wszystkie myśliwce drgnęły, jakby pchnięte niewidzialną ręką, i natychmiast zajęły poprzednie miejsca w szyku. Nie wyłączając dopływu mocy do jednostki napędowej, Shanga rozkazał podwładnym, żeby włączyli silniki swoich maszyn. Powoli, jakby z namysłem, wszystkie renatacjańskie myśliwce wyruszyły w drogę.

Tym razem dostrzegł to czujny obserwator pełniący służbę na mostku „Wennisa”.

- Uwaga Zero, tu „Wennis” — zatrzeszczał głośnik komunikatora. - Natychmiast zastopujcie, gdyż w przeciwnym razie rozpylimy was na atomy i rozproszymy je po całej mgławicy. Powtarzam...

Ostrzeżenie się powtórzyło. Nie przejmując się nim, Klyn Shanga zwiększył prędkość lotu całej grupy i zmienił kierunek, tak aby eskadra - i bezradny jeniec, który rozpaczliwie, ale na próżno usiłował odzyskać panowanie nad sterami kapsuły - skierowała się ku wycofanemu z czynnej służby przestarzałemu krążownikowi. Lecąc coraz szybciej i szybciej, przemknęli obok miejsca w przestworzach, gdzie nie przestawał się toczyć pojedynek między Geptą a Landem i małym androidem, po czym obrali kurs na śródokręcie gigantycznego liniowca.

Rozproszony słup światła trafił łupinę w środek dziobu. Pomimo to ochronne pole zdołało

przejąć część energii strzału. Pozostała część, odbita od kulistej powierzchni tarczy, rozproszyła się i poszybowała w przestworza. Po drodze otarła się o znacznie słabsze siłowe pola kilku maszyn. Kiedy cała eskadra znalazła się w odległości kilkuset metrów od kadłuba „Wennisa”, Shanga posłużył się zdalnym sterownikiem, żeby wyłączyć generator promienia przyciągającego. Zatoczył ciasny łuk, a podwładni - jakby umieli czytać w jego myślach albo reagowali odruchowo, nauczeni wieloletnim doświadczeniem - ułamek sekundy później powtórzyli ten manewr. Wszystkie myśliwce przeleciały nad kadłubem krążownika jak ławica srebrzystych, przerażonych rybek.

Gnana dalej siłą rozpędu, kapsuła wbiła się w śródkręcie ogromnego liniowca. Widocznie ochronne pola „Wennisa” - wyłączone, aby czarownik mógł powrócić na pokład po zakończeniu pojedynku - nie zostały w porę przywrócone. Awaryjna kapsuła przebiła pancerz okrętu i zniknęła w trzewiach lewiatana. Przez kilka następnych chwil nic się nie wydarzyło. Później - po upływie czasu koniecznego na przewycięzenie siły bezwładności - systemy mające zapobiec rozprzestrzenianiu się skutków wybuchu nie zdołały opanować sytuacji.

Wnętrznosciami „Wennisa” targnęła siła tytanicznej eksplozji. Ze środka buchnął dym i rozżarzone do białości szczątki. Po chwili rozprzestrzeniająca się chmura ognistych gazów pochłonięła wszystko, co było do pochłonięcia: kadłub krążownika, awaryjną kapsułę, antropologa i członków załogi, którzy mieli nieszczęście przebywać na pokładzie liniowca. Potężna siła szarpnęła nawet kadłubami dwóch najbliższych myśliwców Klyna Shangi. Maszyny zaczęły koziołkować w locie, ale niemal natychmiast piloci odzyskali panowanie nad sterami.

Na widok eksplozji Rokur Gepta, Vuffi Raa i Lando, toczący trochę dalej w przestworzach pojedynkę na śmierć i życie, zamarli jak sparaliżowani. Czarownik wpatrywał się w kulę ognia, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Lando ocknął się pierwszy. Wyciągnął rękę z miniaturowym paralizatorem, wymierzył i...

...w tej samej sekundzie został tracony przez koziołkujący w przestworzach odłamek metalu. Wystrzelona z lufy broni nitka światła chybiła celu, ale zdołała trafić przeciwnika w piętę.

Oslupiały z przerażenia hazardzista patrzył, jak osłaniający ciało Rokura Gepty ciemnoszary kombinezon kurczy się i zmienia kształty. Uruchomił silniczek manewrowe swojego skafandra i podpłynął do magika. Zobaczył, jak przytrzymywany kurczącymi się palcami wielki, ciężki wojskowy blaster obraca się, strzela, obraca się, znów strzela... Na wysokości nie istniejącej głowy czarownika unosiła się samotna macka Vuffiego Raa, która nie miała się wokół czego owinać... W przestworza poszybował trzeci strzał z blastera, wciąż jeszcze trzymanego nienacką, dematerializującymi się palcami. Mimo iż oddany na oślep, pokonał odległość prawie stu metrów i trafił niemal w sam środek pięciobocznego torsu małego androida.

Błyszczący metal na chwilę rozjarzył się niczym miniaturowe słońce. Później ściemniał... a wraz z nim ściemniało wielkie rubinowe oko, usytuowane dokładnie pośrodku metalowego pięcioboku. Po kilku sekundach zmatowiało, szcerniało i zgasło.

Lando szarpnął materiał tego, co pozostało z ciemnoszarego kombinezonu Rokura Gepty. W miejscu, gdzie zazwyczaj powinna tkwić stopa właściciela, znalazł niewielkie oślizgłe galaretowate stworzenie, podobne do częściowo ugotowanego ślimaka. Wyglądało jak unurzany w sadzach winniczek - tyle że z tułowia sterczało kilkanaście cienkich czarnych włochatych odnóży. Hazardzista doszedł do wniosku, że ma przed sobą jedną z najobrzydliwszych istot, jakie zdarzyło mu się widzieć kiedykolwiek w życiu.

Stworzenie było Krokiem i pochodziło z niewielkiego, paskudnego gwiazdnego systemu, do którego zdarzyło mu się kiedyś zabłądzić. Istoty uważano za inteligentne, ale

niewiarygodnie złośliwe. Co więcej, uchodziły za mistrzów w oszukiwaniu i udawaniu. Ta, na którą spoglądał, wciąż jeszcze dawała oznaki życia. Kombinezon ochronił ją przed śmiercią, a wszystko wskazywało na to, że Krok nie obawiał się przebywać - przynajmniej jakiś czas - w absolutnej próżni. Lando rozerwał uszkodzony strój do końca, a później wyjął oszołomione oślizgłe stworzenie, które jeszcze kilka chwil wcześniej było Rokurem Geptą, i porządnie ścisnął. Kiedy przestał, rękawice jego kosmicznego skafandra ociekały lepką mazią, ale mógł być pewien, że już nigdy, przenigdy żaden czarownik Tundów nie sięgnie po władzę we wszechświecie czy chociażby tylko w jednej galaktyce.

Jakby tylko czekali na śmierć Gepty, kapitanowie imperialnych liniowców wznowili ostrzeliwanie Oswaftów, którzy znaleźli się w zasięgu ich laserów. W ciągu pierwszych sekund zginęło setki istot... później jednak dowódcy musieli zająć się innymi problemami. Do walki przyłączyli się piloci Klyna Shang. Zaatakowali krążowniki i pancerniki, aby dać oddychającym w próżni stworzeniom czas na otrząśnięcie się ze wstrząsu i ucieczkę tam, gdzie nikt nie wyrządzi im żadnej krzywdy. Jeden myśliwiec eksplodował, chwilę później drugi... ale renatacjańscy piloci ocalili życie tysiącom Oswaftów.

**- NATYCHMIAST PRZERWAĆ WALKĘ, GDYŻ W PRZECIWNYM RAZIE ZOSTANIECIE UNICESTWIENI!**

Wezwanie usłyszeli wszyscy posługujący się komunikatorami, ponieważ nadano je na wszystkich używanych częstotliwościach. Hazardzista oderwał spojrzenie od zwęglonego torsu małego przyjaciela. Pozbierał macki, bezradnie dryfujące w przestworzach — w nadziei, że potrafi przytwierdzić je do reszty metalowego ciała albo może jakimś cudem same się dołączą. Nie wiedząc, co robić, trzymał je, martwe i nieruchome jak uśmiercone segmentowane węże. Nagle zobaczył coś, w porównaniu z czym nawet zabici Starsi Oswaftów wydali mu się karzełkami. Owo coś miało większe rozmiary niż najpotężniejsze pancerniki obłętniejszej floty.

To był największy gwiazdny statek, jaki Lando widział w życiu. Miał co najmniej pięćdziesiąt kilometrów średnicy i wyglądał jak gładkie, wypolerowane i pozbawione jakichkolwiek szczególnych cech srebrzyste jajo. W niewielkiej odległości za pierwszym unosił się w przestworzach drugi identyczny potwór. Nieco dalej za nimi, z lewej i z prawej, wyłaniały się z ciemności następne. Wkrótce pojawiło się ich tyle, że hazardzista nie potrafił wszystkich zliczyć. Niektóre przenikały przez rzekomo nieprzepuszczalne ściany GwiazdoGroty tak łatwo jak przez mgłę czy obłoki pary. Były ich setki, tysiące, dziesiątki tysięcy.

Nagle jakiś półgłówek, obsługujący laserowe działło na pokładzie „Krnąbrnego”, otworzył ogień do najbliższego potwora. Widocznie postanowił zrobić użytek z najnowocześniejszego wynalazku imperialnych inżynierów, gdyż w przestworza poleciał metrowej średnicy słup niszczącego światła... pulsujący ogromną energią, ciemnozielony, wygłodniały. W tym samym ułamku sekundy z gigantycznej jednostki lecącej na czele pozostałych wystrzelił podobny snop purpurowego światła. Pochwylił zieloną błyskawicę dokładnie w pół drogi i powstrzymał ją, a później zmusił do cofnięcia. Spychał ją coraz szybciej z powrotem ku „Krnąbrnemu”. Kiedy wepchnął ją do lufy turbolaserowego działła, cały krążownik eksplodował i przemienił się w gigantyczny obłok rozjarzonych gazów.

**- WSTRZYMAĆ OGIEŃ ALBO ZOSTANIECIE UNICESTWIENI! TO OSTATNIE OSTRZEŻENIE! NIE BĘDZIE NASTĘPNEGO!**

Oddychając z wielką ulgą, ciemnoskóry hazardzista przyglądał się, jak wciąż nowe gigantyczne jednostki przenikają przez ściany GwiazdoGroty. Chyba nikt nie potrafiłby powiedzieć, ile nieznanymi okrętów unosiło się w przestworzach, w których jeszcze niedawno toczyła się zażarta walka. Calrissian pomyślał, że gdyby wszystkie znalazły się we wnętrzu ThonBoki, wypełniłyby ją od krańca do krańca, mimo iż mgławica miała

kilkanaście lat świetlnych średnicy.

Nagle uświadomił sobie, że o jego mózg ociera się czyjaś myśl. Jakimś cudem zorientował się, że jest jedynym odbiorcą, do którego przekazywano ją za pomocą bardzo silnie skupionej niematerialnej wiązki. W słuchawkach hełmu usłyszał:

- To ty jesteś kapitanem Landem Calrissianem, prawda? Walczyłeś mężnie i twoja walka nie będzie zapomniana. Bolejesz z powodu straty swojego przyjaciela. Ja także boleję, ponieważ był moim jedynym synem.

## ROZDZIAŁ XVIII

- Sabak! - odezwał się Pierwszy. - Na Ośrodek Wszystkiego, Lando, byłem pewien, że jeżeli tylko się odważymy, możemy nauczyć się niejednej ciekawej rzeczy.

- No cóż, to prawda - przyznał hazardzista. - Mimo to musisz się jeszcze nauczyć, na czym polega różnica między szczęściem w grze a umiejętnością. Jeżeli wziąć pod uwagę ostatnie rozdanie, przegrywasz do mnie dokładnie osiemnaście miliardów, a ja nawet nie wiem, czego używamy jako pieniędzy.

Młodzieniec zaciągnął się aromatycznym dymem. Przez chwilę nie wypuszczał go z płuc i obserwował, jak jego rozmówca, posługując się segmentowaną metalową macką, zgarnia ze stołu wszystkie siedemdziesiąt osiem kart-płytek. Po kilku sekundach, kiedy Lando wypuścił dym, Pierwszy przystąpił do rozdawania. Wręczył dwie karty Calrissianowi, dwie Klynowi Shandze i dwie wyciągniętej macce zdalnie sterowanego manipulatora reprezentującego Drugiego. Jego oko - na znak radosnego uniesienia i niecierpliwego oczekiwania - płonęło ciemnoszkarłatnym blaskiem.

- Wielka szkoda - ciągnął hazardzista. - Gra byłaby o wiele ciekawsza i szybsza, gdyby uczestniczyło w niej pięciu graczy. Niestety, Vuffi Raa...

- Każdy z nas - wtrącił się Drugi - obiera własny szlak, który wiedzie go po bezdrożach wszechświata, a zatem musi podążać nim, dokądkolwiek go zaprowadzi. To cecha, którą nazywamy odpowiedzialnością, a wyrzeczenie się jej...

— Dajcie spokój, pięciomackie pajace! — obruszył się Klyn Shanga. - Przestańcie filozofować i zajmijcie się grą w karty! Czy wiecie, ile czasu minęło, odkąd siedziałem przy prawdziwym stoliku...

- I bezustannie usiłowałem dostać kartę, która razem z pozostałymi pozwoliłaby mi zgarnąć całą pulę? Mam rację, panie admirale? — Lando mrugnął porozumiewawczo do Renatazjanina. - To lepsze niż unikanie strzałów laserowych dział czy promieni niszczących. Cieszę się, że postanowiłeś opowiedzieć się po naszej stronie, a jeszcze bardziej jestem rad z tego, że okazujesz się lepszym pilotem niż graczem w sabaka.

- Dopiero się rozgrzewam. Daj mi jeszcze jedną szansę, a przekonasz się, że zabiorę ci wszystko, co dotąd wygrałeś. I każę zapłacić żywą gotówką!

Wszyscy się roześmieli. Jak to dobrze mieć świetlicę wypełnioną gośćmi - pomyślał hazardzista. - Człowiek czuje się wówczas jak w salonie pasażerskiego liniowca. Żałował jednak, że z jego życia zniknął pewien gość, dla którego znalazł w sercu specjalne miejsce. I to stosunkowo niedawno. Albo prawie niedawno.

— Mieliście ostatnio jakieś wiadomości od Lehesu? - zapytał, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Przez chwilę przyglądał się, jak Dowódca manierek przeistacza się w jego dłoni w trójkę klepek. Wiedział, że dzieje się tak za sprawą jakiejś elektronicznej sztuczki, a jednak zawsze na ten widok dostawał gęsiej skórki. Shanga zmarszczył brwi, co stanowiło nieomylny znak, że Renatazjanin dostał dobre karty. Lando zwrócił na to uwagę już po dwóch albo trzech pierwszych rozdaniach. Pomyślał, że tym razem nie

powinien za bardzo podbijać stawki.

Dowódca renatazjańskich pilotów, nie przestając marszczyć brwi, pokręcił głową.

- Jeden z moich chłopaków powiedział coś, z czego wynikało, że w końcowej fazie bitwy widział średniej wielkości Oswafta wynoszącego się z pola walki. Zanim istota zniknęła, oświadczyła, że wyrusza w pościg za kimś, kogo chce dogonić. Chodziło chyba o jakiegoś kuriera albo wysłannika. Czy to prawda, że ziomkowie Lehesu zamierzają przyznać mu tytuł Najwyższego Najdostojniejszego Safandudy czy kogoś w tym rodzaju?

Z wnętrza reprezentującego Pierwszego metalowego manipulatora wydobyło się coś podobnego do elektronicznie syntetyzowanego chichotu.

- Wygląda na to, że Oswaftowie doszli do przekonania, iż zdolność przewodzenia - a przynajmniej rozsądek - niekoniecznie muszą iść w parze z wiekiem. Bardzo mnie to cieszy, ponieważ jestem najmłodszym spośród wszystkich swoich ziomków... to znaczy, byłem, zanim Vuffi Raa... ehm, chyba wezmę jeszcze jedną kartę, dżentelisty.

Okazało się, że gdzieś, daleko, na drugim krańcu galaktyki, spoczywała - solidnie zakotwiczona i unieruchomiona - skarbnica całej wiedzy, zgromadzonej przez Pierwszego, Drugiego i Pozostałych. Wszyscy mieli postać gigantycznych, mających pięćdziesiąt kilometrów średnicy gwiazdnych statków. Dysponowali własnym napędem i byli automatami wytworzonymi przez prastarą cywilizowaną rasę.

Shanga postanowił dowiedzieć się na ten temat czegoś więcej.

- Nigdy nie potrafiłem pojąć tego, właściwie kto was skonstruował, chłopaki - powiedział.

- Mam nadzieję, że nie macie mi za złe, że sprowadzam rozmowę na problemy związane z waszą religią?

- Oczywiście, że nie - odrzekł Pierwszy. - To były inteligentne istoty wyglądające zupełnie jak te zdalnie sterowane manipulatory. Pośród nas są tacy, którzy jeszcze pamiętają, jak wyglądały. Ja, niestety, nie zaliczam się do ich grona. Wiem tylko to, co zapamiętałem, zapoznając się z informacjami, przekazanymi za pomocą cybernetycznych metod. Istoty nie należały do miłośników międzygwiazdnych lotów. Jakoś nie pociągało ich poznawanie wszechświata. Pewnego razu jednak, kiedy pobliska gwiazda eksplodowała i przemieniła się w supernową, doszczętnie wyginęły, zabite przez śmiercionośne promieniowanie. Pozostawiły po sobie tylko kilka inteligentnych automatów. To właśnie one były moimi praprapraprzodkami. Wyruszyliśmy do gwiazd i zbadaliśmy sporą część naszego ramienia galaktyki. Przekonaliśmy się jednak, że - prawdopodobnie na skutek istnienia wielu niestabilnych gwiazd i gromad - tylko w nielicznych systemach powstało inteligentne organiczne życie.

- To prawda - zgodził się z nim Drugi. - Właśnie z tego powodu Pierwszy wpadł na pomysł, że warto byłoby dowiedzieć się czegoś więcej, by w ten sposób ożywić i wzbogacić naszą cywilizację. Zdecydował, że powinniśmy przeprowadzić coś w rodzaju eksperymentu i poszukać organicznych form życia gdzie indziej. Dlatego zawitaliśmy w te strony.

Lando pokręcił głową. Wciąż jeszcze nie mógł pogodzić się ze stratą wiernego przyjaciela. Żałował, że mały robot nie może towarzyszyć mu podczas tej gry; że nie może obejrzeć kart, jakie dostał w tym rozdaniu. Prawdę mówiąc, rzadko zdarzało mu się mieć lepsze.

- Tak, ale przedtem skonstruowaliście i wyprawiliście w podróż wysłannika - powiedział. - Z początku nie pozwoliliście mu korzystać ze wszystkich zasobów pamięci, wskutek czego nie mógł uciekać się do aktów gwałtu i przemocy. Mogliście dzięki temu otrzymywać nowe informacje, nie narażając waszej cywilizacji na konflikty z innymi, o ile nie okazywało się to absolutnie nieuniknione.

- Rozumujesz słusznie - oznajmił Pierwszy. - Okazało się jednak, że z początku zakaz dostępu do wszystkich baz danych funkcjonował prawidłowo, ale później przestał, ponieważ zmieniły się okoliczności. Pragnienie zachowania własnego życia to przemożna

chęć, mimo iż w końcu... Sabak!

- Początkujący mają zawsze szczęście - jęknął zawodowy hazardzista, zastanawiając się, jakim cudem mógł tym razem przegrać. Nagle usłyszał za plecami odgłos czyichś kroków. Odwrócił się i spojrzał na drzwi, przez które było widać korytarz, łagodnym łukiem prowadzący do przedziału jednostek napędowych. Stał tam ktoś, umazany smarami i plamami chłodziwa, kto jeszcze nie zdążył odłożyć na bok automatycznego klucza. Pięcioboczny tors był wciąż jeszcze szerniały i zwęglony.

- Poprawiłem mocowanie emiterów ochronnego pola, mistrzu - oświadczył Vuffi Raa. - Piloci Klyna Shangi są doskonałymi strzelcami, ale z ich strony już nic nam nie grozi!

- Wspaniale - rzekł uśmiechnięty hazardzista. - A teraz, czy nie zechciałbyś zapomnieć o obowiązkach i przyłączyć się do gry w sabaka? I nie nazywaj mnie mistrzem - a przynajmniej nie w obecności swojego staruszka, dobrze? Prawdę mówiąc, stawiasz mnie w kłopotliwej sytuacji.

O wiele później, dokładnie dwa dni po zakończeniu bitwy i odlocie obłędniczej floty, Lando siedział w sterowni „Sokoła Millenium” na fotelu pilota i ucinął sobie krótką drzemkę. Vuffi Raa dokąś poleciał - zapewne przywitać się z dawno nie widzianymi pobratymcami.

Paniekapitanemistrzulandocalrissian, już wróciłem - odezwał się jeden statek do drugiego.

- Chrrrr... co się stało? Lehesu! Dlaczego nagle zwracasz się do mnie tak oficjalnie? I gdzie, na wiekiiste Jądro, się podziewałeś?

Sniadolicy hazardzista słyszał, że podobno młodociany Oswaft odleciał, ponieważ nie chciał brać udziału w obronie GwiazdoGroty. Lando ani przez chwilę w to nie wierzył, ale był ciekaw, co się stało.

- Och, po prostu, zanim doszło do twojego pojedynku z Rokurem Geptą, usłyszałem, jak czarownik mówi jakiemuś oficerowi - wygląda na to, że ów człowiek miał włączony mikrofon hełmu - że wysłał do jego rodzimego systemu kuriera z zadaniem wymordowania wszystkich członków rodziny, gdyby oficer odmówił wykonania szczególnie paskudnego rozkazu. Skoczyłem za kurierem tak szybko, jak umiałem, ale dogonienie go zabrało mi trochę czasu.

Lando przeciągnął się i ziewnął, a później sięgnął po cygaro.

- No, i? Co mu zrobisz, kiedy już go dogoniłeś? Uprzejmie poprosiłeś, żeby się zatrzymał?

- Ależ oczywiście. A on uczynił to, o co go poprosiłem. Obawiam się jednak, że w kilku kawałkach, ponieważ na niego na- krzyczałem.

Hazardzista zachichotał.

- A zatem powróciłeś do domu... Zapewne zostaniesz teraz Starszym i opowiesz swoim ziomkom o wszystkim, co widziałeś i słyszałeś. Czy to prawda?

Zapadła długa cisza.

- Nie, niezupełnie prawda - odparł w końcu młody Oswaft. - Powiedziałem im, że nie zostanę ich Starszym, a jeżeli zechcą skorzystać z mojej rady, nie wybiorą nikogo na miejsca Sena i Feya. Nie sądzę jednak, żeby jej posłuchali. Wiem tylko, że nie chcę ani wydawać, ani słuchać rozkazów. Właśnie tego się nauczyłem od ciebie, Lando, mój przyjacielu.

Jego przyjaciel Lando podrapał się po głowie. Nigdy dotąd nie miał takiego zwyczaju, ale kiedyś podpatrzył ów gest u Vuffiego

Raa.

- Cieszę się, że to słyszę, Lehesu. W takim razie, powiedz mi, co zamierzasz?



- Poznawać, badać, znajdować odpowiedzi na pytania. Prawdopodobnie wpadać w następne tarapaty. Ale wyjaśnij mi jedną rzecz, którą - prawdą mówiąc - nie do końca rozumiem. „Sokół Millenium” właściwie nie jest istotą, mam rację? Podobnie jak nie był nią krążownik „Wennis”?

- Unicestwiony, nie opłakiwany przez nikogo „Wennis” - westchnął młody hazardzista. - Nie wiem, jaką śmiercionośną substancję wymyślił i zamierzał rozpylić Gepta, ale cieszę się, że uległa zniszczeniu podczas eksplozji liniowca. Nie, mój przyjacielu Lehesu. Mimo iż tak bardzo go lubimy, „Sokół” jest tylko maszyną. - Zaciągnął się i wypuścił kłęb dymu, domyślając się, jakie następne pytanie może zadać zdezorientowany Oswaft. - A zanim zdążysz zapytać, odpowiem, że tak. Pierwszy, Drugi i Pozostali są inteligentnymi istotami, aczkolwiek mechanicznymi, a nie organicznymi. Umieją same myśleć - w przeciwieństwie do „Sokoła”. W pewnym sensie są dla ciebie tym samym, kim Vuffi Raa jest dla nas. I ty, i oni potrafia żyć w idealnej próżni. I ty, i oni uważacie ją za naturalne środowisko. Vuffi Raa i ja jesteśmy istotami obdarzonymi kończynami, chociaż on ma pięć macek, a ja po dwie ręce i nogi. Niemniej obaj dorastaliśmy w środowisku, w którym panowało ciśnienie, i obaj czujemy się najlepiej, kiedy mamy światło, ciepło i powietrze.

- W takim razie, powiedz mi, Lando, kim właściwie jest Vuffi Raa?

- Embrionem gwiazdnego statku - jeżeli mam wierzyć w to, co powiedział. Organiczne istoty - konstruktorzy jego praprapraprzodków - wyglądały jak on i budowały maszyny wyglądające jak oni. W taki sposób postępują zresztą istoty chyba wszystkich inteligentnych ras: budują automaty na własny wzór i podobieństwo. Potomkowie owych pierwszych automatów nawet teraz posługują się zdalnie sterowanymi manipulatorami, które wyglądają jak ich praprapraprzodkowie. Jak Vuffi Raa. Oznacza to, że jeżeli mały robot będzie grzecznym dzidziusem i zje wszystek szpinak, dorośnie i także stanie się gwiazdnym statkiem. O ile zechce.

Z następnych myśli, jakie wysłał Lehesu, przebijała nuta zaniepokojenia.

- Mówiono mi, że omal nie zginął, kiedy puściłem się w pogoń za kurierem. Muszę przyznać, że czuję się w pewnym stopniu odpowiedzialny za to...

- Zapomnij o tym, stara meduzo - wpadł mu w słowo hazardzista. - Jego tatuaż naprawił go w ciągu kilku godzin. Najważniejsze, że cała pamięć - ze wszystkimi spostrzeżeniami, doświadczeniami i obserwacjami zapisanymi w niezliczonej liczbie egzemplarzy i ukrytymi tak głęboko, jak tylko możliwe - pozostała nieuszkodzona. Żaden strzał z mizernego blastera nie mógł wyrządzić mu krzywdy, jeżeli nie liczyć chwilowego mechanicznego paraliżu.

- Co teraz zrobisz, Lando?

- No cóż, myślę, że - przynajmniej na jakiś czas - pożegnam się z tułaczką po galaktyce. Może osiadę gdzieś i ustakuję się... Powinienem zająć się czymś odpowiedzialnym, pełnić obowiązki... Pomyślę nad tym. Nauczyłem się wielu rzeczy. Zdobyłem doświadczenie i przypuszczam, że najwyższy czas je wykorzystać. Ładownie „Sokoła” zostały wypełnione po brzegi gigantycznymi klejnotami i szlachetnymi kamieniami... nie tylko wszystkimi możliwymi, o jakich kiedykolwiek słyszałem i jakie widziałem, ale i wieloma innymi, co do których powinienem zasięgnąć rady ekspertów. Mógłbym kupić za nie całe miasto!

- A Vuffi Raa?

- Nie wiem tego, stara płaszczko - odparł Calrissian. - Naprawdę nie wiem.

Silniki „Sokoła Millenium” mruczały, jakby pragnęły pozbyć się nadmiaru uwięzionej mocy. Frachtowiec drżał, przygotowany do kolejnej wyprawy w międzygwiazdne przestworza. Zapewne cieszył się, że przeżyje nową przygodę. Przebywający w sterowni Vuffi Raa kończył wygłaszać krótkie przemówienie.

- I pamiętaj o tym, żeby ograniczać dopływ mocy do jednostek napędowych o przynajmniej

trzydzieści procent, kiedy będziesz zamierzał włączyć generator ochronnego pola. W przeciwnym razie stos ulegnie przeciążeniu, a wówczas...

- Wiem, wiem, wiem - odparł cierpliwie kapitan statku, ze wszystkich sił starając się nie okazywać wzruszenia. - Nie rozumiem tylko, dlaczego zdecydowałeś się wracać właśnie w takiej chwili. Czy nie mógłbyś...

- Mistrzu, złożyłem uroczystą obietnicę. Bardzo chciałbym - jak ty i Lehesu - nadal badać zakątki wszechświata, cieszyć się życiem i przeżywać wciąż nowe przygody. Kiedyś z pewnością będę. Skonstruowano mnie jednak w tym celu, żebym rejestrował wszystko, czego doświadczam, a kiedy nadarzy się okazja- bym przekazał całą wiedzę swoim konstruktorom. Czuję, że muszę uczynić to właśnie teraz, podobnie jak ty czujesz, że musisz oddychać. Czy rozumiesz mnie, mistrzu?

- Rozumiem. - Lando poklepał lśniący tors małego przyjaciela. Ostatnie ślady po blasterowym strzale zagoiły się i zniknęły, wskutek czego metalowy pięciobok wyglądał jak nowy... jak tego dnia, kiedy hazardzista i mały robot spotkali się po raz pierwszy. - No cóż, jeżeli kiedykolwiek zawitasz w te strony, chyba będziesz wiedział, jak mnie znaleźć? Prawda? Mimo iż nie mogę ci dać niczego w rodzaju stałego adresu...

W sterowni frachtowca rozległ się elektronicznie syntetyzowany chichot.

- Udam się tam, gdzie dzieje się coś niezwykłego, gdzie będzie największe zamieszanie i skąd dobiegną mnie odgłosy największej wrzawy. Właśnie tam z pewnością cię znajdę, mistrzu.

- Nigdy w życiu! - obruszył się hazardzista. - Zamierzam się usatkwować i zostać szanowanym obywatelem. Aha, i wiesz, co, Vuffi Raa?

- Tak, mistrzu?

- Czy nie uważasz, że teraz, kiedy już wiesz, kim i czym jesteś, mógłbyś wreszcie przestać nazywać mnie mistrzem?

- No cóż, myślę, że tak, Lando - odparł mały android. - Dlaczego po prostu nie poprosiłeś mnie o to nigdy wcześniej?

# LANDO CALRISSIAN I GWIAZDOGROTA THONBOKA

Lando Calrissian zostaje wezwany na pomoc przez Oswaftów, obce istoty z mgławicy zwanej Gwiazdogrotą ThonBoka, obleganej przez okręty tajemniczej floty. „Sokołowi Millenium” udaje się przedrzeć przez blokadę nieprzyjacielskich jednostek. Lando i jego nieodłączny towarzysz, uniwersalny android Vuffi Raa, nie wiedzą jednak, że zmierzają prosto w straszliwą pułapkę...

©&TM 1983 Lucasfilm Ltd., All Rights Reserved.  
Used Under Authorization.  
Published originally under the title Lando Calrissian  
and the Starcave of Thonboka  
by Ballantine Books

ISBN 83-7169-937-9



Cena det. zł 19,80

